

IZABELA SZYKO

SZPIILKI

ZA MILION



UCZCIWY ZŁÓDZIEJ,
PERFIDNA CELEBRYTKA
I OSZUKANY KOCHANEK
- TO MUSI BYĆ MIESZANKA WYBUCHOWA!

ZAKRĘCONA KOMEDIA
KRYMINALNA

IZABELA SZYLKO

SZPILKI ZA MILION



Text copyright © by Izabela Szyłko, 2018

Copyright © by Burda Publishing Polska Sp. z o.o., 2018

02-674 Warszawa, ul. Marynarska 15

Dział handlowy: tel. 22 360 38 42

Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 360 37 77

Redaktor prowadzący: Marcin Kicki

Redakcja: Renata Bubrowiecka

Korekta: Malwina Łozińska, Zofia Kozik

Skład i łamanie: Beata Rukat/Katka

Redakcja techniczna: Mariusz Teler

Projekt okładki: Justyna Tarkowska/MileWidziane.pl

Zdjęcie na okładce: ivan101/iStockphoto

ISBN: 978-83-8053-343-1

Powieść przygotowana w ramach współpracy wydawnictwa ze szkołą
kreatywnego pisania

Maszyna do pisania (maszynadopisania.pl)



Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach
przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie

w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym
zezwoleniem właściciela praw autorskich.

www.burdaksiazki.pl

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

Spis treści

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Rozdział 58

Rozdział 59

Rozdział 60

Rozdział 61

Rozdział 62

Rozdział 63

Rozdział 64

Rozdział 65

Rozdział 66

Rozdział 67

Rozdział 68

Rozdział 69

Rozdział 70

Rozdział 71

Rozdział 72

Rozdział 1

Chcecie wiedzieć, dlaczego w życiu mi nie wyszło? Nie chcecie wiedzieć. Nikt by nie chciał. Ja też wolałbym poczytać o tych, którym się udało, którzy błyszczą na pierwszych stronach gazet i opowiadają, jak ciężko musieli pracować, żeby odnieść sukces. Może mógłbym się od nich czegoś nauczyć? Dowiedzieć się, jak to się robi? A jeśli nawet nie, to przynajmniej zanurzyć się w życiu trochę innym, barwniejszym niż to nasze zwykłe, codzienne i wyobrazić sobie, że kiedyś będzie lepiej.

Facet przed czterdziestką, bez domu, rodziny, bez grosza przy duszy, któremu nic w życiu się nie udało, nie jest atrakcyjnym tematem, to jasne. Ale czytacie wciąż moje słowa, prawda? Pewnie więc domyślacie się, że w tym, co piszę, musi być jakiś haczyk. Dobrze się domyślacie. Nie jestem już tym nudnym facetem.

Zanim jednak dojdę do tego, co odmieniło moje życie, muszę wam trochę opowiedzieć o sobie z innych czasów. Spokojnie, będę się streszczał.

Nie zawsze byłem pechowcem. Tak naprawdę pierwsza połowa mojego życia upłynęła zupełnie zwyczajnie. Nie miałem ani szczególnego pecha, ani szczęścia, wszystko było w normie, wszystko mogło się zdarzyć.

Mieszkałem w małym miasteczku, gdzie mój ojciec zajmował stanowisko dyrektora największego państwowego, jeszcze niesprywatyzowanego zakładu, a moja matka pracowała jako lekarka w osiedlowej przychodni. Byłem jedynakiem. Chodziłem do najlepszego liceum, jednego z dwóch w mieście. Uczniowie tego drugiego też mówili o swoim, że jest najlepsze, więc możecie sobie wybrać, komu chcecie wierzyć.

Moi rodzice byli naprawdę w porządku. Grałem na gitarze basowej w zespole rockowym, nosiłem długie, sięgające prawie do pasa włosy, a im zupełnie to nie przeszkadzało. Stanęli nawet murem za mną, kiedy dyrektor szkoły kazał mi je ściąć. „Młodzież musi mieć prawo do wyrażania własnej osobowości” – argumentował tata. „Dopóki włosy są czyste i porządnie uczesane, nie naruszają niczyjego poczucia estetyki – dodawała mama. – Czy komuś pasują długie włosy, czy nie, to sprawa gustu, a o gustach się nie dyskutuje”. Skończyło się to kompromisem. Mogłem zachować długie włosy, ale w szkole musiałem je nosić związane.

Rodzice nie mieli też nic przeciwko, żeby próby kapeli odbywały się u nas w domu. Może dlatego, że mieliśmy duży dom i jak ćwiczyliśmy w wolno stojącym garażu, zupełnie nie było nas słychać. Zespół rozpadł się zresztą zaraz po maturze. Wszyscy jego członkowie dostali się na studia i rozjechali po Polsce od

Szczecina po Kraków.

Właściwie można by nawet powiedzieć, że do tej pory miałem w życiu spore szczęście. Przyzwoicie zdałem maturę, dostałem się na elektronikę na Politechnice Warszawskiej, a moją dziewczyną była najatrakcyjniejsza laska w całej szkole. Żeby w szkole! W mieście, w województwie, w całej Polsce. Kochaliśmy się na zabój, a przynajmniej tak mi się wydawało. Danusia robiła wokala w naszym zespole. Śpiewała nawet nie najgorzej, ale daję głowę, że faceci przychodzili na koncerty nie po to, żeby posłuchać jej głosu, tylko by gapić się na jej nogi i zapuszczać żurawia do dekoltu. Gdy śpiewała Danka, nigdy nie narzekaliśmy na frekwencję. Pękałem z dumy, że taka dziewczyna jest właśnie moja.

Danusia dostała się na polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Mieliśmy oboje mieszkać w domach studenckich, ja na Akademickiej, ona na Żwirkach, cieszyliśmy się, że w tak dużym mieście będziemy tak blisko siebie, zaledwie dziesięć minut na piechotę. Wakacje zbliżały się ku końcowi, plecaki już leżały spakowane i wtedy zdarzyła się ta tragedia.

Moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym.

Długo nie potrafiłem się pozbierać. Początkowo chodziłem jak nieprzytomny. Pogrzebem i formalnościami zajęła się dalsza rodzina. Kiedy wreszcie zacząłem w miarę normalnie myśleć, dotarło do mnie, że o prawdziwym życiu nie wiem praktycznie nic. Nagle zostałem sam, zdany tylko na siebie, do tego zupełnie nieprzygotowany do dorosłości. Miałem wieść beztroski żywot studenta sponsorowanego przez mamusię i tatusia, a będę musiał walczyć o przetrwanie. Nikt już nigdy nie stanie w obronie moich długich włosów. Ani niczego innego. Kiedy żyli obok, praktycznie nie zauważałem ich istnienia. To było takie oczywiste, że są. Kiedy ich zabrakło... Co ja wam zresztą będę opowiadać. Jeśli nie przeżyliście jeszcze czegoś takiego, gwarantuję, że kiedyś i was to spotka.

Na szczęście była jeszcze Danusia i świadomość, że istnieje ktoś, komu na mnie zależy, utrzymała mnie wtedy przy życiu. Tak bardzo bałem się, że zostanę zupełnie sam, że natychmiast zaproponowałem jej, byśmy się pobrali, a ona się zgodziła. Miesiąc później wzięliśmy ślub cywilny. Tego dnia nie zapomnę do końca życia. Jeśli myślicie, że śmierć rodziców była największą traumą w moim życiu, jesteście w błędzie. Ich śmierć była tragedią, ale okazała się też zrzędzeniem losu. Wszystko, co naprawdę złe, a czego można było uniknąć, zaczęło się w dniu mojego ślubu. Ale wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem.

A potem nastąpiły dwa lata, które chciałbym wymazać z pamięci na zawsze. Niestety, nie potrafię. Nawet jeśli mylą się daty, a twarze stają się obce, raz utraconego zaufania do człowieka nie uda się odbudować nigdy.

Nie wchodząc w szczegóły, bo to wciąż dla mnie trudny temat, Danka mnie wysłała, oszukała, wykorzystała i porzuciła. Boże, jak mogłem być aż tak głupi?! Kiedy odeszła, wziąłem urlop dziekański i obciąłem włosy. Wyjechałem do

Londynu – na kilka miesięcy, tylko żeby się odkuć, zarobić na studia i wrócić.
Spędziłem tam ponad dziesięć lat.

Rozdział 2

O moich losach na emigracji niepolitycznej opowiem przy lepszej okazji.

Zacznę tę historię od dnia, kiedy moje życie wywróciło się do góry nogami i nagle okazało się, że zamiast, jak zwykle, pod górkę, mam wreszcie z górki. Wtedy oczywiście w ogóle nie zdawałem sobie z tego sprawy, wręcz przeciwnie. Wydawało się, że po raz kolejny spadam głową w dół do głębokiej studni i tym razem to już na pewno się roztrzaskam.

Po powrocie do Polski zaczęłem się w agencji reklamowej. Nie, nie byłem jednym z tych gości, którzy za grube pieniądze wymyślają te wszystkie gładkie hasła, zachęcające ludzi do zakupu artykułów zupełnie im niepotrzebnych. W mojej firmie produkowało się naklejki, szyldy i tablice reklamowe, których treść klienci wymyślali sami, a potem zawieszali je na płotach albo gdzie tam im pasowało.

Tego dnia, kiedy wszystko się zaczęło, po skończonej robocie wezwał mnie na dywanik szef.

– Panie Jacku, kurde, nie mam dobrych wiadomości – zaczął bez ceregieli, nie zapraszając nawet, żebym usiadł. To nie był gość z rodzaju „wicie, rozumiecie”. Odzywał się rzadko, a jeśli już, to zawsze bardzo konkretnie. – Nie mam zastrzeżeń do pańskiej pracy, ale... kurde, kryzys i mnie dosięgnął. Dostaję o połowę mniej zamówień niż w zeszłym roku. Muszę zlikwidować jedno stanowisko pracy. Pan pracuje najkrócej, więc... – Tu przerwał, licząc zapewne na moje zrozumienie, coś w rodzaju współczucia z powodu jego kłopotów, jakieś kiwnięcie głową przynajmniej. Przeliczył się. Patrzyłem na niego chłodno, nie ułatwiając mu zadania. – ...więc – wrócił do tematu po dłuższej chwili – trafiło, kurde, na pana. Od przyszłego miesiąca już pan tu nie pracuje.

Przyszły miesiąc wypadł za dwa dni. Akurat te dni zgodnie z grafikiem miałem mieć wolne.

– O, kurde... – podsumowałem tylko, wpisując się w koloryt językowy mojego pryncypała.

Moja mina musiała mówić wszystko, bo szef dokończył szybko ze wzrokiem wbitym w podłogę, chyba jednak trochę swą bezpośredniością zawstydzony:

– Oczywiście dostanie pan miesięczną odprawę. Tyle się należy zgodnie z Kodeksem pracy w przypadku likwidacji stanowiska. Pani Kasia wręczy panu wypowiedzenie.

Tym razem pokiwałem głową, no bo co miałem robić? Płakać? Protestować? Prosić o łaskę? Szefa najwyraźniej moja postawa zupełnie usatysfakcjonowała, bo szybko podszedł do mnie, chwycił moją dłoń i uścisnął.

– Bardzo panu dziękuję, kurde, naprawdę, świetnie się z panem pracowało.

– Tak – tylko tyle zdołałem z siebie wydusić, ale to wystarczyło, żeby sarkazm w moim głosie zabrzmiał odpowiednio dobitnie.

– Oczywiście dostanie pan świetne referencje – dorzucił natychmiast szef, odczytując mój ton prawidłowo.

– Oczywiście.

– No, to życzę powodzenia. – Dopiero teraz wypuścił moją rękę ze swojej dłoni.

Nie podziękowałem. Odwróciłem się i wyszedłem.

Ruszyłem prosto do domu, czyli do Aldonki.

Poznałem ją, gdy zawieszaliśmy okazałą mosięzną, grawerowaną tablicę na nowej siedzibie międzynarodowej kancelarii adwokackiej. Tak się zapatrzyła na piękny szyld firmy, w której pracowała jako sekretarka (bo raczej nie na mnie, choć można by wysnuć i taki wniosek), że krzywo stanęła na stopniu prowadzącym do drzwi obrotowych i złamała obcas. A że z okazji prac montażowych miałem przy sobie wszystkie potrzebne narzędzia i materiały, udało mi się dość łatwo rozwiązać jej problem i przykleić obcas. Wdzięczna Aldonka pozwoliła zaprosić się na kawę do jednej z hipsterskich kawiarni przy placu Zbawiciela. Potem w rewanżu zaprosiła mnie do siebie na kolację, bo – jak się okazało – miała własne mieszkanie. Zakończyło się to, trochę dla mnie niespodziewanie, wspólnym śniadaniem. I już tam zostałem.

Ogień, nie dziewczyna – tak najkrócej można by opisać Aldonkę. Przez pierwszy miesiąc kochaliśmy się po dwa, trzy razy dziennie. Potem trochę nam przeszło, ale też nie było dnia... Po kilku miesiącach emocje opadły, chemia przestała działać, przyszło zwyczajne, codzienne życie – i wtedy zaczęły się schody.

Aldonka, zważywszy na okoliczności, dość długo dawała mi szansę. Kobiety już tak mają. Zawsze im się wydaje, że będą w stanie zmienić swojego mężczyznę. Ze mną jej się nie udało. Może za krótko próbowała, a może była zbyt bezkompromisowa? Bo, muszę się wam w końcu przyznać, nie jestem raczej wzorem odpowiedzialności. Czasami zdarza mi się zapomnieć, że na przykład coś obiecałem albo umówiłem się na spotkanie. Walczę z tym, naprawdę, ale roztargnienie mam chyba we krwi. A u Aldonki wszystko musiało być jak w zegarku, co do minuty. Za dziesięciominutowe spóźnienie potrafiła obrazić się na kilka dni.

Mieliśmy też skrajnie odmienne podejście do definicji porządku. Aldona była demonem pedanterii. Każda rzecz miała u niej swoje miejsce, każdy pyłek musiał trafić do kosza, zanim jeszcze zdążył osiąść na meblu lub podłodze. Dla mnie to było zupełnie niezrozumiałe. Życie jest zbyt krótkie, żeby przejmować się takimi duperelami. Miałem jednak nadzieję, że wypracujemy w tej kwestii jakiś kompromis. Ja przynajmniej zacząłem się starać.

Rozdział 3

Możecie sobie wyobrazić, w jakim humorze wracałem do domu, gdy wylali mnie z pracy. Ale to był dopiero początek kłopotów.

Choć włożyłem klucz do dziurki, nie udało mi się go przekręcić. Uświadomiłem sobie, że zamek wygląda jakoś inaczej niż zwykle. Poprzednia wkładka była mosiężna, a ta – w kolorze niklu. Wyjąłem klucz i zanim zdążyłem nacisnąć dzwonek, drzwi same się otworzyły.

– O, kochanie, już jesteś? – zdziwiłem się szczerze na widok Aldonki, bo nigdy nie wracała z pracy tak wcześnie. – Co się stało z zamkiem?

Aldonka wpuściła mnie do środka, nie odpowiadając na pytanie, ale jej mina nie wróżyła niczego dobrego. W przedpokoju, tuż przy drzwiach, stał wypełniony po brzegi mój marynarski worek.

– Co to? – zapytałem, wskazując na toból.

– To ja się pytam: co to? – odpowiedziała Aldona, otwierając drzwi do łazienki i gestem nakazując mi wejść do środka. Stała zaraz za mną i sięgnęła po kubek do mycia zębów, w którym tkwiła biało-niebiesko-czerwona tubka, do złudzenia przypominająca pastę Aquafresh. – To ja się pytam: co to jest? – powtórzyła.

– Pasta do zębów? – zapytałem głupio, choć dobrze wiedziałem, że to coś innego.

– Też tak myślałam – odrzekła Aldona. – Wyobraź sobie, że krem do golenia.

Oczywiście wyobraźni zobaczyłem Aldonę z pianą do golenia na ustach i już zacząłem się domyślać, do czego to wszystko prowadzi.

– Kochanie, przepraszam, zapomniałem odłożyć na swoją półkę.

Aldona, nie komentując, udała się do kuchni, a ja potulnie ruszyłem za nią.

Na stole w kuchni stał talerz z niedojedzonymi resztkami mojego śniadania, ale nie ta dekoracja padła ofiarą ataku mojej dziewczyny. Aldona skupiła się na krześle, które nie zostało dosunięte do stołu, a właściwie wystawało prawie na środek niewielkiej kuchni.

– A to: co to jest? – Przysunęła krzesło tak, by stało prawidłowo.

– No nie mów, że to nie jest krzesło – spróbowałem obrócić wszystko w żart, jednak to nie był dobry pomysł.

– Ale dlaczego ono stoi na mojej drodze?!

Moja wyobraźnia tym razem podsunęła mi obraz Aldony potykającej się o krzesło i wywijającej koziołka. To nie mogło się dobrze skończyć. Podniosła ze stołu brudny talerz i demonstrując obrzydzenie do pozostawionych na nim resztek jedzenia, wyrzuciła wszystko do kosza, a talerz wstawiła do zlewu.

– Nie myślałem, że wrócisz tak wcześnie. Przecież posprzątałbym wszystko przed twoim powrotem – próbowałem się usprawiedliwić.

Zero reakcji. Czyli na tym nie koniec. Cios ostateczny miał dopiero nastąpić.

Aldona podeszła do lodówki.

– A to, twoim zdaniem, oczywiście jest lodówka?

– Oczywiście.

– A ja myślałam, że szafa! – wycedziła przez zęby.

Tym razem, mimo niezłe rozwiniętej wyobraźni, nie zobaczyłem jednak w lodówce rządów ubrań wiszących na drążku i zaskórniaków babci w szufladzie pod gatkami. O co jej mogło chodzić? Myślałem intensywnie, ale nic mi nie przychodziło do głowy. Aldona, widząc, że nie doczeka się odpowiedzi, otworzyła lodówkę i wyjęła z niej parę moich skarpetek, elegancko zwiniętych w kłębek. Spokojnie, czystych skarpetek. „O, fak – pomyślałem. – No to jestem w dupie”. Zdobyłem się jednak na dyplomatyczną reakcję:

– Znalazłaś? Jesteś cudowna!

Nie dostrzegłem jednak w oczach Aldony oczekiwanego zrozumienia. Wzięła szeroki zamach, jakby chciała walnąć mnie pięścią w brzuch, ale tylko rzuciła we mnie skarpetkami. Złapałem je w locie i w tej sekundzie przypomniałem sobie, jakim cudem skarpetki znalazły się w lodówce.

Dziś rano, jak w każdą środę, Aldona wyszła z domu bladym świtem, ponieważ przed pracą zwykła była trenować wodny aerobik na krytej pływalni. Nie obudziła mnie więc, jak to czyniła w inne dni tygodnia, i w związku z tym trochę zasnęłam. Muszę przyznać, że mam kłopoty z porannym wstawaniem. Jestem nocnym markiem i wolę pracować na drugą zmianę. Na szczęście we wszystkie inne dni tygodnia to Aldona stała na straży mojej punktualności. Ale dziś po trzecim dzwonku budzika pospałem sobie jeszcze pół godziny, więc bardzo się spieszyłem, żeby zdążyć do pracy na czas. Ubrałem się, a skarpetki miałem zamiar włożyć w kuchni, jedząc śniadanie. Gdy otworzyłem lodówkę, zadzwonił telefon i zająłem się już tylko rozmową, a nie szczegółami garderoby. Resztę już umiecie sobie dopowiedzieć. No, przyznajcie sami, czy to nie pech, że Aldona wróciła dziś wcześniej i znalazła te skarpetki w lodówce przede mną?

Nawet nie próbowałem się tłumaczyć. Aldona wyglądała, jakby już podjęła decyzję. Oznajmiła, że to naprawdę koniec, że straciła cierpliwość i że nasz związek nie ma przyszłości.

Żadna rewelacja. Sam to wiedziałem. Żałowałem tylko, że nasze rozstanie nie odbyło się w bardziej cywilizowany sposób. Przecież kiedyś chyba rzeczywiście się kochaliśmy. Naprawdę nie musiała wymieniać zamka. Oddałem jej i tak już niepotrzebne klucze, spakowałem skarpetki do worka – i wyszedłem.

Rozdział 4

I co ja miałem zrobić w takiej sytuacji? Mogłem zapukać tylko do jednych drzwi.

Michała poznałem w Londynie. W przeciwieństwie do mnie udało mu się ukończyć elektronikę na Politechnice Warszawskiej i dopiero wtedy wyjechał z Polski. Studiowaliśmy mniej więcej w tym samym okresie, między nami był rok czy dwa lata różnicy, ale on nigdy nie mieszkał w akademiku, więc nie mieliśmy okazji się wtedy poznać.

Przez trzy lata wynajmowaliśmy na spółkę pokój w Brixton i przez jakiś czas pracowaliśmy na tej samej budowie. Gdy Polskę przyjęli do Unii, Michał, którego wszyscy nazywali Miśkiem, bo taki właśnie był: misiowaty brat łąta, miał fart i załapał się do poważnej roboty, zgodnej ze swoim wykształceniem. Brytyjczycy szybko się na nim poznali – awansował i zaczął zarabiać naprawdę duże pieniądze w renomowanej firmie. Mógł mieszkać, gdzie chciał, a nie w podłej dzielnicy, ale oszczędzał każdy grosz i dzięki temu wciąż miałem towarzysza do dzielenia mojej kwatery.

Misiek miał plan – za zarobione pieniądze chciał otworzyć w ojczystym kraju własną firmę związaną z elektroniką. Siedział w Londku wystarczająco długo, żeby zarobić tyle, ile potrzebował, i w końcu zrealizował swój zamysł – wrócił do Polski. Namawiał mnie, bym wyjechał razem z nim, i zaproponował współpracę w tworzeniu jego przyszłej firmy. Było to bardzo kuszące, ale ja w przeciwieństwie do Miśka nie miałem wtedy zaoszczędzonego nawet grosza. Nie, nie jestem rozrzutny. Jak do tego doszło, jeszcze kiedyś wam opowiem.

Misiek był chyba moim najlepszym przyjacielem, nie tylko w Londynie, lecz także w ogóle. Gdy wróciłem do Polski i nie wiedziałem, co z sobą zrobić, przyjął mnie pod swój dach. Nie mógł mi na razie zaproponować pracy w swojej firmie, bo od kiedy dorobił się współnika, musiał z nim konsultować wszystkie decyzje, ale pozwolił mi mieszkać u siebie, dopóki nie stanę na nogi i nie znajdę jakiejś roboty. Jego żona – Agata – nie była tym zachwycona.

I teraz znowu zadzwoniłem do jego drzwi.

Otworzyła Agata. Wiedziałem, że jest w ciąży, ale dawno jej nie widziałem i nie zdawałem sobie sprawy, że w aż tak zaawansowanej. Wyglądała, jakby miała urodzić w każdej chwili. Na mój widok chyba nawet się ucieszyła. To prawda, wiele nas różniło, spieraliśmy się na okrągło, ale to nie przeszkadzało nam darzyć się sympatią.

– Cześć, jest Misiek? – pociągnąłem znacząco nosem, bo z wnętrza mieszkania buchnął smakowity zapach. – Zraziki?

– Właz. – Agata się roześmiała. – Jak ty to robisz, że na kolację nigdy się nie

spóźniasz?

Otworzyła szeroko drzwi i w tym momencie zauważyła stojący na korytarzu marynarski worek. Uśmiech zniknął z jej twarzy. Wiedziałem, co to znaczy. Sięgnąłem jednak po worek i wszedłem.

W czasie kolacji zdałem relację Miśkowi i Agacie ze wszystkiego, co mnie tego dnia spotkało. Misiek oczywiście od razu zaproponował, że mogę się u nich zatrzymać, i nie widział, że Agata patrzyła na niego lodowato. W swojej prostoduszności zaproponował mi nawet pracę u siebie, bo przez ostatnie dwa lata jego firma bardzo się rozrosła. Miał nadzieję, że tym razem wspólnik nie będzie robił kłopotów.

To była agencja ochrony zajmująca się prawie wyłącznie dozorem mieszkań i domów jednorodzinnych. Najpierw zakładali w budynkach specjalistyczne alarmy, potem bezprzewodowym modułem podłączali domowy system do centrali w firmie i gotowi byli na błyskawiczną interwencję, gdyby cokolwiek niepokojącego się działo. Cała ochrona, kompleksowo. Misiek w tym biznesie miał nadzór nad wszystkim, co wiązało się z elektroniką – wykonywał projekty, dokonywał zakupu części, które, gdy była taka potrzeba, potrafił samodzielnie modyfikować w zależności od potrzeb, nadzorował montaż alarmów. Jego wspólnik zajmował się całą resztą, czyli zarządzaniem (co zupełnie Miśka nie interesowało) i właściwą ochroną. Ja miałbym pracować razem z Miśkiem przy zakładaniu alarmów. Zapowiadało się bardzo interesująco, moje dwa lata studiów mogły wreszcie się przydać. Oczywiście musiałbym się trochę doksztąpić, bo przez cały ten czas dużo się zmieniło, ale to by była naprawdę czysta przyjemność. Już nie mogłem się doczekać. Oby tylko wspólnik się zgodził.

Przez całą kolację Agata się nie odzywała. Gdy skończyliśmy jeść, pozbierała talerze ze stołu i ułożyła je w stosik.

– Chodź, pomożesz mi zmywać. – Wręczyła talerze Miśkowi.

– Może ja? – zaproponowałem.

– Nie – zarządziła krótko.

Misiek podniósł się od stołu, uśmiechnął przepaszająco i wyszedł z talerzami za Agatą. Po chwili z kuchni zaczął dobiegać jej cichy głos.

Naprawdę nie chciałem podsłuchiwać. Po prostu wszedłem do łazienki, ale w łazience, jak to bywa w starych budynkach bez samodzielnej wentylacji, znajdowało się niewielkie okienko wychodzące na kuchnię. I okienko to okazało się uchylone.

– Może wreszcie kiedyś mnie zapytasz o zdanie, zanim podejmiesz jakąś kolejną głupią decyzję? – to była Agata.

– Ależ, Agatko!

– I gdzie on będzie mieszkał? W pokoju dziecka? Razem z dzieckiem?

– Dziecka jeszcze nie ma.

- Ale zaraz będzie!
 - Nie zaraz, tylko za tydzień.
 - A jak będzie wcześniej? Jak się zdenerwuję, mogę wcześniej urodzić!
- Z kuchni dobiegł hałas, jakby Agata tupnęła nogą.
- Ależ, Agatko, tylko przez kilka dni. Później coś sobie znajdzie.
 - Tak? Ostatnio też miało być kilka dni, a mieszkał trzy miesiące.
 - Nie mogę go zostawić w potrzebie. To mój przyjaciel.
 - Dobrze, niech zostanie przez jedną noc, a potem niech spada. Są hotele! Spuściłem wodę w łazience. Musieli usłyszeć, bo przerwali dyskusję. Wyszedłem z łazienki, sięgnąłem po worek i zajrzałem do kuchni.
 - Dzięki za kolację. – Uśmiechnąłem się. – Nie będę wam już przeszkadzał.

Misiek, dasz znać, co z tą robotą?

– Właściwie możesz jutro wpaść, koło dziesiątej – odezwał się, wyraźnie zawstydzony. – Do tej pory powinienem porozmawiać ze współnikiem.

– To jesteśmy umówieni. Cześć.

Ruszyłem do wyjścia.

– Zaczekaj – powstrzymała mnie Agata. – Przepraszam, uniosłam się. – Musiała się domyślić, że wszystko słyszałem.

– Rozumiem – powiedziałem smutno. – Jasne, że nie mogę u was mieszkać.

– Nie dąsaj się. Mam pewien pomysł. – Agata weszła do przedpokoju i włożyła płaszcz. – Ubieraj się, Misiek – zarządziła, wyjmując z torebki telefon komórkowy. – Wychodzimy.

Rozdział 5

Wylegiwałem się na hamaku rozwieszonym między palmami. Nad głową pokrzykiwały mi mewy. Słońce grzało mocno, ale palmy dawały miły cień, a bryza znad morza przyjemnie chłodziła powietrze. Chciałem zostać w tym hamaku już na zawsze, ale z oddali dobiegł mnie miły kobiecy głos:

– Panie Jacku, pora wstawać.

Otworzyłem oczy.

Gdzie ja jestem? Wyglądało to jak pokój nastolatka. Na drzwiach wisiały plakaty zespołów rockowych, na ścianie – gitara, pod oknem stało sosnowe biurko, obok pojemnej, również sosnowej, szafy leżał mój marynarski worek, a na łóżku – ja.

Powoli przypomniałem sobie wydarzenia poprzedniej nocy.

Przeszliśmy krótkim spacerem z ulicy Kaliskiej, gdzie mieszkali Misiek i Agata, na drugą stronę ulicy Grójeckiej i przecięliśmy plac Narutowicza. Agata tak bardzo chciała się mnie pozbyć, że osobiście odprowadziła mnie do swojej ciotki.

Pani Józefina żyła sama w dużym mieszkaniu na Starej Ochocie, w przepięknej przedwojennej kamienicy na ulicy Uniwersyteckiej. W czasie studiów przez dwa lata kwaterowałem w pobliżu, w akademiku zwanym Alcatraz. Przechodziłem koło tego budynku, zachwycając się nim, codziennie, bo tędy wiodła droga od przystanku autobusowego przy pomniku Lotnika do akademika. Dzieci pani Józefiny dawno wyprowadziły się z domu, więc nie miała nic przeciwko temu, żeby przyjąć mnie na kwaterę. A nawet się ucieszyła, gdy Agata zareklamowała moją skromną osobę, mówiąc, że na pewno się przydam, bo wszystko potrafię naprawić, a potem dodała, żeby ciocia się nie krępowała, kiedy trzeba będzie mnie wykorzystać.

– Już ja go wykorzystam – uśmiechnęła się ciocia i muszę przyznać, że w jej ustach zabrzmiało to intrygująco.

Pani Józefina bowiem miała sześćdziesiąt pięć lat, widoczną nadwagę w okolicach bioder, choć jeszcze nie można tego było nazwać otyłością, pucołowatą, miłą, pocziwą twarz, na nosie duże okulary i lekko posiwiałe włosy krótko obcięte na pazia. Naszła mnie nagła refleksja, że gdyby jeszcze te włosy miała spięte w kok, to brakowałoby jej tylko różdżki, by wyglądała jak wróżka z mojego ulubionego *Shreka*. I nie mówcie, że nie oglądacie filmów animowanych. Tylko że filmowa czarodziejka mimo dobrotliwego wyglądu była tak naprawdę wiedźmą. Nie podzieliłem się jednak tą obserwacją z nikim.

Wypiliśmy jeszcze wczoraj wspólnie herbatę, zaparzoną w czajniczku zgodnie z chińskim rytuałem, a kiedy Misiek i Agata wyszli, pani Józefina posłała

mi łóżko w dawnym pokoju jednego z jej synów. Opowiadała o nich wszystkich, co i gdzie który porabia, ale w pamięci utkwił mi tylko ten, który obecnie robił doktorat na Uniwersytecie w Tampie na Florydzie. Stąd zapewne te palmy w moim śnie, chociaż, przyznam się, o życiu w ciepłych krajach marzę od zawsze.

Pamiętam, że poprosiłem jeszcze panią Józefinę, żeby na pewno mnie obudziła, bo nie reaguję na budzik, no i właśnie usłyszałem jej głos:

– Panie Jacku, pobudka!

– Już wstaję, dziękuję.

Podźwignąłem się z łóżka. To była czynność, której od jesieni do wiosny szczerze nie znośm. Wydostanie się spod pościeli, kiedy chłód na zewnątrz skłaniał do wyboru ciepłka pod kołdrą, było dla mnie prawdziwą udręką. Ale gdy docierałem do łazienki i temperatura się wyrównywała, życie stawało się łatwiejsze. Po porannym prysznicu już na dobre wracałem do rzeczywistości.

Tym razem powrót do życia odbył się trochę szybciej, bo z kuchni dotarł do mnie zapach jajecznicy na boczku i cebulce. Czyżbym już był w niebie?

– Panie Jacku, ma pan pięć minut na prysznic – dotarło do mnie zarządzenie pani Józefiny – bo inaczej jajecznica wystygnie.

Z tym niebem to chyba jednak trochę przesadziłem. Ale jajecznica była boska, a pieczywo wydawało się świeże.

– Niech pan nie myśli, że tak będzie codziennie – poinformowała mnie pani Józefina. – Od jutra wprowadzamy dyżury. No chyba że będzie pan musiał biegać do roboty na siódmą, to wtedy każdy sobie. Żadna siła nie zmusi mnie do wstawania o takiej porze.

Popatrzyłem na nią z ulgą. To chyba jednak jest dobra wróżka, która zamiast biegania rano po chrupiące bułeczki woli rozmrażanie ich w mikrofalówce.

Kiedy wykończyłem jajecznicę, z trudem powstrzymując się przed wylizaniem talerza, zadzwonił mój telefon.

– Tylko sprawdzam, czy już wstałeś – w słuchawce odezwał się głos Miśka.

– No jasne, pani Józefina już o to zadbała.

– Wszystko OK?

– Lepiej być nie może.

– To czekam o dziesiątej.

Rozdział 6

Agencja Ochrony Bondek Security mieściła się w wynajmowanej willi na Szczęśliwicach. Michał nie miał nic przeciwko, aby firma wzięła nazwę od nazwiska jego wspólnika – Jakuba Bondka. Było to nawet zabawne. Bondek, czyli mały Bond, James Bond, dobre skojarzenie dla agencji mającej się zajmować bezpieczeństwem. Bondek jednak nadużywał dowcipu, co z biegiem czasu zaczęło Miśka irytować. Zawsze kiedy wspólnik się przedstawiał, mówił: „Nazywam się Bondek. Jakub Bondek” – i znacząco mrugał, dopóki rozmówca nie załapał, o co chodzi, i przynajmniej się nie uśmiechnął. Zazwyczaj były to uśmiechy kurtuazyjne, zabarwione podtekstem „zacny suchar, milordzie”, ale Bondek albo tego nie zauważał, albo wcale się tym nie przejmował.

Udziałami podzielili się po połowie, kompetencje także zostały wyraźnie podzielone. Zaczynali skromnie, ale szybko zaczęli się rozwijać, bo z lokalizacją firmy trafili w dziesiątkę. Na Szczęśliwicach jak grzyby po deszczu wyrastały nowe wille i okazałe apartamentowce. Bondek Security oferowało najniższe ceny i najkrótszy czas interwencji w tym rejonie miasta, więc klientów zaczęło przybywać. Z czasem agencja rozszerzyła działalność na inne rejony południowej Warszawy – Włochy, Ursus i Mokotów. Dopóki była niewielka, wspólnicy zgadzali się co do pryncypiów. Gdy się rozrosła i zaczęła przynosić poważne dochody, pojawiły się pierwsze spięcia. Bondek chciał podbić całą Warszawę, Michał wołał inwestować w nowe technologie. „Jeżeli chcemy zachować konkurencyjne ceny i najkrótszy czas reakcji, nie możemy wysyłać patroli na Chomiczówkę, gdzie będziemy mieć garstkę klientów – argumentował. – Na razie nie oplaca nam się otwierać filii daleko od bazy”. Na parterze willi znajdowały się serwery, centralka z monitorami i inne pomieszczenia techniczne, na piętrze – biuro. Zaletą tej siedziby był również duży parking, na którym mieściły się spokojnie wszystkie samochody patrolowe. Gdyby firma miała się dalej rozwijać, trzeba by pomyśleć albo o nowej siedzibie, albo o wynajęciu dodatkowego budynku w innej części miasta. A to już by była rewolucja, o której Misiek wołał na razie nie myśleć. Zwłaszcza że za kilka dni miało mu się urodzić dziecko, a wszyscy znajomi, którzy już przez to tornado przeszli, ostrzegali, że dopiero dziecko stawia całe dotychczasowe życie na głowie. Poza tym Michał był całkiem zadowolony ze swoich dochodów. Oczywiście nie miałby nic przeciwko, żeby były wyższe, ale nie kosztem nieuzasadnionego ryzyka. Co to, to nie. I tak dyskusja o przyszłości Bondek Security tymczasowo została zawieszona.

Kiedy o dziewiątej trzydzieści Michał wszedł do sekretariatu swojej firmy i nikogo w nim nie zastał, zupełnie go to nie zdziwiło. Bezbłędnie skierował się do drzwi po lewej stronie, na których widniała mosiężna tabliczka z napisem „Jakub

Bondek – prezes”. Na takich samych drzwiach po prawej stronie sekretariatu wisiała podobna tabliczka, tylko że Misiek zadowolił się tytułem wiceprezesa przy swoim nazwisku. Był wprawdzie równorzędnym partnerem, ale tytułomania w ogóle go nie interesowała.

Zastukał głośno trzy razy, odczekał długą chwilę i otworzył drzwi. Tak jak się spodziewał, ich nowa sekretarka znajdowała się w środku. Zdążyła już zerwać się z kolan prezesa i właśnie obciągała spódniczkę mini.

– Dzień dobry, panie prezesie – wyświergotała do Michała. – Może zaparzyć kawy?

– Dziękuję, pani Violu, będę miał później gościa, wtedy poproszę.

Sekretarki w firmie to był kolejny punkt niezgody między prezesami. Bondek wybierał je wyłącznie pod kątem atrakcyjności seksualnej i wymieniał co trzy miesiące, jak mu się znudziły. Musiał z góry zakładać, że każda mu się znudzi, bo wszystkie umowy zawierał na okres próbny trzech miesięcy. Michał zaś marzył o jakiejś kompetentnej starszej pani, która potrafiłaby coś więcej, niż mizdrzyć się do prezesa i obsługiwać ekspres do kawy, ale to Jakub miał w umowie spółki zagwarantowane, że decyduje o doborze personelu, więc Misiek niewiele mógł zdziałać. Zanim jeszcze nauczył się pukać trzy razy i dokładnie zamykać za sobą drzwi, usłyszał kiedyś, jak Bondek obiecuje jakiejś kolejnej naiwnej małżeństwo. Miesiąc później już była nowa sekretarka.

Z biegiem czasu Michał przestał zwracać uwagę na seksualne ekscesy współnika, ale żony Bondka naprawdę było mu żal. Hanka to była taka fajna kobieta. Atrakcyjna, dowcipna, rozsądna. Kompletnie do siebie nie pasowali. Nigdy nie wspomniał ani słowa o tej szopce z sekretarkami, ale Hanka głupia nie była. Musiała się domyślać, widziała przecież te wszystkie, coraz to nowsze dziewczyny.

– Gościa? Jakiego będziesz miał gościa? – zainteresował się Bondek, ścierając resztkę szminki z ust.

– Kolegę. Chciałbym go u nas zatrudnić. Naprawdę świetny fachowiec. I uczciwy.

– Nie mamy chyba wolnych etatów?

– Nie wiem, czy mamy. To ty jesteś od etatów. Mówię ci tylko, że jest świetny facet, który zna się na robocie i bardzo nam się przyda.

– Nie mamy wolnych etatów – tym razem Bondek stwierdził, nie zapytał.

– Potrzebujemy kogoś takiego.

– Kiedy ja mówiłem, że potrzebujemy nowych samochodów, to się nie zgodziłeś.

– Bo samochodów akurat nie potrzebujemy.

– No to nowego pracownika też nie.

Michał westchnął.

- Chyba będziemy musieli poważnie porozmawiać.
- Też tak sędzę. Ale nie teraz. Ja też mam za chwilę gościa. I to nie byle jakiego.

Rozdział 7

Nie byle jaki gość zaparkował właśnie swoje różowe porsche przed siedzibą Bondek Security, wbiegł po schodach do biura, stukając różowymi szpilkami, przemknął przez korytarz, zostawiając za sobą zapach Amarige Givenchy, i znalazł się w sekretariacie. Nie powiedział „dzień dobry” i nawet nie spojrzał na panią Violę, która na jego widok otworzyła szeroko oczy ze zdumienia i wstrzymała oddech.

Lola Marini od razu skierowała się ku drzwiom z napisem „Jakub Bondek” i otworzyła je bez pukania. Wszystko to działo się tak szybko, że pani Viola nawet nie zdążyła zareagować.

Michał właśnie zbierał się do wyjścia. Na widok gościa Bondek wstał z biurka i rozłożył szeroko ramiona.

– No witam – rozpromienił się.

Podbiegł do Loli i uściskał ją na niedźwiedzia. Nie zaprotestowała, a nawet wyglądała na zadowoloną.

– Siadaj, moja droga. – Wskazał Loli jeden z dwóch wygodnych skórzanych foteli. – Napij się czegoś? Pani Violu! – zawołał w kierunku sekretarki, która natychmiast pojawiła się w drzwiach.

– Nie, dzięki – odparła Lola. – Wolałabym, żeby nikt nam teraz nie przeszkadzał.

Bondek gestem odprawił sekretarkę, a współnikowi rzucił wymowne spojrzenie. Michał zrozumiał. Wyszedł, dokładnie zamykając za sobą drzwi.

– Czy to była ona? Lola Marini? – wyszeptała oszołomiona Viola, gdy tylko wiceprezes podszedł do jej biurka.

– Nie wiem, chyba tak.

– O Boże, Lola Marini u nas w biurze! Nie wierzę!

Michał wzruszył ramionami. Oczywiście tak jak wszyscy w Polsce, a przynajmniej ci, którzy oglądają telewizję, czytają kolorową prasę albo czasem zaglądają do internetu, wiedział, kim jest Lola Marini. Była zdecydowanie numerem jeden wśród celebrytów od wielu lat i chyba jedyną osobą, której udało się utrzymać na topie tak długo. Chociaż ostatnio jej gwiazda zaczynała chyba trochę błędnąć.

Popularność Loli Marini rozpoczęła się kilkanaście lat temu – od wygranej w konkursie Miss Polonia, a potem Miss Świata, czego naturalną konsekwencją była kariera modelki. Do dziś jej twarz kojarzono z pewną bardzo znaną marką kosmetyków dla pań, paradoksalnie dzięki temu, że jako pierwsza celebrytka odważyła się pokazać w reklamie telewizyjnej nie tylko swoją fizys, lecz także pupę. Potem zaczęła objawiać talent muzyczny i nagrała dwie płyty, a piosenki

z nich utrzymywały się na szczytach list przebojów komercyjnych rozgłośni – chyba jednak tylko dlatego, że jej ówczesny mąż, milioner z pierwszej setki najbogatszych według „Wprost”, wkładał olbrzymie pieniądze w ich promocję. Po rozstaniu z mężem piosenki Loli już nie pojawiały się tak często w radiu, ale sama Lola zyskała na rozwodzie tyle, że nie musiała się martwić o przychody z tantiem.

Kolejne małżeństwo z wpływowym politykiem ustawiło ją na salonach. Pojawiała się na wszystkich możliwych imprezach, a ponieważ bez żenady eksponowała swoje wdzięki, a jeszcze chętniej o dwa numery za ciasną bieliznę, co często prowadziło do kontrolowanej katastrofy typu pęknięte stringi albo wymasknęta pierś – zawsze była łakomym kąskiem dla paparazzich. Pieniądze po mężu milionerze szybko jednak zaczęły topnieć, a mąż polityk nie tylko nie był w stanie zapewnić Loli życia na poziomie, do którego przywykła, lecz także uznał chyba, że taka żona nie pomoże mu w karierze, toteż rozstali się w atmosferze skandalu, piorąc publicznie swoje brudy i dając prasie kolorowej pożywkę do dyskusji przez cały rok.

Lola nagrała kolejną płytę, która okazała się kompletną klapą, załapała się jednak przy okazji na dwa wielkie kontrakty reklamowe, co pozwoliło jej żyć rozrzutnie przez dwa lata. Pieniądze jednak znowu zaczęły topnieć, więc prasa kolorowa zaczęła żyć kolejnym romansiem celebrytki. A teraz oto Lola Marini przybyła do agencji ochrony Bondek Security i wyglądało na to, że jest dobrą znajomą jednego z jej współwłaścicieli. Michała nie obchodziło życie piosenkarki ani tym bardziej podboje miłosne współnika, ale fakt, że Lola Marini pojawiła się właśnie w siedzibie ich firmy, a nie spotkała się z Bondkiem gdzieś w domowym zaciszu albo, wręcz przeciwnie, w najmodniejszej knajpie w mieście, dając wcześniej cynk tabunowi paparazzich, dał mu dużo do myślenia.

Rozdział 8

Lola Marini upiła łyk z filiżanki przyniesionej z własnej inicjatywy przez Violę, która nie mogła się oprzeć okazji nawiązania bliższego kontaktu z celebrytką, i się skrzywiła.

– Nie stać cię na lepszą kawę? – zapytała z przekąsem.

Bondek już chciał zaprotestować, że to najdroższa lavazza i do tego oryginalna, przywieziona prosto z Włoch, ale Lola zaczęła się śmiać, więc dotarło do niego, że żartuje.

– Sam tego nie piję, to tylko dla gości – odpowiedział podobnym tonem. – Wiesz, że zawsze byłem skąpy.

Lola rozsiadła się wygodnie w fotelu, założyła nogę na nogę, ustawiła bokiem *à la* Elżbieta Jaworowicz i głęboko westchnęła.

– Zabrał mnie do Las Vegas. Czaisz?

Popatrzyła na Bondka, licząc, że hasło „Las Vegas” powie mu wszystko, ale ten nie sprawiał wrażenia kogoś dobrze poinformowanego.

– Las Vegas – powtórzyła. – Mówi ci to coś?

– No, takie miasto w USA.

– I co?

Bondek wzruszył ramionami.

– No właśnie. I nic – obruszyła się Lola. – Po co się jeździ do Las Vegas, twoim zdaniem?

– Żeby grać w kasynie?

– No tak, chyba wszystkie samce tak mają – zbulwersowała się Lola. – Do Las Vegas jeździ się po to, żeby wziąć tam ślub! A on tak mnie wystawił! Dwóch fotografów czatowało, aż wyjdziemy z jakiejś kaplicy, a on cały czas w kasynie siedział. W Bellagio! George Clooney pieprzony! Przegrał chyba ze sto tysięcy! Dolarów!

– O, w mordę!

– No. Potem chyba sumienie go ruszyło, bo zaczęłam się dąsać. W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się w Londynie na jeden dzień. Zabrał mnie na zakupy do Harrodsa. Powiedział, że mogę sobie wybrać, co tylko będę chciała.

– I co chciałaś?

– Szpilki – uśmiechnęła się Lola.

– Jakie szpilki? Krawieckie?

– Na nogi.

– Aaa... – do Bondka wreszcie dotarło. – Buty – dodał, nie kryjąc zawodu.

Lola pokiwała głową, ale na jej twarzy z jakiegoś powodu malowała się jednak satysfakcja.

– Dostyc szczególne buty – zawiesiła głos, oczekując pewnej reakcji, która jednak nie nastąpiła. – Nie zapytasz jakie? – zirytowała się w końcu.

– No jakie? – zreflektował się wreszcie Bondek.

– Wyszadzane diamentami.

– Nie...

Lola pokiwała głową.

– A teraz zapytaj, ile kosztowały.

– Ile... kosztowały? – Bondek wstrzymał oddech.

Lola długo milczała, z rozbawieniem obserwując coraz większe zaciekawienie malujące się na twarzy słuchacza.

– Milion – oznajmiła w końcu. – Funtów.

Bondek przełknął ślinę. Popatrzył na Lolę z niedowierzaniem, a ta na potwierdzenie swoich słów skinęła głową z triumfalnym uśmiechem.

– Chyba nie trzymasz tego w domu?

Niewinne z pozoru pytanie zupełnie Lolę rozżłościło.

– No nie, niestety – wycedziła. – Od razu zamknął je w swoim sejfie bankowym. I teraz niby mam diamentowe szpilki, ale jakbym ich nie miała!

– Głupia sprawa – zmartwił się Bondek.

– I to jak. Ale – Lola uśmiechnęła się diabolicznie – mam pewien plan. Jeśli nie oświadczy mi się przed wyjazdem... to miarka się przebrała.

Bondek popatrzył na Lolę z zainteresowaniem. Jego dawna koleżanka z polonistyki, której zresztą oboje nie skończyli, miała czasami odlotowe pomysły. Mieszkali w tym samym akademiku na Żwirkach, w sąsiednich boksach, przez krótki czas nawet ze sobą kręcili, ale szybko doszli do wniosku, że nie będzie z nich pary, bo są podobni do siebie jak dwie krople wody. Potem nie wchodzili sobie w drogę. Właściwie nie śledzili nawet swoich losów. Jednak teraz, gdy Lola była sławna i bogata, nie musieli przynajmniej przed sobą udawać kogoś innego. Oboje znali swoje cele: korzystać z życia, najchętniej kosztem innych, i nie przejmować się cudzymi uczuciami. I w realizacji tych celów zawsze mogli na siebie liczyć.

– Zaczniemy od tego – uśmiechnęła się Lola – że potrzebuję w domu nowego alarmu i ochrony. Rzuć mi jakąś kartkę i długopis.

Rozdział 9

Viola wpatrywała się nabożnie w drzwi gabinetu prezesa, tak jakby Lola Marini wciąż tam jeszcze stała, i nie zauważyła w związku z tym, że do sekretariatu weszła młoda, atrakcyjna kobieta. Miała niewiele ponad trzydzieści lat, a przynajmniej na tyle wyglądała. Jej figurze niczego nie można było zarzucić. Jasne włosy związała w koński ogon, a dyskretny makijaż w błękitach dodawał jej uroku. Ubrana była w obcisłe dzinsy w kolorze indygo i taką samą dzinsową bluzę narzuconą na sięgający do połowy uda luźny bawełniany T-shirt.

– Cześć, Michale. – Hanka Bondek podeszła do współnika męża i cmoknęła go przyjaźnie w policzek. – Dzień dobry, pani Violu – dodała oschle. – Muszę pilnie porozmawiać z mężem.

– Ale pan prezes jest teraz wyjątkowo zajęty – oznajmiła sekretarka z przejęciem.

– Tak? Nie wspominał rano o niczym wyjątkowym.

– Może zapomniał? – wstawiła się za szefem dobrze wyszkolona w tej kwestii sekretarka.

– Może. To czym teraz jest zajęty?

– Ma spotkanie z kluczowym klientem.

– To dlaczego Michała nie ma na tym spotkaniu?

– Booo... – Sekretarka popatrzyła na Michała bezradnie.

– Bo to jest klient, którym lepiej się nie dzielić z kolegą. – Michał uśmiechnął się krzywo.

– Czyli? – drażyła Hanka.

– Lola Marini.

– Aha.

Hanka Bondek w jednej sekundzie podeszła do drzwi gabinetu Jakuba Bondka, otworzyła je bez pukania i weszła.

Sytuacja, którą zastała w gabinecie męża, wyglądała niestety bardzo jednoznacznie. Na fotelu siedziała, z szeroko rozstawionymi nogami, Lola Marini, w spódniczce mini podciągniętej prawie pod pępek. Na podłodze, na kolanach, między jej nogami nurkował Jakub Bondek.

Wyjaśnienie tej sytuacji było akurat proste. Kiedy Lola poprosiła, żeby Bondek rzucił jej coś do pisania – ten rzeczywiście rzucił, tylko tak niefortunnie, że długopis znalazł się głęboko pod fotelem. Prezes próbował jedynie wydostać długopis, ale wyglądało to na coś zupełnie innego.

Kiedy Bondek wydobył długopis spomiędzy łydek chichoczącej Loli i zobaczył w drzwiach gabinetu swoją żonę – na chwilę zamarł. Po sekundzie jednak odzyskał normalny refleks.

– To nie tak, jak myślisz, kotku – szybko podniósł się z kolan, triumfalnie unosząc długopis. – Ja się tylko schyliłem po długopis.

Lola rozchichotała się jeszcze bardziej. Wstała z fotela, obciągnęła spódniczkę i podeszła do drzwi, ignorując Hankę.

– Myślę, że na razie wszystko mamy omówione. Proszę przygotować kosztorys.

Skinęła głową Bondkowi na pożegnanie i wyszła, nie oglądając się na nikogo.

Chwilę potem ten sam manewr wykonała Hanka, tyle że nie ukłoniła się swojemu mężowi.

W następnym momencie gabinet opuścił Jakub Bondek we własnej osobie. Nie musiał się nikomu kłaniać.

Rozdział 10

Pod siedzibę Bondek Security udało mi się dotrzeć wyjątkowo punktualnie. Zgodnie ze wskazówkami udzielonymi przez Miśka wbiegłem od razu na piętro, do sekretariatu, który mieścił się na wprost schodów. Moim oczom ukazał się dość dziwny widok. Pod drzwiami z lewej strony stała atrakcyjna młodziutka dziewczyna, pewnie sekretarka, z uchem przylepionym do framugi. Na biurku sekretarki siedział Misiek i śmiał się w głos, machając nogami. Na mój widok jednak od razu spoważniał.

– Cześć, stary! – Zeskoczył z biurka. – Chyba nie mam dla ciebie dobrych wieści.

Zdażył tylko wypowiedzieć te słowa, gdy drzwi po lewej stronie otworzyły się gwałtownie. Stojąca tam dziewczyna zdażyła odskoczyć w ostatniej chwili.

Z pokoju wyszła... W pierwszej chwili nie mogłem w to uwierzyć. Lola Marini! Znana wszystkim z telewizji, plotkarskich magazynów czy internetu. Nie dało się nie poznać historii jej życia, oczywiście precyzyjnie redagowanej przez nią samą. Dopóki siedziała gdzieś w głębi sieci, była dla mnie tylko awatarem, iluzją. Nie obchodziła mnie bardziej niż Angelina Jolie albo aktualny premier, nawet jeśli akurat był kobietą. Ale teraz oto Lola Marini przedefilowała dziesięć centymetrów od mojego nosa i nie dało się zignorować faktu, że naprawdę istnieje. Chociaż przejście przez sekretariat nie zajęło jej więcej niż pięć sekund i udało jej się nie obdarzyć spojrzeniem żadnej, łącznie ze mną, z pozostających tam osób, samo jej pojawienie się jak zwykle wprowadziło dużo zamieszania.

Chwilę potem z pokoju po lewej stronie wybiegła druga kobieta. Spotkanie z Lolą, jeśli tak to można było nazwać, kompletnie mnie oszołomiło, więc nie usunąłem się w porę z trajektorii następnej kobiety, wybiegającej z gabinetu prezesa w stanie o wiele bardziej wzburzonym, więc nie zdażyła wyhamować i wpadła prosto w moje ramiona.

– Przepraszam – wydukałem i uśmiechnąłem się, podtrzymując ją niezgrabnie, bo od razu straciła równowagę.

– To ja przepraszam.

Wymieniliśmy uśmiechy, a ten jej uśmiech był naprawdę obezwładniający.

Wypuściłem ją z objęć, gdy tylko ustabilizowała się w pionie, żeby broń Boże nie poczuła się molestowana.

Kobieta była piękna, ale zanim to do mnie dotarło, z pokoju po lewej wybiegła kolejna osoba – tym razem mężczyzna. Około czterdziestki, wysoki, atletycznie zbudowany, opalony jak Antonio Banderas i z taką samą bujną fryzurą. Już mu zacząłem zazdrościć – czupryny, oczywiście, bo na sylwetkę nie narzekam, a opaleniznę też mógłbym sobie zrobić, gdybym chciał – ale ładna kobieta stojąca

obok mnie wydawała się odporna na jego wdzięki.

– Myszko... – Banderas podszedł do niej i pocałował ją w szyję. – To naprawdę nieporozumienie.

– To myszko czy kotku, zdecyduj się, bo to dość zasadnicza różnica – odparowała złośliwie.

– Oj, kochanie, ona po prostu tu przyszła w sprawie służbowej. Chce u siebie w domu założyć alarm.

– Lepiej zejdz mi z oczu.

Mężczyźnie nie trzeba było tego powtarzać. Szybko wycofał się za drzwi swego gabinetu.

Kobieta próbowała ochłonać, głęboko oddychając, a Misiek podszedł do mnie i klepnął mnie po łopatce.

– No, sorry, stary. Nie udało się. Jakub nie chce zatrudniać nikogo nowego.

Zmartwiłem się szczerze. Robota zapowiadała się ciekawie, a praca razem z Miśkiem to też duża przyjemność. Ale cóż, nie od niego to zależało.

Kobieta stojąca obok doszła już do siebie i obserwowała mnie uważnie.

– Michał, może przedstawiś mi kolegę – zaproponowała.

– Tak, oczywiście, przepraszam. To jest mój stary przyjaciel, jeszcze z Londynu, Jacek Sparowski. Chciałem, żeby u nas pracował, ale Kuba się nie zgodził.

– Hanka Bondek. – Kobieta wyciągnęła rękę, a ja ucałowałem jej dłoń. – Żona tego tam – dorzuciła z przekąsem, wskazując głową w kierunku drzwi. – A co on w ogóle tutaj ma do gadania? – zapytała retorycznie, chwyciła mnie za rękę i zaciągnęła do gabinetu męża.

Jakub Bondek intensywnie starał się sprawiać wrażenie, że pochłonięty jest czytaniem leżących na biurku papierów, jednak gdy tylko żona weszła do gabinetu, natychmiast podniósł wzrok, a nawet się uśmiechnął.

– Przedstawiam ci naszego nowego pracownika. Pan Jacek Sparowski. Zaczyna od jutra. Michał za niego ręczy.

– Świetnie, świetnie, jak to dobrze się składa – ucieszył się Bondek, tak jakby zupełnie zapomniał, że kilka minut temu odmówił przyjęcia mnie do pracy. – Mamy właśnie nowe duże zlecenie. Pani Lola Marini zdecydowała się zamówić u nas kompleksowy system ochrony. Zaufani ludzie bardzo się przydadzą. – Wstał z biurka, uśmiechnął się szeroko i podał mi rękę. – Witamy w naszej drużynie.

Rozdział 11

Wyszedłem z biura o dziesiątej trzydzięci, zostawiwszy pani Violi wszystkie swoje dane potrzebne do sporządzenia umowy, i miałem cały dzień dla siebie. Postanowiłem udać się do pobliskiego centrum handlowego Blue City, aby kupić szczoteczkę do zębów, której nie znalazłem w rzeczach spakowanych przez Aldonkę, i jakieś produkty spożywcze, bo nie zamierzałem przecież objadać niezamożnej emerytki. I na tym by się pewnie skończyło, ale zabłąkałem się wśród pokrętnych alejek z markowymi butikami i zupełnie przypadkiem natrafiłem na sklep, którego w życiu bym się nie spodziewał w ekskluzywnym centrum handlowym. I wtedy, zainspirowany spotkaniem z Lolą, wpadłem na pewien ekstrawagancki pomysł. Skoro los sam mnie tutaj skierował, postanowiłem dokonać jeszcze jednego zakupu.

W sklepie zachowywałem się trochę jak blondynka dobierająca samochód do koloru sukienki, bo o towarze, który chciałem kupić, nie miałem bladego pojęcia. Sprzedawca polecił mi niedrogi model, więc szybko zapłaciłem i z nim wyszedłem, choć już kilka minut później uznałem, że to był chyba jednak głupi pomysł. Wrzuciłem pudełko do torby z jedzeniem i przestałem się nim interesować.

Nie miałem żadnych zajęć zaplanowanych na ten dzień, postanowiłem więc przespacerować się przez park, aż do ulicy Grójeckiej. Mogłem wreszcie przemyśleć wydarzenia dzisiejszego poranka.

Kobieta znana wszystkim jako Lola Marini to tak naprawdę Danuta Pączek, a potem Danuta Sparowska, moja ekszona.

To nie była krwawiąca rana, zabiłżniła się już dawno. A jednak nie potrafiłem o niej zapomnieć. Nie, nie dlatego, żebym coś do niej czuł, to znaczy mam na myśli pozytywne uczucia, bo negatywnych nie udało mi się pozbyć. To nie była nienawiść, to nie był żal. Raczej... obrzydzenie. Ale przede wszystkim złość na siebie, że byłem tak naiwny, tak głupi.

Prawie zupełnie o niej zapomniałem, ale dziś, gdy stała przede mną tak blisko, na wyciągnięcie ręki – wszystko znowu odżyło. W dodatku zupełnie mnie nie poznała, jakbym był dla niej nikim. Zresztą taka była prawda: byłem dla niej nikim, wyłamanym już dawno małym szczebelkiem do kariery.

Nigdy nie myślałem o sobie, że mógłbym pałać żądzą zemsty, ale tak właśnie się stało. Nie powinienem się do tego przyznawać, lecz marzyłem tylko o tym, żeby wreszcie ją jakoś ukarać.

Kiedy dotarłem do skrzyżowania z Grójecką, zobaczyłem na samym rogu kiosk, a przed nim billboard reklamujący dzisiejsze wydanie popularnego brukowca. Kto był na pierwszej stronie? Oczywiście Lola Marini. Robiła zakupy w londyńskim Harrodsie. Przymierzała szpilki wysadzone błyszczącymi kamykami

w towarzystwie jakiegoś faceta. „Hojny podarunek, kiedy ślub?” – głosił tytuł na całą szerokość strony.

Kupiłem gazetę i siedząc na przystanku tramwajowym, wczytałem się w jej treść. Tym razem Lola upolowała gościa nie z pierwszej setki, ale z pierwszej dziesiątki najbogatszych Polaków. I ten bałwan kupił jej szpilki wysadzone diamentami! Nie, nie było mi go żal. Jeśli to zrobił, na pewno było go na to stać. Czuję tylko wściekłość, że Lola tak łatwo osiąga każdy cel, że owija sobie ludzi wokół palca i nie ma sposobu, by ją powstrzymać.

Wsiadłem do tramwaju i znowu rozłożyłem gazetę. W środku również było pełno Loli. Lola w Las Vegas, Lola w kasynie, Lola na basenie w hotelu Bellagio, Lola w Harrodsie... Przecież fotograf nie pojechał za nią w ciemno na lotnisko, nie podejrzwał przy stanowisku odpraw, dokąd leci, i nie kupił zaraz biletu na ten sam samolot. To wszystko musiało być ustawione. A gdyby tak... pokonać ją jej własną bronią? Jakaś gigakompromitacja, o której napiszą wszystkie gazety, i milioner przejrzy na oczy? Pal diabli milionera, ale Lola nareszcie dostanie po dupie.

Ucieszyłem się z tego pomysłu i postanowiłem wprowadzić go w czyn. Tak, tylko jak to zrobić? I wtedy przypomniałem sobie, że przecież okazja nadarza się sama. Jak to dobrze, że pani Józefina jest fanką Skype'a i ma szybki internet w domu.

Rozdział 12

Rychu Jachul handlował na Allegro pod nickiem Czarna Mamba już od wielu lat, ale taki klient trafił mu się po raz pierwszy. Najpierw zadzwonił i upewnił się, że wszystkie wystawione na aukcjach towary są dostępne, w czym nie było jeszcze nic dziwnego. Potem zapytał, czy odbiór osobisty jest aktualny, a kiedy Rychu potwierdził niechętnie, bo wolał wysyłać towar pocztą, zadał pytanie, czy mógłby odebrać wszystko jeszcze dziś. Spieszący się klienci nie należeli do rzadkości, a ponieważ zamówienie było całkiem poważne, Rychu obiecał dojechać w ciągu dwóch godzin we wskazane miejsce. Wtedy klient zapytał – i to też nie było jeszcze niezwykle – czy może kupić towar bez rejestracji na Allegro. Ludzie zawsze targowali się wtedy o niższą cenę, no bo przecież sprzedający nie zapłaci prowizji, więc może opuścić. Ten gość jednak w ogóle się nie targował – i to już było dziwne. A kiedy w końcu wskazał miejsce odbioru towaru, Rychu zaczął trochę się niepokoić. Spotkanie miało się odbyć pod mostem Poniatowskiego, ale nie w jednej z mieszczących się tam modnych kawiarni, tylko na plaży, nad samą Wisłą, pod przęsłem południowej jezdni, tej, która wiedzie na Pragę. To się Rychowi bardzo nie spodobało, bo godzina transakcji wypadła już po zmroku, ale że nie handlował ani trefnym, ani nielegalnym towarem, więc – znużony sporym i szybkim zarobkiem – zgodził się w końcu przyjechać na umówione miejsce o umówionym czasie. Na wszelki wypadek jednak postanowił nie wysiadać z samochodu i najpierw zainkasować pieniądze, a dopiero potem wydać towar. Gdyby klient chciał zwinąć zakupione rzeczy i zwiać bez płacenia, Rychu nacisnąłby pedał gazu i byłoby po transakcji. Tylko straconego czasu i wypalonej benzyny żał.

Kiedy Rychu zatrzymał się na chodniku pod mostem, stał już tam wysoki mężczyzna ubrany w ciemną kurtkę, z kapturem zarzuconym na głowę. Był odwrócony twarzą do Wisły. Rychu nie zamierzał wysiadać z auta. Uchylił szybę o jedną trzecią i krzyknął w kierunku mężczyzny:

– Czarna Mamba!

Mężczyzna odwrócił się, ale bokiem, tak żeby nie było widać jego twarzy, i podszedł do samochodu.

– Johnny Depp – odpowiedział umówionym hasłem.

Sięgnął do kieszeni, co trochę Rycha zdenerwowało, ale w końcu silnik pracował, sprzęgło było wciśnięte, jedynka wrzucona, druga noga na gazie, samochód zamknięty centralnym zamkiem – i jedynie ta szyba to słaby punkt. Lecz mężczyzna nie wyciągnął pistoletu, tylko plik banknotów i podał je Rychowi. Rychu przeliczył, kiwnął głową i wysunął przez szparę w oknie spory pakiet, który mężczyzna zaraz schował za pazuchę.

- Nie sprawdzi pan? – zdziwił się Rychu.
 - Musimy sobie ufać – odpowiedział mężczyzna i klepnął otwartą dłońią w szybę, co Rychu zrozumiał doskonale.
 - Polecam się na przyszłość – rzucił jeszcze tylko i od razu nacisnął pedał gazu.
- Dopiero gdy Rychu zniknął za zakrętem, Jacek Sparowski otworzył pakiet. Zamówienie zgadzało się co do joty.

Rozdział 13

Tym razem nie przyśniły mi się palmy. W ogóle nie zapamiętałem, co mi się śniło. Pamiętam tylko łagodną melodyjkę dzwonka, którą wyciszałem chyba ze cztery razy. Ostrego dźwięku domofonu nie dało się jednak wyciszyć. Dopiero wtedy zerwałem się z łóżka na równe nogi. No tak, dziś pierwszy dzień pracy w nowym miejscu i od razu taka plama. Na swoje usprawiedliwienie mogę tylko powiedzieć, że do czwartej nad ranem siedziałem nad instrukcjami obsługi zakupionego poprzedniego dnia sprzętu, zanim wreszcie nauczyłem się, jak te najnowsze cuda techniki obsługiwać. Zapakowałem wszystko do monerskiej torby, z którą zwykle chodziłem do pracy, i postawiłem ją przy wyjściu, żeby przypadkiem nie zapomnieć, bo takie rzeczy też mi się zdarzały. Ale przecież przed Miśkiem nie mogę się tak tłumaczyć. Lepiej, żeby o niczym nie wiedział. Nawet wolę nie myśleć, co by było, gdyby się domyślił, co knuję.

Zacząłem działać błyskawicznie. Wyrzuciłem na łóżko całą zawartość mojego marynarskiego wora. Wszystkie rzeczy były jednakowo wymięte, więc odróżnienie ubrań czystych od brudnych mogło się odbyć tylko metodą organoleptyczną. Ze slipami poszło najłatwiej – miałem ostatnią, nierozpakowaną jeszcze paczkę. Wciągnąłem na siebie wczorajsze dżinsy, naprawdę mało noszone, chwyciłem T-shirt, którego zapach wskazywał na to, że nie był jeszcze używany, i udało mi się wymknąć do łazienki, zanim pani Józefina zdążyła otworzyć Miśkowi drzwi. Wykonałem sprintem zestaw podstawowych ablucji i po chwili świeży, choć nieogolony, ale za to pachnący wodą kolońską Boss – prezentem od Aldonki – mogłem przywitać się z przyjacielem.

– Już nie śpisz? – zdziwił się Misiek, podając mi rękę. – Specjalnie przyszedłem wcześniej, żeby cię obudzić – żażartował.

Uśmiechnąłem się wyrozumiale.

– Może i mam kłopoty z wczesnym wstawaniem – odrzekłem z powagą – ale przecież poważnie traktuję swoje obowiązki. Jestem na nogach już od świtu.

Pani Józefina litościwie nie sprostowała mojej wypowiedzi, tylko zaproponowała nam kawę i rogaliki francuskie. Misiek grzecznie podziękował za napój, bo jedną już wypił tuż przed wyjściem z domu, więc mnie, niestety, nie pozostało nic innego, jak również uprzejmie odmówić.

– Może weźmiecie chociaż, chłopcy, po rogaliku na drogę? – Pani Józefina nie poddała się tak łatwo i podsunęła nam tackę.

– Z przyjemnością! – Szybko sięgnąłem po croissanta i połknąłem go w dwóch kęsach, zanim Misiek zdążył odpowiedzieć, że nie jest głodny.

Gdy wkładałem w przedpokoju kurtkę, pani Józefina wcisnęła mi do kieszeni pakiecik z drugim rogalikiem.

– Niech pan weźmie też dla Michała – oznajmiła, mrugając do mnie okiem. – Może zgłodnieje później.

Podziękowałem jej szerokim uśmiechem.

– Oj, panie Jacku – szepnęła mi do ucha, gdy pochyliłem się, żeby zawiązać buty – coś mi się zdaje, że bardzo pan potrzebuje kobiety, która by panu trochę zorganizowała życie.

Dobrze, że pani Józefina nie mogła zobaczyć mojej miny, bo wyraz ciężkiego niepokoju na mojej twarzy na pewno by jej się nie spodobał. Na szczęście nie miałem czasu na rozmyślania, co konkretnie chciała powiedzieć przez to „organizowanie życia”, bo robota czekała. Dla mnie – podwójna robota.

– Co my właściwie tam mamy robić? – zapytałem Miśka, kiedy już wsiedliśmy do samochodu.

– Banalna sprawa. Lola Marini postanowiła zmienić zwykły domofon w swojej willi na taki z kamerką, żeby mogła widzieć, kto dzwoni, zanim zdecyduje się przyznać, czy przebywa w domu, czy nie. Całe okablowanie już jest, musimy tylko sprawdzić wszystkie czujki i wymienić pudełko.

– Tylko tyle? To jest robota na jeden dzień – w moim głosie zadźwięczał zawód, ale na szczęście Misiek nie zinterpretował tej odruchowej reakcji prawidłowo.

– Nie martw się, zdążysz wziąć autograf – roześmiał się. – Jeśli liczyłeś na podryw, to wybij sobie z głowy.

– Jaki podryw? Wolę brunetki. Ale wczoraj wszystko wyglądało tak, jakby to miało być jakieś wielkie zlecenie, dwa tygodnie pracy co najmniej.

– To Lola Marini jest wielka, więc zlecenie jest wielkie. Taki jest tok rozumowania mojego współnika. Musisz się do tego przyzwyczaić.

Pokiwałem głową.

– Aha, no i jeszcze centralkę musimy wymienić, bo przy okazji pani Marini zdecydowała się również rozstać ze swoją poprzednią agencją ochrony. Teraz będziemy chronić ją my.

– Dlaczego?

– No chyba nie dlatego, że jesteśmy tańsi – roześmiał się Misiek. – Odniosłem wrażenie, że jest mocno zaprzyjaźniona z moim współnikiem.

– A coś bliższego?

– Nie mam pojęcia. Ale wejdź na Plotka, może się dowiesz.

– Wiesz, chyba jednak mało mnie to interesuje – odparłem znudzonym głosem i na potwierdzenie moich słów zamilkłem.

Jeden dzień. Mam tylko jeden dzień. Jeśli nie zrobię tego dzisiaj, drugi raz nie będę miał takiej okazji. Dzisiaj albo nigdy. Mój plan mógł się powieść tylko pod jednym warunkiem: że Lola mnie nie rozpozna. Jakie były na to szanse? To okaże się już wkrótce. W biurze u Bondka mnie nie poznała, ale to była dość

specyficzna sytuacja. Tam byłem meblem, nikiem. Teraz będziemy musieli spojrzeć sobie w oczy. Jednak miałem sporą przewagę. Ona ostatni raz widziała mnie siedemnaście lat temu. Nie mogła o mnie zapomnieć, tego byłem pewien, ale pamiętała zupełnie inną twarz. Kiedyś miałem włosy jak Mel Gibson w *Braveheart*, a dziś przypominam raczej Bruce'a Willisa. Tak, jestem łysy jak kolano. Nie mówiłem tego jeszcze? Bo nie ma się czym chwalić. Do tej pory niespecjalnie mnie to cieszyło. Dzisiaj dostrzegłem zalety mojego image'u.

A co, jeśli jednak Lola mnie rozpozna? Jak się zachowa? Ma w zasadzie dwa wyjścia. Może udawać, że mnie nie zna, i liczyć na to, że ja będę się zachowywać tak samo... Ale nie, na pewno tak nie zrobi. Nie jest głupia. Wie, że skrywane przez tyle lat emocje muszą kiedyś wybuchnąć. Więc rozpozna mnie i... wyrzuci za drzwi. Tak właśnie zrobi, nie będzie się patyczkować.

Trochę mi ulżyło. Nie będę musiał realizować mojego planu, nie będę ryzykować, że zawiodę zaufanie najlepszego przyjaciela. Wszystko zostanie tak jak dawniej.

Rozdział 14

Józefina Żbik polubiła Jacka Sparowskiego od pierwszego wejrzenia. Nie tylko dlatego, że miał tę samą słabość co ona – nie lubił wczesnego wstawania, lecz o tym dowiedziała się później – ale też dlatego, że dobrze patrzyło mu z oczu. Pani Józefina знаła się na ludziach. Trzydzieści lat pracy z osobami, które prawie zawsze starały się ukrywać swoje prawdziwe oblicze, zrobiło swoje. Umiała wyczuć nieszczerłość na kilometr, a Jacek miał poczciwość wypisaną na twarzy. Do tego już pierwszego wieczoru naprawił zacinającą się spłuczkę w klozecie i ustawił jej laptop tak, że przestały wyskakiwać te irytujące okienka z reklamami, więc okazał się również osobą pożyteczną.

Józefina była kobietą taktowną, więc nie wchodziła w szczegóły, dlaczego to nagle mężczyzna w sile wieku znalazł się bez dachu nad głową. Ale znała życie na tyle, by się domyślać, że jeśli nie wiadomo, o co chodzi, to zawsze chodzi albo o pieniądze, albo o kobietę. Nie wypytywała też o nic, licząc na to, że człowiek jest istotą społeczną, więc Jacek sam w końcu podzielił się z nią swoją historią. Przed nią wszyscy kiedyś się otwierali, nawet ci, którzy wcale nie mieli wcześniej takiej intencji. Już ona miała swoje metody.

Agata wprawdzie uprzedziła ją lojalnie, że Jacek jest w takim samym stopniu osobą czarującą, co – jak się wyraziła dyplomatycznie – nieorganizowaną, ale to akurat zupełnie Józefinie nie przeszkadzało. Znała dobrze Agatę i wiedziała, że siostrzenica była pod tym względem mocno przewrażliwiona. Trafiła szczęśliwie na Miśka, poukładanego jak mechanizm szwajcarskiego zegarka, i w ogóle nie rozumiała, że faceci tacy po prostu już są – potrzebują kobiety, która zorganizowałaby im życie. W tym domu mieszkało przecież kiedyś czterech mężczyzn i gdyby nie Józefina, zupełnie nie potrafiliby się odnaleźć. Mąż już od wielu lat nie żyje, nie może poświadczyć, ale trzej synowie, których los rozrzucił po świecie, radzą sobie doskonale. Józefina była przekonana, że jej talenty socjopedagogiczne sprawdzą się również w przypadku Jacka. Potrzeba tylko trochę czasu.

Józefina weszła do dawnego pokoju swojego najmłodszego syna, który w Dęblinie uczył się pilotować F-16. Nie żeby od razu robić inspekcję. Chciała po prostu zwolnić Jackowi miejsce w szafie. Sterta skłębionych ubrań na nieposłanym łóżku niespecjalnie ją zaskoczyła, tylko utwierdziła w przekonaniu, że ma do czynienia z przypadkiem wymagającym szczególnego nakładu pracy. Nie zniechęciło jej to jednak. Bynajmniej. Józefina bardzo lubiła wyzwania.

Otworzyła szafę i zaczęła opróżniać ją z rzeczy syna. Kiedy wyłożyła na biurko poukładane w równą kostkę koszule, jej oczom ukazał się kompletnie zaskakujący widok.

Na półce leżała beretta. Model M92F. Józefina gwizdnęła cicho i wzięła pistolet do ręki. Obejrzała go ostrożnie ze wszystkich stron, po czym wytarła dokładnie, używając jednego ze zmiętych podkoszulków Jacka leżących na łóżku. Odłożyła pistolet na miejsce i przykryła go koszulami.

Przypadek Jacka Sparowskiego okazał się jeszcze bardziej interesujący, niż jej się wydawało.

Rozdział 15

Dom Loli Marini usytuowany był na jednej ze ślepych uliczek, które dochodziły do samego parku Szczęśliwickiego. Dało się tam wjechać tylko od ulicy Włodarzewskiej. Grunty w tej okolicy były bardzo drogie, więc działki wydzielano niewielkie, a budynki zajmowały prawie całą przewidzianą prawem powierzchnię zabudowy i stały blisko siebie.

Mówiąc szczerze, willa Loli Marini trochę mnie rozczarowała. Wyobrażałem sobie, że będzie to jakaś superrezydencja, a tymczasem nawet słowo „willa” było w stosunku do tego budynku trochę na wyrost. Dom miał z pewnością powyżej trzystu metrów kwadratowych, ale nie wyróżniał się ani wyszukaną architekturą, ani oryginalnym wykończeniem. Ot, po prostu prowincjonalna chata, tyle że w środku Warszawy i całkiem spora. To była pamiątka po drugim mężu Loli, który zanim otworzył sieć kurzych ferm i opanował całkowicie polski rynek jajek, dorobił się na handlu traktorami sprowadzanymi z Białorusi, więc trudno go było posądzać o wyrafinowany gust.

Budynek powstał w połowie lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku i to było widać – tynki już porządnie poszarzały, a materiały użyte do wykończenia dawno wyszły z mody. Posesję ze wszystkich stron otaczał szpaler żywotników i tylko im upływ czasu nie zaszkodził, wręcz przeciwnie. Rozrosły się pięknie, idealnie izolując dom od sąsiadów. Budynek można było obejrzeć wyłącznie od strony wjazdu do garażu, przez ażurową kutą bramę udekorowaną chyba tysiącem stalowych różyczek.

Z lektury czasopism brukowych wywnioskowałem, że Loli kroi się wkrótce przeprowadzka do prawdziwej rezydencji, dlatego nie opłaca jej się inwestować w remont tego domu. Tym dziwniejszy wydał mi się więc pomysł zmiany domofonu i agencji ochrony. Ale nie mnie to było oceniać. Widocznie miała w tym jakiś cel.

Do drzwi Loli zadzwoniliśmy punktualnie, z dokładnością do pół sekundy. Otworzyła prawie natychmiast, jakby czuwała tuż za nimi. Domofon faktycznie trochę szwankował, głos dochodził przytłumiony, brzęczyk przerywał i dopiero przy trzeciej próbie furtka ustąpiła. Podeszliśmy do drzwi wejściowych, mijając dobrze utrzymany niewielki klomb z kwiatami – Misiek pierwszy, ja za nim, starając się nie wychylać zza jego pleców. Zastanawiałem się wcześniej, czyby nie włożyć czapki cyklistówki, aby ukryć twarz w cieniu jej daszka, ale po namyśle doszedłem do wniosku, że łysina będzie najlepszym kamuflażem. Zaraz się miało okazać, czy miałem rację.

Lola powitała nas w drzwiach ubrana jak do sesji zdjęciowej w lifestyle’owym magazynie.

– Gratuluję punktualności – powiedziała zamiast „dzień dobry” i od razu sięgnęła po kapelusz z szerokim rondem, w różowym kolorze, leżący na komódce w przedpokoju.

– Panowie wiedzą, co robić? – zapytała, zanim Misiek zdążył zareagować na nietypowe powitanie.

– Tak, oczywiście – potwierdził Misiek, stwierdzając zapewne, że na standardowe „dzień dobry” lub chociaż uścisk dłoni diwy raczej nie ma co liczyć.

– Świetnie.

Lola stanęła przed wielkim lustrem i zajęła się poszukiwaniem najlepszej pozycji dla kapelusza na swojej głowie.

Staralem się unikać wkraczania w jej pole widzenia, chociaż zupełnie niepotrzebnie. Lola interesowała się wyłącznie swoim odbiciem.

– Jak długo to potrwa? – Kapelusz na jej głowie zmienił pozycję po raz trzeci.

– Myślę, że powinniśmy skończyć dzisiaj.

– Do której? – W głosie Loli zadźwięczało zniecierpliwienie.

– Szósta, siódma?

– Niemożliwe. – Lola odwróciła twarz od lustra i popatrzyła na Miśka z naganą. Na szczęście ja stałem wtedy za wieszakiem z ubraniami. – Nie macie więcej ludzi?

– Mamy. – Cierpliwość Miśka zaczynała się kończyć. – Mam ich tu przyprowadzić po to tylko, żeby stali i przyglądali się, jak pracujemy? – zapytał z sarkazmem. – To nie jest kwestia ludzi, proszę pani. Po prostu pewnych czynności szybciej nie da się wykonać.

– O czwartej ma już tu nikogo nie być – spuściła trochę z tonu Lola.

– Nie mogę tego zagwarantować.

– Mam ważne spotkanie.

– Możemy dokończyć jutro.

– W weekend? – prychnęła. – Nie wchodzi w grę. Najwyżej w poniedziałek.

– Tylko że wtedy pozostanie pani przez weekend bez domofonu, alarmu i ochrony.

– Poproszę Kubę, żeby mi przysłał specjalny patrol. – Nie przejęła się ostrzeżeniem. – Obiecał przecież, że wszystko będzie gotowe w jeden dzień.

Zza wieszaka widziałem, jak Misiek zaciska szczęki, bierze głęboki wdech i szybko wypuszcza powietrze.

– Oczywiście, proszę dzwonić – odpowiedział uprzejmie po krótkiej pauzie.

– Tak zrobię. – Lola włożyła futro z farbowanych na różowo lisów i zarzuciła na ramię torebkę. – A teraz muszę panów opuścić. Bardzo się spieszę. Proszę, tu są klucze. – Wcisnęła Miśkowi pęk kluczy do ręki i otworzyła drzwi prowadzące do garażu, w którym stało różowe porsche. Mnie – robola – nie

zaszczyliła nawet jednym spojrzeniem.

– Chwileczkę! – Misiek wbiegł za nią do garażu, gdy zatrzasnęła już drzwi samochodu, i zapukał w szybę.

Lola otworzyła okno.

– Muszę znać kod alarmu.

Głos Loli zmieszał się z dźwiękiem uruchamianego silnika i podnoszonej mechanicznie bramy. Do mnie nie dotarła niestety ani cyferka.

– Czy to ci się często zdarza? – zapytałem, gdy Misiek wrócił z garażu. – Że ludzie zostawiają ci klucze od domu i jadą w świat?

– Tylko jak pracowałem u przyjaciół. Raz albo dwa razy.

– Czyli Lola musi być z twoim współnikiem mocno zaprzyjaźniona.

– Na to wygląda – westchnął Misiek, a ja już nie wnikałem, co za tym westchnieniem się kryje. – Lepiej weźmy się do roboty.

Rozdział 16

Kości zostały rzucone. Właściwie to rzuciła je Lola, bo nawet w najdalej idących planach nie przypuszczałem, że sytuacja może się rozwinąć aż tak pomyślnie dla mnie.

Wprowadzenie w życie mojego pomysłu uzależniałem od wielu czynników. Co prawda plan był wariacki, ale ja wariatem nie jestem. Przede wszystkim nie chciałem zaszkodzić Miśkowi i to najbardziej mnie ograniczało. Ale układ wydarzeń okazał się na tyle korzystny, że lista moich obaw została mocno zredukowana. Postanowiłem działać.

Pierwszy i najważniejszy warunek powodzenia planu został spełniony – Lola mnie nie poznała. Inna sprawa, że pewnie dlatego, iż w ogóle nie zwróciła na mnie uwagi, ale po dwóch ostatnich spotkaniach z nią miałem prawo przypuszczać, że w jej zachowaniu nic się nie zmieni. Nie zamierzałem zresztą rzucać jej się w oczy i wolałem poczekać w samochodzie, gdy Misiek będzie po południu oddawać klucze.

Warunek drugi – nie szkodzić Miśkowi. No cóż, elementu ryzyka nie da się całkowicie wyeliminować, ale kto nie ryzykuje... Wolałem jednak nie wyobrażać sobie, w jakie kłopoty wpakowałbym przyjaciela, gdybym wpadł.

Chyba pora wreszcie wyjawić, na czym miał polegać mój plan. O tym, że chciałem skompromitować byłą żonę, już wiecie. Zresztą „skompromitować” może nie jest tutaj najszcześliwszym słowem. Po prostu pokazać, jaka jest naprawdę. A że ujawnienie tej prawdy jest jednoznaczne z kompromitacją, to już inna sprawa.

Kiedy dowiedziałem się, że będziemy pracować u Loli – a było to jak wyzwanie losu – natychmiast zakupiłem trzy miniaturowe bezprzewodowe kamerki z osprzętem, miałem bowiem zamiar monitorować to, co dzieje się w domu Loli. Rozumiem, że w tym momencie, jeśli mieliście do mnie jeszcze jakieś zaufanie, to właśnie je straciliście. Ale nie będę się usprawiedliwiać, że dzisiaj to norma, bo teraz wszyscy wszystkich podsłuchują. Miałem swój cel i chciałem go osiągnąć. Zgoda, niezbyt czystymi metodami. Lecz gdybyście wiedzieli, co ona mi zrobiła...

Kupiłem te kamerki, wyobrażając sobie, jaki to będzie skandal i jaką będę miał satysfakcję, kiedy filmiki pojawią się w sieci, ale chwilę potem pomyślałem o Miśku i pojawiły się dwa problemy do rozwiązania. Przecież Lola domyśli się od razu, że kamerki zostały zainstalowane w trakcie montażu alarmu, złoży doniesienie do prokuratury i Miśka wyprowadzą w kajdankach, zanim okaże się, że to ja jestem wszystkiemu winien. A taki rozgłos firmie bazującej w końcu za zaufaniu klientów na pewno nie wyjdzie na dobre. Ten problem jednak można było rozwiązać w dość prosty sposób. Wystarczyło uzbroić się w cierpliwość – filmy

mogłem opublikować dopiero wtedy, gdy Lola zdąży już zapomnieć, co, kiedy i z kim robiła, i nie powiąże czasu ich powstania z terminem montażu alarmu.

Z rozwiązaniem drugiego problemu – jak pozbyć się dowodów winy – było znacznie gorzej. Plan mógł się powieść tylko pod jednym warunkiem – że kamerki zostaną usunięte, zanim Lola je odkryje. Tylko jak to zrobić? Przecież się nie włamię. Miałem udawać listonosza? Dostawcę pizzy? Może zepsuć domofon? Wtedy byłby pretekst, żeby pojawić się w jej domu raz jeszcze...

Ten ostatni pomysł nie był taki głupi, wystarczyło nie dokręcić dokładnie jakiejś śrubki. Ale kiedy rano wsiałem do samochodu Miśka, problem drugi pozostawał nierozwiązany. Zabrałem z sobą wprawdzie zestaw do filmowania, jednak bez większego przekonania, że będę miał okazję go wykorzystać.

Tymczasem zostaliśmy w domu Loli zupełnie sami. Misiek zajął się demontażem starego domofonu, a ja zacząłem sprawdzać czujki. Czy możecie sobie wyobrazić lepsze warunki do umieszczenia kamer w dyskretnych miejscach? Do tego w poniedziałek mieliśmy się tu pojawić jeszcze raz. Wtedy mógłbym spokojnie zdemontować osprzęt, a w sobotę i niedzielę podsłuchiwać Lolę do woli. Oczywiście mogło być tak, że przez cały weekend nic się nie wydarzy, Lola gdzieś wyjedzie albo zamiast przyjmować milionerów, przez cały dzień będzie oglądać seriale telewizyjne... Ale warto było zaryzykować.

Chociaż wszystkie czujki działały bez zarzutu, zszedłem do Miśka, by powiedzieć mu, że jedna się rozłączyła. Chciałem mieć trochę więcej czasu. Najłatwiej mi poszło w salonie. Umieściłem kamerkę na żyrandolu z kutego żelaza, ozdobionego taką liczbą listków i różyczek, i jeszcze obwieszono szklanymi paciorkami, że jedno dodatkowe oko kamery zupełnie gubiło się w tym natłoku szczegółów. Na szczęście żarówki zostały osłonięte metalowymi, skierowanymi w dół kielichami, więc światło lampy się nie rozpraszało i kamera będzie mogła przekazywać obraz prawidłowo.

W sypialni Loli, w której stało wielkie łóżko z nieprawdopodobną liczbą falbanek i poduszek w różowym kolorze, umocowałem kamerkę na czujce od alarmu. Znajdowała się tak wysoko, że gdy się patrzyło z dołu, była zupełnie niewidoczna. Trzecią kamerkę chciałem umieścić w kuchni, ale gdy wszedłem do pomieszczenia, które sprawiało wrażenie, jakby nigdy nie było używane, zrezygnowałem z tego pomysłu i zaczepiłem ją wśród liści ogromnego fikusa w holu.

Zastanawiacie się pewnie, czy nie byłoby prościej, gdybym wtajemniczył we wszystko Miśka. To nie wchodziło w grę. Nigdy by się na mój plan nie zgodził. Nie spotkałem drugiego tak kryształowego człowieka jak on. Nawet gdybym opowiedział mu, co Lola mi zrobiła, pewnie zgodziłby się ze mną, że jest zdzirą, ale nie przestałaby być dla niego przede wszystkim klientką. A klient jest święty, to nie podlega dyskusji, nawet jeśli jest zdzirą.

Tak jak przewidział Misiek, zasadnicze prace zakończyliśmy przed czwartą. Na poniedziałek pozostały nam tylko podłączenie centralki i uruchomienie systemu.

– To ja poczekam w samochodzie – wycofałem się na z góry upatrzoną pozycję. – Będziesz miał większe szanse – mrugnąłem do Miśka. – Ja na uścisk dłoni gwiazdy chyba nie mam co liczyć.

Misiek popatrzył na mnie z dezaprobatą i oddał kluczyki do auta. Zdążyłem wsiąść i zatrzasnąć drzwi, kiedy kuta brama zaczęła się przesuwać i wjechało przez nią różowe porsche. Lola Marini wróciła do domu.

Rozdział 17

Ulica Grójecka, największa i najważniejsza arteria na warszawskiej Ochocie, nigdy nie miała szczęścia do lokali gastronomicznych. Oprócz baru mlecznego Biedronka, który działa nieprzerwanie od zamierchłej komuny, oraz pizzerii, powstałej już w nowych czasach na miejscu dawnej piekarni, żadna inna restauracja nie przetrwała tam dłużej niż trzy lata. Wykończyła je konkurencja aptek i banków, których na odcinku między dwoma przystankami tramwajowymi naliczyłem dziesięć.

Sam wychodziłem właśnie z jednego z nich, wynosząc grubszą gotówkę w kieszeni.

Naruszyłem po raz pierwszy swoją żelazną zasadę: nie tykać pieniędzy odłożonych na czarną godzinę. Chociaż to, czego się dziś dopuściłem, można chyba było nazwać sytuacją bez wyjścia. A skoro na tyle już zabrakło mi oleju w głowie, że zacząłem realizować swój plan, musiałem go skończyć. Za wszelką cenę, nawet jeśli oznaczało to straszne głupstwo. Czy to nie jest właśnie czarna godzina?

Skończyliśmy dziś robotę wcześniej, niż planowaliśmy, a że był akurat piątek, pierwszy dzień mojej nowej pracy, do tego od dwóch lat nie mieliśmy okazji, żeby zwyczajnie usiąść i pogadać, pretekstów do wspólnego wypicia piwa nie brakowało. Misiek odprowadził tylko samochód pod dom, ja załatwiłem sprawę w banku i spotkaliśmy się w nowo otwartej kebabowni na Grójeckiej. Po pizzeriach i sushi barach teraz i tutaj przyszła moda na kebaby. Tureckie specjały, pisane przez b, chyba żeby nie drażnić polskich purystów ortograficznych, pojawiły się aż w czterech miejscach. Nie wróżyłem im długiego żywota. W Śródmieściu jak grzyby po deszczu zaczęły właśnie wyrastać hamburgerownie. Ta moda zaraz dotrze i na Ochotę.

Na razie zamówiłem dla siebie całkiem smaczny kebab w picie – wspominając, jak kiedyś sam w londyńskiej budce zawijałem mięso w placki – a do tego duże piwo. Misiek zadowolił się samym piwem, w domu czekała go jeszcze kolacja.

– Agata nie ma nic przeciwko, że tutaj ze mną jesteś? – zapytałem.

Misiek strapił się nieco.

– Jeszcze o niczym nie wie. Miałem wrócić o siódmej.

– Ale powiesz jej?

– A dlaczego nie?

– Żeby na przykład uniknąć komentarzy, że się spotykasz z niewłaściwą osobą.

Roześmiał się.

– Chyba demonizujesz moją żonę. Ona naprawdę cię lubi. Tylko weź poprawkę na to, że za tydzień ma rodzić. To zupełnie zmienia optykę. Kiedyś sam zobaczysz, jak to jest.

Pokiwałem głową bez przekonania i westchnąłem. Misiek dobrze odczytał mój nastrój.

– Z Aldoną na pewno już wszystko skończone?

– Na pewno, od dawna się na to zanosilo.

– Przykro mi.

– To i tak nie miało przyszłości. Za duża niezgodność charakterów.

– A co w niej jest takiego niezgodnego?

– Ona jest... – zamyśliłem się – ...za dobrze jak dla mnie zorganizowana.

Wszystko musi być według planu, co do sekundy, żadnej spontaniczności, wolności, improwizacji.

– Żadnego wysypiania się do południa... – dodał Misiek.

– No właśnie – przytaknąłem tylko, choć dobrze wyczułem ironię w głosie przyjaciela. – Niektórzy wolą pracować na drugą zmianę. Jako mój pracodawca weź to pod uwagę.

– A jaki jest twój ideał kobiety? – drażył Misiek. – Jaka by ona miała być, tak jednym słowem?

– Chcesz mi założyć profil na portalu randkowym?

– Ja nie, ale za ciocię Ziuę nie ręczę.

Musiałem mieć głupią minę, bo Misiek się roześmiał.

– Żartowałem. Ale wiem, że jest całkiem niezła w te klocki. Surfowanie po necie ma wzorowo opanowane. To jaka by miała być ta twoja wymarzona?

– Jednym słowem? To trudne. – Tym razem zamilkłem zakłopotany. – Wiem! – odparłem po chwili triumfalnie.

– No? – zaciekawił się Misiek.

– Niedrobiaszowa.

Misiek stuknął swoją szklanicą o moją.

– To żebyś znalazł taką dziewczynę.

– I jeszcze żeby chciała ze mną pływać po ciepłych morzach i łowić tuńczyka.

– O, tu już za dużo wymagasz.

– No dobrze, zamienię ewentualnie tuńczyka na leszcza na Mazurach. Za leszcza! – Tym razem ja uniosłem szklanke i stuknęliśmy się znowu.

Rozdział 18

Odkąd Józefina Żbik znalazła w pokoju Jacka berettę M92F, postanowiła poddać swojego lokatora specjalnej obserwacji.

Poprzedniego dnia po powrocie z pracy otworzył drzwi i przemknął przez korytarz tak cicho, że gdyby nie potknął się o stojący w przedpokoju stojak na parasole, w ogóle by jego wejścia nie zauważyła. Od razu też zamknął się w swoim pokoju. Józefina prawidłowo odczytała takie zachowanie i wrodzona dyskrecja zabroniła jej zapukać do jego drzwi z pytaniem, jak minął dzień. Wrodzona ciekawość za to nakazała jej stanąć pod tymi samymi drzwiami i nasłuchiwać.

Wydawało się, że Jacek rozpoczął działania od porządkowania sterty rzeczy leżących na łóżku. To dobrze. Docierały do niej odgłosy skrzypiących drzwi szafy, szeleszczenia foliowych reklamówek, do których najpewniej pakował ubrania do prania, a potem usłyszała szuranie krzesła odsuwanego od biurka, a po kilkudziesięciu sekundach – dźwięk charakterystyczny dla otwierania systemu Windows. Jacek włączył laptop. Czyli mamy go z głowy na dzisiaj – skonstatowała Józefina. Żeby się upewnić, przeszła do swojej sypialni i zerknęła na router Wi-Fi. Był w użyciu. Znaczący można iść spać. Nastawiła budzik na ósmą, tak na wszelki wypadek, ponieważ nie przypuszczała, żeby Jacek obudził się wcześniej, i spokojnie zaczęła nalewać wody do wanny.

W sobotę rano, zanim jeszcze zadzwonił budzik, Józefinę dobiegł szum wody lejącej się w łazience. Natychmiast ją to otrzeźwiło. Musiało się dziać naprawdę coś ważnego, skoro Jacek wstał z łóżka tak wcześnie.

Żeby nie tracić czasu, ubrała się szybko w rzeczy, które miała wczoraj na sobie, i weszła do łazienki, gdy tylko opuścił ją Jacek. Umyła się błyskawicznie, ręce, twarz, zęby. Trudno, reszta będzie musiała poczekać, niekiedy trzeba się poświęcić dla wiedzy. Gdy opuściła łazienkę, za Jackiem właśnie zamknęły się drzwi wyjściowe. Niewiele się namyślając, narzuciła na siebie płaszcz, chwyciła torebkę i wybiegła za nim.

Straciła trochę czasu, zbiegając po schodach, podczas gdy Jacek jechał windą, więc gdy znalazła się przed budynkiem, jej lokator stał już u wylotu ulicy Uniwersyteckiej na plac Narutowicza. Mogła spróbować go śledzić na piechotę, ale gdyby wszedł do tramwaju, tyle by go widziała, a Jacek rzeczywiście ruszył w stronę przystanku.

Nie było wyjścia, musiała skorzystać z samochodu. Stał zaparkowany na Akademickiej, bo dopiero tam, spory kawałek od domu, udało jej się znaleźć wolne miejsce. Ale tym razem była to okoliczność sprzyjająca. Kiedy Józefina wsiadła do swojego dwunastoletniego auta, które nazywała pieśczośliwie gruchotem, mogła swobodnie obserwować poczynania Jacka. Długo to jednak nie trwało. Zaraz

podjechał tramwaj w stronę Okęcia, Jacek wsiadł do niego, a Józefina przekreśliła kluczyk w stacyjce i ruszyła za nim.

Józefina nie lubiła kierować samochodem. Kiedy żył jej mąż, prawie nigdy nie siadała za kółkiem. Ale okoliczności w końcu ją do tego zmusiły. Po przejściu na emeryturę korzystała jednak z auta sporadycznie. Było o wiele za duże jak na jej potrzeby. Sprawdzało się doskonale, gdy wyjeżdżali na wakacje wszyscy razem, cała piątka i pies, ale teraz trzymała je tylko z sentymentu. Miało na liczniku zaledwie osiemdziesiąt tysięcy kilometrów i chociaż parkowanie pod chmurką naruszyło trochę jego lakier na karoserii, to wnętrze było w prawie idealnym stanie.

Śledzenie tramwaju samochodem przedstawiało pewną trudność. Tramwaj zatrzymywał się na przystankach, niestety. I o ile pierwsze dwa postoje – przy Wawelskiej i Och-Teatrze – zbiegły się szczęśliwie ze zmianą świateł, o tyle żeby obserwować, co dzieje się na następnym przystanku, musiała dłużej poczekać. Udało jej się zatrzymać w zatoczce przed wietnamskim barem, skąd miała też widok na kolejny przystanek, pod Halą Banacha. Gdyby jej lokator wysiadł w tym miejscu, na pewno by go dogoniła.

Na tym przystanku Jacek jednak nie wysiadł z tramwaju, więc Józefina znów ruszyła za nim. Spóźniła się jednak o dwie sekundy, bo kiedy dotarła na skrzyżowanie z Dickensa, tramwaj już odjechał, a ona została wstrzymana przez zapalające się na sygnalizatorze żółte światło. W każdym innym punkcie miasta żółte światło z pewnością nie przeszkodziłoby jej w przerwaniu pościgu, ale akurat na tym skrzyżowaniu postawiono fotoradar nowej generacji. Józefina już kiedyś dała się przyłapać w tym miejscu na takim właśnie niewinnym wykroczeniu, więc nie zamierzała po raz drugi wpaść w ten sam głupi sposób. W związku z tym straciła z oczu następny przystanek, przy Korotyńskiego. Kolejny znajdował się na wiadukcie, czyli i tak nie mogła się tam zatrzymać. Józefina zaryzykowała więc i przystanęła dopiero na parkingu przed Lidlem koło McDonalda. Z ulgą dostrzegła twarz Jacka w mijającym ją tramwaju.

Do pętli zostało zaledwie kilka przystanków. Oddalili się już od centrum na tyle, że znalezienie miejsca do postoju przy głównej ulicy nie stanowiło problemu. I to chyba sprawiło, że Józefina Żbik straciła czujność. Zupełnie bezpodstawnie założyła, że Jacek będzie jechał tym tramwajem aż do końca, i następny postój urządziła dopiero pod Instytutem Lotnictwa. Tymczasem gdy siódemka minęła jej stanowisko obserwacyjne, okazało się, że miejsce, na którym siedział Jacek, było puste. Józefina z bezsilnością uderzyła dłońmi o kierownicę i jak najszybciej zawróciła w kierunku centrum.

Los jednak jej sprzyjał. Zobaczyła, jak Jacek Sparowski skręca z alei Krakowskiej do komisju samochodowego.

Rozdział 19

Aby mój plan mógł się powieść, potrzebowałem samochodu. Najlepiej takiej furgonetki opancerzonej, naszpikowanej elektroniką, jak w amerykańskich filmach. Żartuję. Jakie mogłem stawiać wymagania, mając sześć tysięcy złotych w kieszeni?

Chyba przyszła pora, żeby wam opowiedzieć, dlaczego po tylu latach spędzonych w Anglii oszczędności mojego życia były takie skromne.

Gdzie ja w tym Londynie nie mieszkałem... W zatęchłej norze w Hackney, gdzie przez całą dobę towarzyszył mi zapach smażonego mięsa i gdzie dowiedziałem się, że prawdziwy kebab może być tylko turecki i trzeba go pisać przez p; w squacie w Brixton, gdzie dostałem nauczkę, że nie zawsze osoba podająca się za właściciela nim jest i w związku z tym nie należy płacić z góry za mieszkanie, które można mieć za darmo; w kartonowym pudle pod mostem w Hammersmith, gdzie przynajmniej miałem ładny widok, zupełnie jak na Wisłę na Czerniakowie. W końcu wylądowałem w Elephant and Castle, bo spodobała mi się nazwa dzielnicy. Z tego samego powodu chodziłem też co sobota do pobliskiego pubu. Pubów w okolicy było mnóstwo, ale tylko ten jeden nazywał się Frog and Forget-me-not. Właściwie tylko to mnie podtrzymywało przy życiu w tym kraju – zwariowane nazwy.

No dobrze, mocno ironizuję, ale czym się może zachwycać na obcej ziemi emigrant niepolityczny, który szuka roboty na czarno, nie mając praktycznie żadnego doświadczenia? Dwa lata elektroniki niewiele mi dały, zresztą nawet nie próbowałem szukać pracy związanej z moim zawodem.

Kim ja nie byłem! Roznosiłem ulotki, myłem okna w biurówcach, od środka, bo myciem na zewnątrz zajmowali się alpiniści, pracowałem na zmywaku w pakistańskiej knajpie, smażyłem kebab u Turka. Byłem malarzem pokojowym, stolarzem, a nawet hydraulikiem, aż w końcu, kiedy na jakiejś budowie naprawiłem zepsute radio, a potem lodówkę, żeby robotnicy mieli w czym chłodzić piwo, szef zorientował się, że można mnie inaczej wykorzystać. Dostałem zadanie specjalne – miałem pilnować, aby zużyty sprzęt elektryczny, który mieszkańcy zasobniejszych dzielnic wystawiali przed domy co kilka miesięcy zgodnie z precyzyjnym harmonogramem, nie trafiał do służb utylizacyjnych, tylko do furgonetki szefa. Potem to wszystko regenerowałem, a pryncypał sprzedawał takim biedakom jak ja. To było niezłe zajęcie – wtedy pierwszy raz udało mi się nawet zaoszczędzić trochę grosza – ale chyba nie do końca legalne, podobnie jak inne interesy szefa. Pewnego dnia zniknął nagle bez śladu i nie tylko ja, lecz także wszyscy zatrudnieni przez niego na tej budowie zostali na lodzie.

Aż wreszcie znalazłem robotę jako dostawca pizzy w Deep Pan Pizza – dużej amerykańskiej sieciówce. Praca była prawie legalna. Wystarczyło podać

falszywe nazwisko, fałszywy, ale prawdopodobny PESEL, czy jak tam to się u nich nazywało, udawać lokalsa, który ma wszystkie pozwolenia, a po pięciu latach łatwo mi to przychodziło – i już. W razie nalotu Home Office’u firma miała dokumenty w porządku, odprowadzali nawet za mnie podatki i płacili ubezpieczenie, tylko że ja to nie byłem ja, ale mój awatar. Tak, w czasach przedinternetowych takie to było proste. W kraju, w którym ludzie nie mieli dowodów osobistych, a paszportów potrzebowali tylko wtedy, gdy wyjeżdżali za granicę (a przecież nie każdy musiał wyjeżdżać), prawo jazdy też nie wszystkim było potrzebne, dowodem tożsamości mógł być na przykład bilet miesięczny do metra ze zdjęciem. Żeby założyć konto w banku, w ogóle nic nie trzeba było pokazywać. Kartę do bankomatu dostawało się praktycznie od ręki; potem wystarczyło tylko wypłacać gotówkę ze ściany.

I tak Jacek Sparowski zniknął. Pojawił się Jack Sparow. Sparow przez jedno r, ale i tak, gdy w kinach pojawili się *Piraci z Karaibów*, wszyscy zaczęli na mnie mówić Johnny Depp. Nie powiem, żeby mi to przeszkadzało.

Wszystko było pięknie. Pracowałem tam ponad rok, miałem świetne układy z szefem. Udało mi się znowu odłożyć trochę grosza i życie wreszcie zaczęło mi się układać. Rozmyślałem nawet o ukończeniu tam jakichś studiów, kiedy pech znowu zapukał do moich drzwi.

Pewnego dnia, gdy dowoziłem pizzę firmową yamahą, przydarzyła mi się stłuczka w okolicy Hyde Park Corner, dokładnie na skrzyżowaniu Knightsbridge z Duke of Wellington. Jest tam ogromne rondo, a raczej coś na kształt ronda, na którym chyba nawet do dziś nie ma wydzielonych pasów ruchu, więc wszyscy jeżdżą, jak chcą, prawdziwa wolnoamerykanka. Potrącenie było niezbyt groźne, ale kości w mojej lewej ręce zagruchotały. Kobieta prowadząca vauxhalla cavaliera była bardzo przejęta, do stłuczki doszło z jej winy, nie zauważyła, że jadę z boku, kiedy skręcała. Chciała od razu wzywać pogotowie, ale to nie wchodziło w rachubę. Ratownicy natychmiast daliby znać na policję, a na to nie mogłem sobie przecież pozwolić. Tam to już na pewno odkryliby, że nie jestem tym, za kogo się podaję. Zapewniłem kobietę, że nic mi nie jest, a na potwierdzenie moich słów wsiadłem na yamahę, schowałem do kieszeni wizytówkę, którą mi wcisnęła, i – zaciskając zęby z bólu – odjechałem.

Dostarczyłem pizzę, wróciłem do restauracji i zacząłem rozmyślać, co dalej. Ręka na pewno była złamana i należało ją poskładać. Mogłem wrócić do Polski, ale nie miałem ani do kogo, ani do czego. Po pięciu latach na mojej uczelni na pewno nie zgodziliby się na kontynuację studiów, musiałbym zaczynać wszystko od początku. Nie miałem tam też ważnego ubezpieczenia. Kto wie, czy w państwowej służbie zdrowia, a innej wtedy jeszcze nie było, w ogóle ktoś chciałby ze mną rozmawiać.

Postanowiłem przyznać się do mojego oszustwa szefowi i – trochę szczęścia

w nieszczęściu też mi się trafiało – nie zawiodłem się na nim w potrzebie. Wiadomość, że tak naprawdę nazywam się Jacek Sparowski i nie pochodzę z Sheffield, dokąd moi rodzice wyemigrowali piętnaście lat temu, tylko przyjechałem prosto z Polski i w związku z tym jestem zatrudniony nielegalnie, niespecjalnie go zaskoczyła. „Nie ty pierwszy, nie ostatni” – roześmiał się tylko. Zawiózł mnie do prywatnej kliniki, gdzie poskładali mi rękę w trzy godziny, i zagwarantował moją wypłacalność swoją kartą kredytową, dzięki czemu nie musiałem czekać na zabieg. Potem załatwił jakimiś swoimi kanałami pożyczkę socjalną ze specjalnych funduszy centrali firmy, więc mogłem opłacić operację, a właściwie zwrócić mu wyłożone wcześniej pieniądze. W ten sposób związałem się z Deep Pan Pizza na kilka następnych lat. Oczywiście spłacając pożyczkę, na żadne studia nie udało mi się odłożyć.

Kiedy wreszcie pozbyłem się długu i mogłem zacząć rozglądać się za lepiej płatną i ciekawszą pracą, w wyniku spisku Leszka Millera i Tony’ego Blaira przydarzyło mi się kolejne osobiste nieszczęście. Pierwszego maja dwa tysiące czwartego roku Polska wstąpiła do Unii Europejskiej. Już drugiego maja w naszej knajpie pojawił się jakiś Polak szukający pracy. Potem nie było dnia, żeby nie zaglądał ktoś z kraju, mimo że powiesiliśmy kartkę „*No vacancies*”, a później drugą po polsku: „Nie potrzebujemy osób do pracy”. Oczywiście jako doświadczony i zasłużony pracownik nie obawiałem się zwolnienia, ale z miejsca porzuciłem marzenia o odmianie mojego życia na lepsze. Z każdym miesiącem było coraz gorzej. Konkurencja młodszych, dobrze wykształconych, ambitnych rodaków zaczęła robić się nieznośna.

I wtedy zacząłem rozmyślać o tym, czyby jednak nie wrócić. Jeżeli tak wielu ludzi wyjechało z Polski, to znaczy, że tam musiało zrobić się luźniej. W podjęciu decyzji pomógł mi, jak to zwykle bywa, przypadek. Nadarzyła się okazja i musiałem podjąć szybką decyzję – jeśli nie wyjadę teraz, to pewnie nie wrócę wcale.

Postanowiłem wrócić.

Rozdział 20

Po co mi był potrzebny samochód?

Żeby podsłuchiwać Lolę, musiałem się ulokować gdzieś blisko jej domu. Kamerki były naprawdę mikroskopijne i bezprzewodowe, ale transponder to sporych rozmiarów skrzynka i miał zasięg jedynie trzydziestu metrów. Na lepszy nie było mnie stać. Żeby wszystko się nagrało, musiałem też uruchomić laptop. No przecież nie mogłem tego zrobić, kucając na ulicy. Musiałem mieć kryjówkę, a najprostsza, jaka mi przyszła do głowy, to samochód. Najlepiej by było, żeby miał przyciemniane albo zakryte tylne szyby, poza tym wystarczyło, aby się w miarę sprawnie poruszał, no i chciałem nim pojeździć jeszcze kilka lat. Do kupna auta przymierzałem się już od dawna, ale zawsze żał mi było naruszać zgromadzony z takim trudem kapitał. Teraz okoliczności mnie do tego zmusiły. Szkoda tylko, że na zakup miałem tak mało czasu.

Przerzuciłem w internecie kilka setek ogłoszeń i w komisie przy Krakowskiej znalazłem trzy samochody, które mniej więcej odpowiadały moim wymaganiom. Długowłosego handlowca, który podszedł do mnie od razu, kiedy zacząłem oglądać stojące na placu pojazdy, był bardzo miły, ale gdy zapytałem o trzy konkretne modele, zaczęły się schody. Citroën berlingo podobno wczoraj został sprzedany i nie zdążyli jeszcze uaktualnić strony, opel corsa van kosztował o trzy tysiące więcej niż w ogłoszeniu, a renault scénic miał dwa razy większy przebieg, niż podano. Oczywiście zaproponowano mi natychmiast pięć innych samochodów, w tym mercedesa SLK w okazyjnej cenie sześćdziesięciu tysięcy złotych, ale gdy tylko wymieniłem kwotę, jaką dysponowałem, sprzedawca zupełnie stracił dla mnie zainteresowanie i zaproponował, żebym się porozglądał.

Skorzystałem oczywiście z propozycji, ale chociaż na placu stało jakieś dwieście samochodów, w moim przedziale cenowym wybór był mocno ograniczony. Zacząłem powoli wycofywać się z niektórych kryteriów. Przyciemniane szyby już nie były konieczne, zawsze przecież można je czymś okleić albo zasłonić, na przykład marynarką na wieszaku albo koszulą – tak jeżdżą reprezentanci handlowi firm farmaceutycznych. A na tylną szybę można położyć słomkową matę. Taka to była moja niedzielna konspiracja.

Na niewiele się to zdało. Po kolejnych minutach zacząłem już tracić nadzieję i wtedy wpadłem na pomysł, żeby auto na te dwa dni wypożyczyć – tuż obok przecież było lotnisko. W tej samej chwili na teren komisju wjechał fiat multipla, model sprzed kilku lat, ochrzczony przez fanów motoryzacji najbrzydszym samochodem na świecie. Nie wiem dlaczego. Ja tam uważam, że jest tylko zabawny.

Granatowa multipla z przyciemnionymi tylnymi szybami zatrzymała się tuż

przed biurem mieszczącym się w kontenerowym pawilonie i wysiadła z niej... pani Józefina. Do głowy by mi nie przyszło, że moja *landlady* może mieć własny samochód, a do tego potrafi nim kierować. Pani Józefina wysiadła z auta, zamaszyście trzaskając drzwiami, i rozejrzała się po placu. Oczywiście natychmiast mnie zauważyła i zaraz podeszła, radośnie machając ręką.

– Pan Jacek? – zdziwiła się w nie mniejszym stopniu niż ja. – Co za spotkanie! A co pan tu robi?

– Dzień dobry. – Uśmiechnąłem się. – To, co zwykle się robi w takich miejscach. Chciałem kupić samochód.

– Zwykle w takich miejscach można też robić coś zupełnie odwrotnego. Ja na przykład chciałabym samochód sprzedać.

– Ten? – Wskazałem na multiplę z głupią miną.

Pani Józefina roześmiała się gromko.

– Raczej nie mam drugiego auta w bagażniku. To czego pan szuka?

Zanim zdążyłem się zastanowić, czy od razu nie odpowiedzieć, że takiego właśnie auta potrzebuję, czy udać, że szukam sportowego audi albo czegoś w tym stylu, drzwi biura się otworzyły i wyszedł z niego ten sam długowłosy handlowiec, który próbował sprzedać mi mercedesa.

– Dzień dobry. W czym mogę pomóc? – Mnie oczywiście zignorował, zwracając się od razu do pani Józefiny, bardzo uprzejmie.

– Dzień dobry. Chciałabym sprzedać samochód.

– Ten? – Długowłosy wskazał na multiplę z takim zdumieniem, że od razu przestałem się martwić moim głupim zapytaniem w tym samym stylu. Widocznie ten samochód prowokował głupie pytania.

– Ten. – Tym razem pani Józefina darowała sobie złośliwość o drugim aucie w bagażniku. – Ile bym mogła za niego dostać?

– A ile ma lat? – Uprzejmość pracownika komisju natychmiast się ulotniła.

– Dwanaście.

– Przebieg jaki?

– Osiemdziesiąt tysięcy.

– Niemożliwe.

– Możliwe. Od śmierci męża prawie wcale nim nie jeżdżę.

Długowłosy obszedł samochód dookoła, kopnął w rdzewiejącą już lekko karoserię.

– Trzy tysiące, nie więcej.

– Ile?! – Pani Józefina nie kryła oburzenia.

– No tyle to kosztuje. Proszę pani, nikt tego nie chce kupować. W ogóle nie wiem, czy szef nawet za tyle to od pani kupi. A w komisju nie przyjmie, bo prowizja za mała, żeby się opłacało.

– To ja się jeszcze zastanowię – odpowiedziała pani Józefina grzecznie, choć

w środku aż kipiała ze złości.

– Bardzo proszę. A pan się na coś zdecydował? – Długowłosa zauważył łaskawie moją osobę.

– Ja też się jeszcze zastanowię.

– Bardzo proszę.

Handlowiec odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku biura, nie zawracając już sobie nami głowy. Pani Józefina z impetem otworzyła auto.

– Podrzucę pana – oznajmiła głosem nieznoszącym sprzeciwu, ale ja nie zamierzałem stawiać oporu. Otworzyłem drzwi od strony pasażera i posłusznie zająłem miejsce. – Zdziercy! Oszuści! Dranie! – złorzeczyła pani Józefina, zapalając silnik.

– Zgadza się – przytaknąłem ochoczo. – Żadne z ogłoszeń, które zamieścili w internecie, nie było prawdziwe. Jak przyjechałem, okazało się, że takich samochodów w ofercie nie ma.

– A czego pan szuka?

– Właściwie to... – zawahałem się, ale w końcu dlaczego nie? – ...właściwie to pani samochód bardzo by mi odpowiadał.

Pani Józefina popatrzyła na mnie z zainteresowaniem.

– Za trzy tysiące nie oddam!

– Oczywiście.

– To dokąd pana podzucić?

– Gdzieś, gdzie by można szybko dobić interesu.

– Znam takie miejsce – uśmiechnęła się pani Józefina.

Rozdział 21

Najlepszym miejscem do ubicia interesu okazała się kuchnia pani Józefiny. Usadziła mnie przy okrągłym dębowym stole, który przykryła wcześniej świeżym lnianym obrusem w wesołą zielono-żółtą kratkę; nie pytając mnie o zdanie, postawiła przed moim nosem porcję bigosu o imponującym rozmiarze, drugi, mniejszy talerz z tą samą zawartością umieściła przed sobą i oznajmiła, że nie przyjmuje do wiadomości, gdybym chciał odmówić wspólnego spożycia. Nie zamierzałem odmawiać. Nie zdążyłem zjeść śniadania, więc byłem głodny jak wilk, a bigos pachniał niezwykle smakowicie. Nie chciałem też robić afrontu mojej dobrodziejce. Kiedyś na pewno się odwdzięczę, jeszcze się zdziwi, że potrafię gotować.

Pochwaliłem bigos, który dosłownie rozpląwał się w ustach, a pani Józefina rozpląnęła się w uśmiechu, słysząc moje naprawdę szczere komplementy. Przez dłuższą chwilę jedliśmy w milczeniu. Apetyt obojgu nam dopisywał. Gdy nasyciliśmy pierwszy głód, pani Józefina przeszła do interesów:

- Czyli potrzebuje pan samochodu, panie Jacku?
- Tak właśnie.
- Aha. A mogę wiedzieć dlaczego?
- No... – zawahałem się. Trzeba było szybko wymyślić dobry powód. – No... zawsze chciałem mieć samochód i wreszcie nadszedł czas, żeby go kupić.
- Samochód taki jak mój?
- Właśnie – ucieszyłem się. – Zawsze chciałem mieć ten model. Niektórym się nie podoba, ale dla mnie to najpiękniejszy samochód na świecie.

Oj, chyba trochę przesadziłem z entuzjazmem, bo moja rozmówczyni popatrzyła na mnie nieufnie.

- Aha. – Pokiwała głową. – A po co panu taki duży samochód? Planuje pan powiększenie rodziny?

– Tak! – palnąłem bez namysłu, ale natychmiast się zreflektowałem, że ta odpowiedź spowoduje lawinę kolejnych pytań, na które będę musiał wymyślać fałszywe odpowiedzi, a wtedy już na pewno się pogubię. Zaprzeczyłem więc zaraz, może za bardzo energicznie: – To znaczy nie, na razie oczywiście. Dopiero jak znajdę odpowiednią dziewczynę...

Oj, chyba znowu się zagalopowałem. Przypomniałem sobie, co Misiek mówił o hobby pani Józefiny. Na szczęście ulubiona ciotka Agaty nie podjęła tego tematu, co nie znaczy, że zakończyła przesłuchanie.

- Aha... Więc nie chce pan jeździć do pracy z Miśkiem.
- Nie! Dlaczego?
- No bo chce pan jeździć własnym samochodem. Coś źle zrozumiałam?

Logika pani Józefiny była porażająca.

– No chcę, ale nie do pracy, bo to blisko.

– Czyli gdzie?

Gdzie, gdzie? I znajdź tu w jedną chwilę dobre wyjaśnienie. Dlaczego ja nie potrafię kłamać?

– Na grzyby! – Na szczęście w porę znalazłem odpowiedź, która nie mijała się z prawdą. – Uwielbiam zbierać grzyby. Grzyby rosną w lesie, a w Warszawie nie ma lasu, więc muszę mieć samochód, żeby jeździć na grzyby.

– W marcu?

Westchnąłem i zamilkłem. Trafiła mnie. Koniec. Nic z tego interesu nie będzie. Straciłem tylko cenne godziny, które mógłbym poświęcić na wypożyczenie samochodu i obserwację domu Loli.

– Panie Jacku – pani Józefina odezwała się podejrzanie przyjaźnie – ja po prostu dbam o pana finanse. Rozpoczął pan nową pracę, nie ma pan gdzie mieszkać, a chce pan wydać pieniądze na samochód. Nie sprzedam panu tego auta. – Pozbierała ze stołu brudne talerze i wstawiła je do zlewu. – To będzie pana zadanie. – Wskazała na naczynia, nic sobie nie robiąc z zawodu, który pojawił się na mojej twarzy. – U mnie w domu obowiązuje demokracja w podziale prac domowych. No, niech się pan nie boi – dodała ze śmiechem, widząc moją minę. – To nie takie straszne.

– Nie boję się...

– To dobrze, panie Jacku, bo mam dla pana inną propozycję. Nie sprzedam panu tego samochodu, tylko go pożyczę. Ja przecież i tak nim nie jeżdżę.

Pani Józefina udała się do przedpokoju, przyniosła stamtąd kluczyki do multipli oraz dowód rejestracyjny i położyła wszystko na stole.

– Proszę, może pan moim autem jeździć.

Popatrzyłem na nią zdumiony.

– Nawet teraz?

– Oj, widzę, że bardzo się panu spieszy. Nie tak szybko. Najpierw musi mi pan coś wyjaśnić.

Pani Józefina znowu wyszła z pokoju i tym razem powrót zajął jej trochę więcej czasu. Wróciła, trzymając coś za plecami. Najpierw popatrzyła mi głęboko w oczy, a potem położyła to coś zza pleców na stole. To była moja beretta M92F.

– I po co ci to, synku?

Rozdział 22

To się chyba w filmach nazywa niespodziewany zwrot akcji.

Patrzyłem to na pistolet, to na panią Józefinę z rosnącym przerażeniem. Zaraz wyrzuci mnie za drzwi i wszystko w moim życiu znowu się posypie. Jednak pani Józefina zupełnie nie wyglądała na osobę przerażoną obecnością faceta ze spluwą w swoim mieszkaniu, wydawała się wręcz zakłopotana.

– Przepraszam, ale nie grzebałam w pana rzeczach – wróciła do oficjalnej formy zwracania się do lokatora, uznając wyraźnie, że określenie „synku” było zbyt familiarne. – Chciałam tylko uprzątnąć z szafy rzeczy mojego syna. Wpadło mi to w ręce zupełnie przypadkowo. Skoro jednak już wpadło, sam pan rozumie, że muszę się domagać wyjaśnień.

Pokiwałem głową, absolutnie zgadzając się z jej tokiem myślenia.

– To nie jest prawdziwa broń, tylko śrutówka, którą można kupić w byle centrum handlowym – wyjaśniłem bagatelizująco, licząc naiwnie, że to wystarczy.

– Wiem, że nie jest prawdziwa. – W głosie pani Józefiny zabrzmiała irytacja. – Ja chcę wiedzieć, po co to panu.

– Skąd pani wie, że nie jest prawdziwa? – zapytałem naprawdę zdumiony, zręcznie unikając tym samym odpowiedzi, bo rzeczywiście mógłbym posądzać wdowę emerytkę o wszystko, tylko nie o to, że zna się na broni. Ale już dzisiaj raz mnie zaskoczyła z samochodem, więc właściwie powinienem się do tego stanu przyzwyczajać.

– Ja pierwsza zadałam pytanie.

Miałem dwa wyjścia. Albo wymyślić na poczekaniu jakieś zręczne kłamstwo, ale już wiecie, że nie jestem w tym dobry, albo powiedzieć prawdę jak na spowiedzi. No, może nie ze wszystkimi szczegółami. Cóż, w końcu przyczyna zakupu przeze mnie broni była dość banalna, nawet zbyt banalna, żeby ktokolwiek mógł w nią uwierzyć. Jednak spróbowałem:

– Chciałem przestraszyć moją byłą żonę. Wiem, to głupie jak cholera. Zrozumiałem to zaraz, jak tylko kupiłem tę pukawkę. Po pierwsze, nigdy bym się na to nie zdobył, po drugie, oprócz chwili satysfakcji nic bym tym nie zyskał, po trzecie, taka konfrontacja z nią, z pozycji siły, byłaby dowodem mojej słabości, po czwarte, przyznałbym się po raz kolejny, że nie mogę sobie poradzić z tym, iż przegrałem. Gdy tylko zacząłem o tym myśleć na poważnie, od razu wyszło, że mój pomysł to kompletna bzdura. Ale wtedy, w sklepie, jak wziąłem ten pistolet do ręki i wyobraziłem sobie, że do niej celuję, nie mogłem się powstrzymać. Gdybym nie zobaczył jej tego dnia, zupełnie przypadkowo, nawet nie pomyślałbym o broni. A tak – to był impuls. Kupiłem pistolet dla tej krótkiej chwili satysfakcji, która zaistniała tylko w mojej wyobraźni. Wierzy mi pani?

Pani Józefina patrzyła na mnie tak, jakby chciała przewiercić mnie na wylot.

– Proszę. – Przesunąłem pistolet w jej stronę. – Może go pani zabrać, schować, wyrzucić, zrobić, co pani chce. Mnie nie będzie potrzebny.

Pani Józefina sięgnęła po berettę, odbezpieczyła ją i wycelowała w kalendarz wiszący na ścianie. Widząc konsternację na mojej twarzy, roześmiała się, fachowo odłączyła magazynek i odłożyła pistolet wraz z magazynkiem na stół.

– Nabita strzelba czasami sama strzela – wyjaśniła.

– Skąd się pani zna na broni?

– Pracowałam w policji. W biurze do spraw nieletnich. Ale mieliśmy obowiązkowe szkolenia. Strzelać też potrafię.

No tak, najprostsze wyjaśnienie, na które oczywiście nigdy bym nie wpadł. Czym jeszcze mnie zaskoczy ta kobieta?

– No dobrze, panie Jacku. Nie będę pytać o pana żonę. Opowie mi pan kiedyś, jak będzie pan chciał, albo nie. Ale na jedno pytanie musi mi pan odpowiedzieć. Szczerze. Po co panu samochód? Właśnie taki jak mój?

Odchrząknąłem, żeby zyskać na czasie. Przecież nie uda mi się ukryć prawdy przed byłą policjantką.

– Bo ma duży bagażnik i przyciemniane szyby.

Moja odpowiedź zupełnie pani Józefiny nie zdziwiła. Skinęła zachęcająco głową, abym kontynuował.

– To też się, niestety, wiąże z moją żoną.

Pani Józefina sprawiała wrażenie, jakby właśnie takiej odpowiedzi się spodziewała. Spojrzałem na zegarek.

– Ja mam czas. – Mój gest nie umknął uwagi pani Józefiny. – I bardzo lubię opowieści obyczajowe.

Rozdział 23

A właściwie dlaczego nie? Nigdy i nikomu nie opowiadałem mojej historii. Znajomi wiedzieli, że się rozstaliśmy, i łatwo mogli się domyślić dlaczego. Danka zaczęła robić karierę, a ja jej w tym tylko przeszkadzałem. Nikomu się jednak nie przyznałem, jak bardzo mnie oszukała. Nie miałem żadnej bliskiej osoby, której mógłbym się zwierzyć, a do tego było mi tak strasznie wstyd, że dałem wywieść się w pole. Uciekłem za granicę i cierpiałem w samotności. Chciałem zapomnieć, ale się nie dało. Więc gdyby wreszcie wyrzucić to z siebie? Pani Józefina wydawała się dobrym psychologiem, choć może to tylko lata policyjnego doświadczenia.

A niech tam. Tym razem ja wstałem od stołu i przyniosłem z mojego pokoju kupiony dwa dni wcześniej brukowiec. Podałem gazetę pani Józefinie.

– To moja żona.

Pani Józefina sięgnęła po okulary i z ciekawością zerknęła na pierwszą stronę. Odłożyła gazetę i popatrzyła na mnie z niedowierzaniem. Ha! Nareszcie i mnie udało się ją zaskoczyć.

– Lola Marini???

– Vel Danuta Pączek vel Danuta Sparowska.

– Załatwi pan autograf? Żartowałam – dodała natychmiast, zanim zdążyłem zabić ją spojrzeniem.

– Proszę, niech pani czyta dalej.

Ponownie podałem pani Józefinie gazetę, a ona zagłębiła się w lekturze. Dziennikarz opisywał, a ustawiony paparazzo sfotografował, jak to Lola Marini robi zakupy w londyńskim Harrodsie. Jej aktualny partner, Henryk Mika, siódmy na liście najbogatszych Polaków, kupuje Loli właśnie w prezencie wysadzone najprawdziwszymi diamentami szpilki warte milion funtów. Bardzo podobne nosiła w tym roku Paris Hilton na gali wręczenia Oscarów. Ostatnią część artykułu zajęły spekulacje, kiedyż to i gdzie nasza szczęśliwa para zamierza sfinalizować swój związek oraz czy suknię ślubną Lola Marini również zakupi w tym samym domu towarowym.

– No ładnie. – Pani Józefina zdjęła okulary i odłożyła gazetę. – Rozumiem, że chciał pan napaść z bronią w ręku na byłą żonę i odebrać jej łup.

– Miałem taki plan – roześmiałem się gorzko – ale niech pani zerknie na trzecią stronę. – Rozłożyłem brukowiec i wskazałem na odpowiedni akapit. – Szpilki będą przechowywane w sejfie bankowym milionera. Nawet sama Lola niewiele się nimi nacieszy.

– Biedna.

Roześmialiśmy się oboje.

– Ale jaki jest pana związek z tym wszystkim, jeśli nie chce pan użyć pistoletu zabawki do napadu stulecia?

– Przedwczoraj spotkałem moją byłą żonę u Michała w biurze. Nowa klientka. Chciała wymienić system alarmowy i wynająć firmę Miśka do ochrony domu.

– Może liczy, że kiedyś jednak szpilki do niej trafią?

– Może. Okazało się, że Lola to dobra znajoma współnika Miśka, tego Bondka. Wkroczyła tam jak na scenę w Operze Leśnej w Sopocie i tak była zajęta roztaczaniem swego uroku, że nawet mnie nie poznała. Specjalnie się tym nie zmartwiłem, ale na jej widok odżyły wszystkie wspomnienia.

– A nie są to dobre wspomnienia.

– Właśnie. A potem jeszcze przeczytałem ten artykuł i nabrałem pewności, że znowu coś knuje. Chce tego faceta wykorzystać.

– I poczuł pan współczucie dla biednego wykorzystywanego milionera...

– Aż tak to nie – roześmiałem się. – Jeśli go stać na zakup butów za milion funtów, to znaczy, że stać go na wszystko. Niespecjalnie się przejmie, jeśli je straci razem z narzeczoną.

– Tak pan myśli? To dlaczego trzyma je w sejfie?

– Bo tam bezpieczniej.

– Ale dlaczego we własnym, skoro to podarek dla Loli?

– Może Lola nie ma własnego?

– Ale chyba mogłaby mieć, gdyby chciała? Myśli pan, że kupiłby jej te buty, gdyby obok nie było fotoreporterów? Pewnie mu chodziło tylko o dobry PR. Aby pokazać, że stać go na taki gest. A tak naprawdę może wcale nie jest aż tak bogaty? Albo ma kłopoty finansowe? Albo wcale nie chce się żenić?

Patrzyłem na panią Józefinę z rosnącym uznaniem. Dobrze by było mieć wyciągającego tak logiczne wnioski współnika. Chyba będę musiał zacząć moją opowieść od początku.

Rozdział 24

Opowiedziałem pani Józefinie o moim sielskim dzieciństwie w szczęśliwej rodzinie, o ojcu – szefie fabryki, który walczył z dyrektorem liceum o moje długie włosy, i mamie – lekarce, która ze świętą cierpliwością tolerowała próby grupy rockowej w naszym garażu, i o mojej pierwszej wielkiej szkolnej miłości – Danucie Pączek, najatrakcyjniejszej dziewczynie w mieście. Potem o niespodziewanej śmierci rodziców, mojej depresji i poślubieniu Danki, co wtedy jawiło się jako jedyny jasny punkt w moim życiu, takie światełko w tunelu. Pani Józefina długo słuchała cierpliwie, przerwała mi dopiero, kiedy zacząłem opowiadać o ślubie.

– Kto wpadł na pomysł małżeństwa? Pan czy ona?

– Kto, co? – Nie bardzo wiedziałem, o co jej chodzi.

– No, pan ją poprosił o rękę, że się wyrażę tak archaicznie, czy to ona wykonała manewr Baśki Wołodyjowskiej?

– No właściwie... to było takie spontaniczne. Byliśmy parą, chodziliśmy ze sobą, ja nie miałem nikogo bliskiego oprócz niej...

– Rozumiem. Ona zaproponowała, żebyście się pobrali, a pan to potraktował jako najlepsze z możliwych zrządzenie losu.

– No, właściwie tak było. Kochaliśmy się, to znaczy... – Tym razem pod wpływem przenikliwego spojrzenia pani Józefiny od razu się zreflektowałem. – ...to znaczy ja byłem w niej zakochany. Choć wtedy mi się wydawało, że ona we mnie też.

– Kim byli jej rodzice?

– Ojciec pracował jako palacz w kotłowni, a mama jako ekspedientka w lumpeksie.

– Czyli dla Danuty to był prawdziwy awans społeczny. Wyszła za mąż za syna dyrektora fabryki.

– Mój ojciec już wtedy nie żył.

– Ale kiedy żył, był dyrektorem. Chodziła z panem, bo pana ojciec był kimś.

– Kto dzisiaj myśli w ten sposób? – obruszyłem się.

– Danuta Pączek.

Przenikliwy umysł pani Józefiny rozpracował moją byłą żonę, zanim jeszcze zdradziłem, jaki był finał mojego małżeństwa.

– Dlaczego nie spotkałem pani dwadzieścia lat wcześniej?

– Wtedy by mi pan nie uwierzył. Zakochani są ślepi i głusi.

– Byłem ślepy i głuchy przez następne dwa lata. Zaczęliśmy oboje studia w Warszawie. Ja na politechnice, ona na uniwerku. Mieszkaliśmy w oddzielnych akademikach. Chcieliśmy być razem, myśleliśmy, żeby się starać o małżeński

pokój, ale studiowaliśmy na różnych uczelniach i biurokracja była nie do przeskoczenia. Danka wpadła na pomysł, by wynająć mieszkanie, ale nie było nas na nie stać.

– Co pan odziedziczył po rodzicach? – Pani Józefina znów celnie uprzedziła dalszą część moich wynurzeń, bo zamierzałem właśnie przejść do schedy po moich rodzicach.

– Żadnych pieniędzy niestety. Samochód mamy, pięcioletnie żółte cinquecento, bo ojca wozili służbowym. No i dom, tyle że nie do końca spłacony. Nie było mnie stać, żeby jednocześnie płacić ratę kredytu, utrzymywać dom i jeszcze studiować w Warszawie. Gdy tylko załatwiłem sprawy spadkowe, co trwało kilka miesięcy, wystawiłem dom na sprzedaż. Pozbyłem się go bez kłopotów, bo wtedy jeszcze łatwiej było sprzedać nieruchomość, niż kupić. Na chwilę stałem się całkiem zamożnym człowiekiem.

– I wtedy Danka wpadła na pomysł, żeby kupić mieszkanie w Warszawie.

– O nie, nie tylko Danka. Ja też. To było jedyne sensowne rozwiązanie.

– Oczywiście – podejrzenie łatwo zgodziła się pani Józefina. – Sama bym tak zrobiła. Jestem tylko ciekawa, jak rozegrała tę partię pańska żona.

– No właśnie. – Westchnąłem tak, że mój ciężki oddech mógłby przesunąć skałę. – W tamtych czasach jeszcze bardzo brakowało mieszkań. Ceny wciąż rosły z roku na rok, nieruchomości wydawały się więc idealną lokatą kapitału. Jak pojawiło się coś ciekawego, znikало w ciągu paru dni. Długo szukaliśmy odpowiedniego mieszkania, zależało nam, żeby było w dobrej lokalizacji i cenie. Ciągłe coś nam nie pasowało. A byliśmy wtedy niezwykle zgodnym małżeństwem. Danka zawsze liczyła się z moim zdaniem, a ja z jej. I wreszcie znaleźliśmy mieszkanie idealne. Właściwie to Danka znalazła.

– Jak można było przypuszczać.

Nie skomentowałem tej jawnej złośliwości.

– Byłem na praktykach w Lipsku – ciągnąłem niezrażony – kiedy Danka znalazła ideał, w samym sercu Warszawy, na Złotej. Wszystko w tym mieszkaniu było takie, jak chcieliśmy: spory metraż, lokalizacja, sensowny układ pokoi, nawet widok z okna okazał się ładny, na zieleń. Sęk w tym, że trzeba było to mieszkanie kupić natychmiast, bo następnego dnia już mogło zostać sprzedane komuś innemu. Powiedziałem Dance: nie czekaj na mnie, bierz pieniądze i kupuj. No i kupiła.

– Mogła korzystać z pana konta? Tego z pieniędzmi ze sprzedaży domu?

– Zawsze mogła. Miała upoważnienie. Ale nigdy tego nie robiła bez konsultacji ze mną.

– Ale jak mogła kupić mieszkanie sama? Przecież byliście małżeństwem, czyli ustawową wspólnotą majątkową?

– Do tego dojdę później. Więc Danka mieszkanie kupiła, ja wróciłem z Lipska i zamieszkaliśmy w nim oboje. Idylla trwała miesiąc albo dwa. Skończyła

się zaraz po tym, jak Danka pojechała do Johannesburga, gdzie wygrała konkurs Miss Świata. Pewnego dnia, gdy wróciłem do domu, zobaczyłem swoje rzeczy wystawione w walizkach na klatce schodowej. Moje klucze nie pasowały do drzwi. Zadzwoniłem. Otworzył jakiś gość o posturze goryla i oświadczył, że teraz on tu będzie mieszkał z Danutą i żebym więcej jej nie nachodził, bo sobie tego nie życzy.

- Ale jak to możliwe? Był pan przecież współwłaścicielem mieszkania!
- No właśnie nie – przyznałem zawstydzony.
- Dlaczego nie?
- Bo kiedy Danka kupowała mieszkanie, nie była już moją żoną.

Rozdział 25

Udało mi się zaskoczyć panią Józefinę po raz kolejny, ale był to wątpliwy powód do satysfakcji. Przełknąłem ślinę, żeby odsunąć moment przyznania się do największego głupstwa w moim życiu.

– Jak to: nie była pana żoną?

– Po prostu wzięliśmy rozwód. Nikt oprócz nas i adwokata, który pomógł nam go załatwić, o tym nie wiedział, bo w naszym życiu właściwie nic się nie zmieniło. W zasadzie niewielu znajomych w ogóle wiedziało, że jesteśmy małżeństwem.

– Ale dlaczego?

– Danka poszła na eliminacje konkursu Miss Polonia tak dla żartu, z marszu, bez profesjonalnego makijażu, w sukience z lumpeksu, ze sklepu swojej mamy. Ale przeszła do następnego etapu. Moim zdaniem przeszłaby nawet ubrana w jutowy worek i jury chyba też było tego zdania. Cieszyliśmy się, ale nie traktowaliśmy tego poważnie.

– Dlaczego pan mówi w liczbie mnogiej?

– Bo ona też bez przerwy z tego żartowała. Mówiła, że i tak na pewno się nie uda, ale przynajmniej mamy niezłą zabawę.

– Jednak na kolejne eliminacje poszła już lepiej przygotowana?

– No tak, koleżanka nawet załatwiła Dance profesjonalny make-up, bo jej ciotka pracowała jako charakteryzatorka w telewizji.

– I oczywiście Danka przeszła do finału.

– Przeszła. Jednak wtedy zaczęły się schody. Danka zgłosiła się na eliminacje, zatajając fakt, że jest zamężna, bo zgodnie z regulaminem w konkursie mogły brać udział jedynie dziewczyny stanu wolnego. Jak już wspomniałem, poszła tam tylko dla żartu. W drugim etapie też się nie przyznała, że jest mężatką, i jakoś się udało, nikt na to nie zwrócił uwagi. Ale w finale to by na pewno nie przeszło. To już była wielka impreza: telewizja, Sala Kongresowa, sponsorzy... Jako mężatka natychmiast by została zdyskwalifikowana. To była dla niej wielka szansa, nie chciałem jej rujnować kariery... Tak się cieszyła, że przeszła do tego finału. Więc się rozwiedliśmy. Znajomy adwokat jakoś załatwił, że nasza sprawa od razu trafiła na wokandę, rozwód odbył się za porozumieniem stron, nie było żadnego wspólnego majątku, żadnych dzieci. Pierwsza rozprawa okazała się od razu ostatnią. Danką mogła bez przeszkód wystąpić w finale.

– I zaraz potem kupiła sobie mieszkanie za pana pieniądze...

– Wtedy tak to nie wyglądało. Ale tak, w końcu na to wyszło.

– Jest pan największym idiotą, jakiego udało mi się spotkać w całym moim życiu.

Nie zaprotestowałem, lecz próbowałem się bronić:

– Miałem wtedy niewiele ponad dwadzieścia lat. Byłem wychowywany pod kloszem. Nie znałem się na ludziach. Nie miałem żadnych powodów, żeby Dance nie ufać. Byliśmy ze sobą prawie dwa lata, w tym półtora roku jako małżeństwo. To były naprawdę jedne z lepszych lat mojego życia. Danka wydawała się idealną żoną. Gotowała mi obiady, prasowała koszule, ja zmywałem... – Popatrzyłem na leżące w zlewie brudne talerze. – Byłem ślepy i głuchy.

– I do tego dureń! Dlaczego pan nie walczył o to mieszkanie?

– Jak? Kupiła je na swoje nazwisko.

– Ale za pańskie pieniądze.

– Miała upoważnienie do konta i moją zgodę. Wszystko odbyło się zgodnie z prawem.

– Mógł pan zgłosić wyłudzenie na policji.

– I jak sobie pani wyobraża taki proces? Sędzia umarłby chyba ze śmiechu.

A poza tym długo nie mogłem uwierzyć, że ona naprawdę to zrobiła, że mnie zostawiła. Liczyłem, że to chwilowy kaprys, że do mnie wróci, wszystko było do tej pory tak idealne. Ten goryl w mieszkaniu to nawet nie był jej chłopak, tylko gość wynajęty do ochrony. Ale w ogóle nie chciała ze mną rozmawiać. Niech pani uwierzy, bardziej mnie wtedy bolało porzucenie i to, że tak strasznie mnie zawiodła, niż utrata tych pieniędzy. Kiedy nabrałem przekonania, że decyzja Danki jest nieodwracalna, uciekłem z kraju. Wstydzilem się, że byłem taki głupi. Nikomu o tej aferze nie mówiłem. Pani jest pierwszą osobą, której to opowiadam.

Zapadła głęboka cisza.

– To ja pozmywam. – Podniosłem się od stołu.

– Niech pan siada.

Usiadłem.

– A teraz niech pan wreszcie powie, po co panu ten samochód.

Opowiedziałem pani Józefinie szczegółowo o moich planach skompromitowania Loli i wykorzystania samochodu jako centrali służącej do sterowania podsłuchem. Kiedy wspomniałem o kamerach, złapała się za głowę.

– Nie chce pan powiedzieć, że te kamery tam teraz u niej są?!

– To właśnie powiedziałem.

– A jak ona je znajdzie?

– Są dobrze ukryte – zaprotestowałem, ale bez głębszego przekonania.

– Jak znajdzie, to nie pan ją skompromituje, tylko ona, i to pana najlepszego przyjaciela!

– Nie znajdzie... – powiedziałem już pewniejszym głosem.

– Niech się pan modli, żeby tak było. I niech pan tam jedzie, i to już.

– Tak jest! – Zerwałem się z krzesła, strzelając obcasami. Pamiętałem jednak o obowiązku i podszedłem do zlewu.

– Daj pan już spokój z tym zmywaniem, dzisiaj ma pan wolne – powstrzymała mnie pani Józefina i jeśli dobrze odczytałem jej uśmiech, popatrzyła na mnie z czułością. – Zrobię panu kanapki i herbaty do termosu. A pan niech już pakuje te swoje bazy i centralki.

Chyba naprawdę zyskałem bardzo cennego współnika.

Rozdział 26

Pani Józefina zeszła ze mną do samochodu, aby udzielić mi instrukcji, jak można w sprytny sposób złożyć tylne siedzenia, wszystkie razem lub każde z osobna, by mieć wygodny dostęp do bagażnika z kabiny pasażerskiej.

Po złożeniu dwóch siedzeń można było usiąść na podłodze i pozostać praktycznie niewidocznym dla przechodniów. Można też było w razie potrzeby bezpiecznie schować się w bagażniku. Przyciemniane szyby dość dobrze ukrywały wnętrze przed wzrokiem ciekawskich, po zmroku prawie idealnie, a samemu można było oglądać świat na zewnątrz praktycznie bez straty jakości. Niezły wynalazek dla początkującego szpiega, naprawdę.

Zapakowałem do auta torbę z transmitterem, laptopem i słuchawkami. Pani Józefina kazała mi jeszcze wpisać do pamięci telefonu numer jej komórki, na wszelki wypadek, gdybym potrzebował pomocy, choć nie bardzo sobie wyobrażałem, jak i w czym mogłaby mi się przydać.

Zajechałem pod dom Loli wczesnym popołudniem, jeszcze było widno. Przejechałem wzdłuż ulicy dwa razy, Lola odgrażała się przecież, że poprosi Bondka o specjalny patrol, ale nie zauważyłem niczego, co by przypominało samochód ochrony, ani w ogóle niczego podejrzanego. W sobotnie popołudnie uliczka wydawała się wymarła i łatwo było na niej zaparkować. Widocznie w dzień powszedni samochody zostawiali tu głównie pracownicy okolicznych firm.

Nie zatrzymałem się jednak pod samym domem Loli, tylko dwa numery dalej, ale na tyle blisko, żeby transmitter łapał zasięg i żeby widział, co się u niej dzieje. Kiedy usadowiłem się na podłodze multipli na otrzymanym od pani Józefiny jaśku, uruchomiłem laptop i transmitter. Po kilkunastu sekundach obraz na moim ekranie rozdzielił się na trzy części i pojawiły się widoki z kamer zamieszczonych przeze mnie w domu Loli. System wideo działał bez zarzutu! Założyłem słuchawki, żeby przekonać się, czy tak samo dobrze działa system audio, ale nie usłyszałem żadnych odgłosów. Spojrzałem ponownie na ekran – na obrazach z trzech kamer nie było widać nikogo. Może po prostu dom był pusty, dlatego nic nie słychać?

Wychyliłem się i zerknąłem na budynek. Na ganku paliło się światło, podobnie jak w jednym z pokoi na piętrze i chyba w kuchni, jeśli dobrze pamiętałem rozkład pomieszczeń. Było jednak jeszcze zupełnie widno. Po co zapalać światło w środku dnia? Może Lola planowała spędzić noc poza domem i zostawiła włączone światła, żeby wyglądało, że ktoś w nim przebywa?

Gdy tylko o tym pomyślałem, do moich uszu zaczęły dobiegać odgłosy rozmowy, jakby ktoś chciał zaprzeczyć moim myślom. Spojrzałem na ekran. Mikrofony wbudowane w kamery nie były najwyższej jakości, mogły zbierać

dźwięk tylko z tych pomieszczeń, w których zostały umieszczone. Tymczasem na ekranie wciąż nie było nikogo widać. Dopiero po chwili odkryłem, co jest źródłem dźwięku. W salonie po prostu włączył się telewizor. Prawdopodobnie Lola miała zamontowane włączniki czasowe, które sterowały oświetleniem i urządzeniami elektrycznymi w domu, tak aby uruchamiały się lub wyłączały o określonych porach. Coraz bardziej wyglądało mi na to, że dzisiejszego dnia z podglądania Loli na żywo nic nie wyjdzie.

Ponieważ wszystko świadczyło o tym, że mojej byłej nie ma w domu, postanowiłem pośledzić ją trochę w sieci. Nie zamknąłem podglądu, tylko zmniejszyłem obraz tak, bym mógł otworzyć jeszcze okno przeglądarki, i połączyłem się z internetem, wykorzystując telefon jako router. Po wpisaniu hasła „Lola Marini narzeczony” najpierw ujrzałem zdjęcia Loli na koniu. Ciekawe, kiedy nauczyła się jeździć.

Zdjęcia były... z dzisiaj. Mój ulubiony od dwóch dni serwis plotkarski donosił, że Lola odwiedziła swojego narzeczonego w jego wiejskiej posiadłości i spędziła z nim poranek na przejażdżce konnej. Jak to dobrze, że ta kobieta nigdzie się nie rusza bez osobistego fotografa. Dzięki temu dowiedziałem się wszystkiego, co chciałem wiedzieć. Lola, to więcej niż pewne, nie wróci dziś do domu na noc, no chyba że pokłóci się nagle z narzeczonym. Ale przecież znałem ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że dopóki nie osiągnie swego celu, czyli nie położy łapy na jego milionach, na pewno się nie pokłóci. Milioner, o czym też donosił serwis, miał wylecieć nazajutrz w interesach do Pekinu, więc Lola nie daruje okazji, żeby go nie pożegnać w blasku fleszy. Internet nie informował, że milioner ma własny air force one, więc sprawdziłem rozkład wylotów z Okęcia. Dreamliner odlatywał do Pekinu o szesnastej. Miałem wolne do jutra, przynajmniej do piętnastej.

Rozdział 27

Gdy tylko Józefina Żbik wróciła do mieszkania po udzieleniu Jackowi instrukcji obsługi samochodu, włączyła swój nowy, o wiele za duży ekspres do kawy – urodzinowy prezent od jej synów. Urządzenie błysnęło kolorowymi światełkami, zaszumiało i po chwili wypluło z siebie resztkę wody, przepłukując przewody. Józefina sięgnęła po ulubioną miśnieńską filiżankę o wzorze cebulowym, podstawiła pod wylewkę i wcisnęła guzik z ikonką podwójnego espresso. W czasie gdy młynek mielił kawę, wsypała do filiżanki trzy łyżeczki cukru i od razu, dla pamięci, włożyła tam też samą łyżeczkę. Często zapominała, czy posłodziła kawę wcześniej, i niejednokrotnie zdarzało jej się wsypać do napoju cukier jeszcze raz. Lubiła słodką kawę, ale bez przesady.

Obserwowała, jak gęsty brązowy płyn wypełnia powoli filiżankę, i rozmyślała o Jacku. Wyłączyła urządzenie, zabrała naczynie i sięgnęła odruchowo po cukiernicę. Całe szczęście w filiżance tkwiła już łyżeczka, więc tym razem udało jej się uniknąć posłodzenia kawy po raz kolejny. Zamieszała energicznie płyn, po czym wrzuciła łyżeczkę do zlewu.

W swoim życiu spotkała naprawdę wiele typów ludzkich, ale ktoś taki jak Jacek stanął na jej drodze chyba pierwszy raz. Miała z nim pewien kłopot. Początkowo wydało jej się, że niemożliwe jest skumulowanie w jednej osobie aż takiej naiwności, i zaczęła go podejrzewać o nieszczerłość. Ale doszła do wniosku, że naiwność w połączeniu z prostolinijnością i wrodzonym zaufaniem do ludzi mogą dać taki właśnie rezultat.

Celowo nazywała postawę życiową Jacka naiwnością, nie głupotą, choć to drugie określenie bardzo ją korciło. Z głupotą można było jakoś walczyć, w końcu wszyscy się uczymy, najczęściej na własnych błędach. Naiwność, zwłaszcza w przypadku Jacka, wydawała się nieuleczalna. To, że dał się kiedyś wykiwać byłej żonie, była w stanie wytłumaczyć młodością, zauroczeniem, niedoświadczeniem, ale to, co zrobił wczoraj... Po tylu latach naprawdę powinien się już czegoś nauczyć, a zachował się jak licealista, któremu wydaje się, że będzie mógł bezkarnie ściągać na maturze, a potem odwołać się do Trybunału Konstytucyjnego. Czy on naprawdę nie zdaje sobie sprawy, z kim ma do czynienia?

Józefina zasiadła z kawą przed ekranem komputera i uruchomiła wyszukiwarkę. Wrzuciła hasło „Lola Marini” i wyskoczyło jej kilka tysięcy stron. Zawężała poszukiwania. Zaczęła sprawdzać w konfiguracji z jej nazwiskiem „były mąż”, „aktualny narzeczony”, „majątek”, „proces”. Po godzinie wiedziała już o Loli wszystko. Oczywiście miała świadomość, że „wszystko” oznaczało w tym wypadku jedynie wszystko to, co Lola Marini chciała, żeby o niej wiedziano,

dlatego nie przestawała szukać. Wpisanie hasła „Danuta Pączek” nie przyniosło aż tylu wyników co poprzednio, ale internet dobrze wiedział, że to prawdziwe nazwisko Loli Marini. Chwały się nią liceum w miasteczku, z którego pochodził Jacek, a także szkoła podstawowa, pisali o tym fani na jej nieoficjalnych fanpejdżach. Patrzcie, nasz człowiek, z takiej dziury, a wyszedł na ludzi. W sumie nic ciekawego. Ciekawe natomiast okazało się dopiero wpisanie nazwiska „Danuta Sparowska”, bo pod tym hasłem... nie było nic. No, prawie nic. Pięć marnych trafień. Trzy dotyczyły bibliotekarki w Augustowie, która nie miała z Lolą nic wspólnego, i dwa, puste, gdzie pojawiała się tylko adnotacja: „Strona zawierała naruszenie praw autorskich, więc została usunięta”. Józefina wprawdzie z hulaniem po internecie nie miała problemu, ale dotarcie do informacji, które zostały usunięte z sieci, przekraczało jej możliwości. W zasadzie mogła poprosić o pomoc kolegów z policji, ale zrezygnowała z tej opcji. Na tym etapie wystarczyło jej to, co przeczytała. Postanowiła uwierzyć Jackowi.

Najpierw poczuła radość, że nie pomyliła się co do jego osoby, ale zaraz potem ogarnął ją strach. Jeśli wszystko to, co opowiedział jej Jacek, jest prawdą, ten głupek (tak, wreszcie sobie ulżyła) wpakował się w niezłe tarapaty.

Zamknęła pokrywę laptopa i podjęła decyzję: trzeba będzie chłopakowi pomóc. Oby tylko Lola nie odkryła kamer przed poniedziałkiem. Potem się coś wymyśli. Jeszcze nie wiedziała co, ale jako osoba, która uwielbiała porządkować życie innym, już się cieszyła na myśl, jakie to będzie wyzwanie. Tylko nic na wariata. Wszystko musi być precyzyjnie zaplanowane. Od razu też wyznaczyła sobie pierwsze zadanie.

Józefina zakończyła pracę w policji kilka lat temu i chociaż nigdy nie pracowała w pionie dochodzeniowym (była psychologiem, pod jej opiekuńcze skrzydła trafiały najczęściej maślaki poważnie pokiereszowane przez los), zawsze miała skłonności śledcze i nigdy nie zdarzyło się, żeby nie spojrzała na jakiś problem z drugiej strony. Kiedy na przykład na jej dyżur trafiał jedenastoletni delikwent trzeci raz przyłapany na kradzieży w supermarkecie, z rodziny ewidentnie patologicznej, w której każdy, łącznie z matką, był recydywistą, nigdy nie odpuszczała, nie szła na łatwiznę. Nie zadowalała się umieszczeniem chłopaka w policyjnej izbie dziecka, bo przecież i tak nic dobrego nie może z niego wyrosnąć. Prowadziła własne śledztwo. Odbywała z dzieciakiem długie rozmowy, badała, na ile silne są jego więzi z rodziną, na ile mocno został zainfekowany przez środowisko. Gdy tylko wyczuwała w małym człowieku jakiś potencjał, wolę zmiany, nadzieję, że jeśli da mu się szansę, będzie w stanie odmienić swój los, walczyła o to, by dziecko nie trafiło do domu poprawczego. W takich przypadkach, chociaż wykraczało to poza jej obowiązki zawodowe, starała się o sądowe odebranie rodzicom praw rodzicielskich i umieszczenie dziecka w rodzinie zastępczej. Nie zdarzało się to często, ale kilka razy odniosła spektakularny sukces.

Jeden z jej podopiecznych ukończył nawet prawo i został adwokatem. Złośliwi twierdzili, że klientów mu nie zabraknie. Wystarczy, że będzie bronić swej rodziny.

Zawsze też bardzo interesowały Józefinę wszelkie nowinki, które przychodziły do firmy ze świata. Tuż przed jej odejściem na emeryturę koleżdy z dochodzeniówki po szkoleniach w Stanach ekscytowali się na przykład tworzeniem profilu psychologicznego sprawcy. Jej też bardzo się to spodobało. Dlatego teraz od tego właśnie postanowiła zacząć. Wyjęła z szuflady dawno nieużywany służbowy notes, znalazła pod koniec wolną kartkę i napisała na górze strony „Lola Marini vel Danuta Pączek”. No tak. Lola Marini była przecież sprawcą przestępstwa. Uszło jej to na sucho, ale dokonała oszustwa, za które powinna ponieść karę. Oczywiście działania oficjalne nie wchodziły w grę. Po tylu latach nie było szans na wytoczenie jej procesu. Nawet Józefina, nie będąc prawnikiem, wiedziała, że prywatne roszczenia finansowe przedawniają się po dziesięciu latach. Zresztą Jacek miał rację, wszystko odbyło się w zasadzie zgodnie z prawem. Trzeba było uderzyć w Lolę z innej strony.

Pomysł Jacka, że uda się skompromitować Lolę, był tak samo naiwny jak zakup beretty na śrut. Ta kobieta to zbyt wytrawny gracz, a nie polityk, który musi stwarzać pozory. Była nieprzemakalna, impregnowana. W dodatku każdy rozgłos działał na jej korzyść. Będzie tak jak w dowcipie o Radiu Erewań i rozdawaniu samochodów na placu Czerwonym. Nie samochody, tylko rowery, i nie rozdają, tylko kradną. I w ogóle nie tam. Ta kobieta wszystko jest w stanie obrócić na swoją korzyść.

Józefina odłożyła długopis. Nie było co się rozpisywać. Wiedziała już przecież, co to za typ. Takich ludzi obchodzą wyłącznie pieniądze. Nie, zaraz się poprawiła. Tacy ludzie kochają tylko pieniądze, więc jedynie utrata pieniędzy może ich naprawdę zboleć. Tylko w ten sposób można ich ukarać. A uda się ich pokonać jedynie ich własną bronią.

Józefina przesiadła się z krzesła przy biurku na wygodny głęboki fotel uszak i przymknęła oczy. Jacek nie powinien marzyć o jakiejś głupiej romantycznej zemście. Musi po prostu wycisnąć od Loli swoje pieniądze. I już jej w tym głowa, żeby mu się udało.

Rozdział 28

Anatol Kolenda lubił swoją pracę. Pensję dostawał trzy razy wyższą niż w firmie ochroniarskiej, w której wcześniej pracował, gdy musiał przerwać tak pięknie się zapowiadającą karierę kierowcy rajdowego z powodu kontuzji łokcia. To prawda, teraz musiał być dyspozycyjny dwadzieścia cztery godziny na dobę, ale zupełnie mu to nie przeszkadzało. Nie miał żony ani dzieci, którymi musiałby się zajmować. Mimo że skończył zaledwie dwadzieścia osiem lat, nie zależało mu specjalnie na wieczorach piwnych z kolegami, bo praca dostarczała mu wystarczająco dużo ciekawych wrażeń.

Do pensji dochodziły apanaże w postaci pełnego wyżywienia i dachu nad głową, zapewnionego w każdym z rozlicznych domów szefa, w zależności od tego, gdzie aktualnie przebywał. A mógł rezydować w Monte Carlo, Rio de Janeiro, Nowym Jorku albo gdziekolwiek, Anatol zaś razem z nim. Oznaczało to, że Kolenda właściwie nie miał własnego domu, a cały jego majątek musiał mieścić się w walizce, ale to również stanowiło dla niego zaletę, nie wadę. Możliwość podróżowania po świecie rekompensowała mu wszelkie niedogodności. Bardzo szybko nauczył się, że walizki po prostu powinny być trzy – z identycznym wyposażeniem. Kiedy wracał z podróży, oddawał zawartość jednej do pralni, w następną podróż udawał się z drugą. Trzecia walizka była w rezerwie, bo kiedyś zdarzyło mu się, że pralnia nie dotrzymała terminu, więc mógł albo chodzić w brudnych ciuchach, albo kupić nową walizkę z całym wyposażeniem.

Anatol Kolenda pracował jako osobisty ochroniarz i jednocześnie kierowca Henryka Miki. Choć jego pryncypał mógł wykupić pół Polski, gdyby tylko chciał, bardzo nie lubił niepotrzebnego wydawania pieniędzy. Dlatego Kolenda łączył te dwie funkcje w jednej osobie. Był jeszcze Mietek w rezerwie, ale to taka sama rezerwa jak trzecia walizka Anatola, to znaczy z usług drugiego kierowcy-ochroniarza szef korzystał tylko w nagłych i nieprzewidzianych okolicznościach. Mietkowi też to odpowiadało. Nie lubił podróżować. Wolał gapić się w monitory przekazujące obraz z kilku kamer obserwujących posiadłość.

Henryk Mika nie zatrudniał na stałe żadnej służby, sprzątaczkę, kucharkę czy ogrodnika, którzy pałętaliby mu się po domu. Dbaniem o porządek zajmowała się wyspecjalizowana zaufana firma, której Mika był jedynym klientem. Najważniejszy punkt umowy stanowił warunek, że mają sprzątać tylko wtedy, kiedy właściciela nie ma w domu.

Pozycja Anatola była więc dość szczególna. Zdawał sobie z tego sprawę, ale nigdy, choć miewał propozycje, żeby ułatwić komuś dostęp do szefa, nie nadużył jego zaufania. Lubiał swojego przełożonego, bo to był w gruncie rzeczy bardzo porządny człowiek. Nie obnosił się ze swoim bogactwem, nie traktował ludzi

z góry, nie miał fochów – aż dziw, że tak bogaty człowiek okazywał się w gruncie rzeczy tak normalny. A ponieważ Anatol, do kości solidny i obowiązkowy, też nie dawał szefowi żadnych powodów do narzekań, relacje między nimi wydawały się wręcz idealne. Anatol darzył szefa szacunkiem i przywiązaniem, a ten odwdzięczał mu się prawdziwą przyjaźnią. Tak było przez długi czas, dopóki w życiu Henryka Miki nie pojawiła się Lola Marini.

Anatol znienawidził ją od pierwszego spojrzenia, a właściwie od braku spojrzenia, bo Lola swoim zwyczajem „nie zauważyła” go przy powitaniu. Jakby zamiast zgiętego wpool Anatola było tam tylko powietrze. Taka relacja między nimi miała stać się normą. Lola, kiedy już musiała zwrócić się do Anatola, robiła to zwykle przez Henryka: „Heniu, czy on mógłby przynieść nam bagaże z samochodu?”, „Heniu, czy on mógłby jechać szybciej?”. Kiedy zwrócił jej uwagę: „Mam na imię Anatol, proszę pani”, a Henryk go poparł: „Tak, kochana, mów Tolkowi po imieniu” – zyskał tylko tyle, że od tej pory Lola zaczęła się do niego zwracać w trzeciej osobie: „Niech Anatol poda mój płaszcz”. Brzmiało to jednak o wiele gorzej niż: „Niech on mi go poda”. Na szczęście ostatnimi czasy Lola nie bywała w żadnej z rezydencji Henryka zbyt często, więc konflikt nie miał okazji się zaostrzyć. To Henryk odwiedzał Lolę w jej domu, ale wtedy Anatol zostawał na zewnątrz albo przyjeżdżał rano, więc nie było problemu.

Anatol zupełnie nie mógł pojąć, jak taki rozsądny i zrównoważony mężczyzna jak jego szef mógł się związać z tak wredną kreaturą jak Lola Marini. Pamiętał dobrze poprzednią żonę Henryka, Annę, która zmarła na raka cztery lata temu. Różniły się jak ogień i woda. Przychodziło mu na myśl tylko jedno wyjaśnienie, sentencja głoszona z upodobaniem przez wszystkie feministki: mężczyźni nie myślą mózgiem, tylko penisem. Aby złagodzić wydźwięk tego, co właśnie wydedukował, celowo użył oficjalnego, a nie wulgarnego określenia. W końcu chodziło o jego szefa.

Kiedy Lola przyjechała dziś rano do posiadłości Henryka w Zalesiu Dolnym, Anatol czuł, że zanoszą się na coś poważnego. Przede wszystkim dlatego, że przywiozła ze sobą tłumek dziennikarzy. Anatol czytał prasę i zaglądał do internetu. Wiedział, że od dłuższego czasu wszystkie pisma plotkarskie spekulują o ślubie. Ciągle jednak nie wierzył, że jego szef mógłby popełnić takie głupstwo. Ale to nie dziennikarze zaniepokoiili Anatola – w końcu od kiedy pojawiła się Lola, miał z nimi nieraz do czynienia. Lecz gdy dziennikarze zrobili swoje i pojechali, Henryk Mika poprosił Anatola, żeby dzisiaj wyjątkowo wziął sobie wolne i przenocował w hotelu. Oczywiście na koszt firmy.

Coś takiego zdarzyło się pierwszy raz. Jego pokój znajdował się tuż przy biurze ochrony, na drugim końcu domu. Nie ruszyliby się przecież stamtąd, nie wyściubiłby nosa. Ale widać Loli i tak by przeszkadzał, sama myśl o jego obecności musiała ją drażnić. Uśmiechnął się z satysfakcją na wspomnienie o tym,

jak bardzo była wściekła, kiedy się dowiedziała, że Henryk zabiera również jego do Las Vegas. „Anatol wszędzie ze mną jeździ. Tak jest bezpieczniej”.

Dzisiaj to jednak ona była górą. Anatol odmeldował się szefowi z walizką.

– O której mam się zjawić jutro?

– Tak, żebyśmy się nie spóźnili na lotnisko. Wystarczy o dwunastej.

– Na pewno nie będzie pan mnie potrzebował? – upewnił się Anatol.

– Nie. – Henryk Mika zdecydowanie, choć z wyraźnie przeproszającym uśmiechem pokręcił głową.

Anatol wyjechał z garażu srebrnym lexusem. Henryk Mika jeździł tylko japońskimi samochodami. Często powtarzał, że kiedy jeszcze nie miał niczego, wydawało mu się, że mercedesami i bmw wożą się wyłącznie buce i gangsterzy. I to przekonanie ciągle w nim tkwiło. Choć nie przeszkadzało mu to wcale w byciu właścicielem dużego pakietu akcji obu tych marek.

Anatol już miał otworzyć bramę wyjazdową, kiedy spostrzegł, że przed furtką zatrzymał się podejrzanie wyglądający mężczyzna. Chociaż mężczyzna sam w sobie może i wyglądał zupełnie zwyczajnie – cyklistówka wciśnięta głęboko na czoło, niebieskie dżinsy, kurtka w kolorze khaki, mocno niepewny wyraz twarzy. To, co wzbudziło podejrzenia Anatola i sprawiło, że ostrożnie wysiadł z samochodu, sprawdzając, czy jego broń znajduje się w kaburze, na swoim zwykłym miejscu, znajdowało się w rękach mężczyzny.

Było to pudełko z pizzą. A raczej po pizzy, bo diabeł raczył wiedzieć, co mogło być w środku. Może bomba? W okolicy nie było przecież żadnej pizzerii, mężczyzna podszedł do domu na piechotę, a w pobliżu nie było widać żadnego samochodu ani skutera, którymi zwykle jeżdżą dostawcy. Słowem, facet na pewno nie był tym, za kogo chciał, żeby go uważano.

Anatol ostentacyjnie wyciągnął pistolet z kabury, podszedł do furtki i skierował lufę w stronę mężczyzny.

– Kim pan jest? Co pan tu robi?

W oczach mężczyzny błysnął strach.

– Ja... – wyjąkał – ...przywiozłem pizzę dla pani Loli Marini.

Anatol zlustrował go długim spojrzeniem. Nie wyglądał jak zamachowiec, raczej jak wariat, a wariaci... oni to dopiero potrafią być groźni!

– Niech pan otworzy pudełko.

Anatol na wszelki wypadek cofnął się o dwa kroki, wciąż celując w obiekt za płotem. Mężczyzna uniósł pokrywę opakowania tak, aby jego rozmówca mógł zobaczyć zawartość.

W środku znajdowała się pizza. Może coś jeszcze pod spodem, list miłosny albo co... W każdym razie pizza była bezdyskusyjna.

– Co pan tu robi? – powtórzył Anatol i westchnął.

– Ja... – znowu zająknął się mężczyzna.

– Wiem, przywiózł pan pizzę. Po co?

– Ja...

Anatol nie doczekał się odpowiedzi. Popatrzył na gościa, który właśnie zaczął wpatrywać się w czubki własnych pantofli, i wszystko stało się dla niego jasne. Kolejny fan Loli Marini. Ale on tu nie był od tego, żeby chronić Lolę przed jej fanami. Zwłaszcza że właśnie został oddelegowany.

– Niech pan mi poda to pudełko. – Wskazał na szczelinę pod bramą.

Mężczyzna ostrożnie wsunął tam pizzę.

– To ja już pójdę – rzekł chwilę potem.

– Zaraz.

Anatol otworzył pudełko, nie przestając celować w mężczyznę. Tylko pizza pepperoni, nawet listu nie było, nic.

– Ręce do góry – rozkazał, gdy facet w cyklistówce odwrócił się w stronę drogi, chcąc odejść.

Mężczyzna zatrzymał się posłusznie i uniósł dłonie nad głowę. Anatol uchylił pilotem bramę na nie więcej niż pół metra, podszedł do mężczyzny i dokładnie go obszukał. Nie znalazł broni ani ostrych narzędzi. Gość był czysty, no, jeśli pominąć lornetkę. Czyli wariat. Już chciał pozwolić mu odejść, kiedy przyszła mu do głowy pewna myśl. Wyjął telefon i zadzwonił:

– Szefie, mam tu przed bramą gościa, który twierdzi, że przywiózł pizzę dla Loli Marini.

Słysząc było, jak Henryk przekazuje tę wiadomość Loli. Zamiast spodziewanego zaniepokojenia i normalnej w takich wypadkach odpowiedzi: „Ale ja nie zamawiałam żadnej pizzy”, a w dalszej perspektywie skruchy szefa, że tak bezceremonialnie spławił ulubionego ochroniarza, gdy zagrożenie za płotem, Anatol usłyszał śmiech, a po chwili szef przekazał mu odpowiedź:

– Zapytaj go, z jakiej jest redakcji.

– Z jakiej jesteś redakcji? – spytał Anatol wściekły, że sam wcześniej na to nie wpadł.

– Ja... jestem freelancerem.

– Freelancer – przekazał Anatol.

– To niech spada – przekazał szef.

Anatol schował telefon i jednoznacznym gestem machnął ręką w stronę faceta, że ma sobie pójść. Mężczyzna skwapliwie skorzystał z tej oferty. Nie zdążył jednak odejść na więcej niż kilka metrów, gdy powstrzymał go zdecydowany głos:

– Albo nie, zaczekaj, chodź.

Anatol podniósł z ziemi pudełko z pizzą i oddał je mężczyźnie.

– Ona na pewno nie skorzysta, co ma się zmarnować.

Mężczyzna kiwnął głową w podziękowaniu. Anatol nachylił się do jego ucha z diabolicznym uśmiechem.

– Niedawno, jak był tu taki, co też z nim nie chciała gadać, to wdrapał się tam, na to drzewo. – Anatol dokładnie pokazał które. – Niezłe fotki porobił. Ale się potem złościła! Korzystaj, póki czas, bo już załatwia pozwolenie, żeby wyciąć.

Brama otworzyła się do końca, lekko skrzypiąc. Anatol zanotował w pamięci, że trzeba ją naoliwić, i obserwując, jak mężczyzna udaje się w kierunku wskazanego drzewa, wsiadł do lexusa, zamknął pilotem bramę i odjechał z odczuciem to prawda, że małej, ale jednak satysfakcji.

Rozdział 29

Z drzewa nic nie dało się zobaczyć. Dom wprawdzie widoczny był jak na dłoni, ale wszystkie okna zostały szczelnie zasłonięte. Lola nie pozwoliłaby sobie przecież na dwukrotne popełnienie tego samego błędu. Kto zresztą wie, czy to był błąd, czy celowo zaplanowana akcja. Ale znając moją byłą żonę, skłaniałem się ku temu drugiemu.

Nie tak to miało się rozegrać.

Kiedy doszedłem do wniosku, że Lola nie wróci na noc do siebie, postanowiłem sprawdzić, czy na pewno jest wciąż u milionera. Nazwa miejscowości, w której znajdowała się jego posiadłość, została podana w porannych newsach. Kiedy zajechałem do Zalesia, pierwsza napotkana osoba wskazała mi, gdzie znajduje się dom Henryka Miki.

Chciałem się tylko porozglądać. Oczywiście spodziewałem się ochrony, dlatego wziąłem tę pizzę dla kamuflażu, żeby w razie czego wytłumaczyć się, że niosę ją do sąsiadów. Nie wziąłem jednak pod uwagę, że Zalesie to nie Szczęśliwice. Domy nie stoją tam w odległości dziesięciu metrów od siebie. Do najbliższych sąsiadów Henryk Mika miał jakieś pół kilometra.

Miałem też plan B. Wyobrażałem sobie, że na pewno mają tam domofon. Gdybym nie natknął się wcześniej na ochronę, chciałem z głupia frant podejść do furtki, zadzwonić i powiedzieć, że mam pizzę dla Loli. Gdybym usłyszał, oczywiście nie od niej, tylko od kogoś z obsługi, że nie zamawiała pizzy, miałbym przynajmniej pewność, że tam jest.

Wszystko jednak poszło inaczej. I tak miałem szczęście, że nie wpakowałem się w większe tarapaty. Ten ochroniarz naprawdę wyglądał groźnie. Dobrze, że przynajmniej dokumentów nie zabrałem ze sobą. Gdyby ten goryl zapamiętał moje nazwisko lub, co gorsza, podał je Loli, poległbym na całej linii. Oj, na pewno nie opowiem o tej przygodzie pani Józefinie. Dosyć upokorzeń jak na jeden dzień.

Zszedłem z drzewa i sięgnąłem po pizzę, którą pozostawiłem obok na trawie. Podgrzeje się w piekarniku i na kolację będzie jak znalazł.

W niedzielę przed południem pojechałem na Szczęśliwice, by upewnić się, że mój system działa i Lola rzeczywiście nie wróciła do domu na noc. Wszystko na to wskazywało. Monitoring pracował bez zarzutów.

Po konsultacjach z panią Józefiną ubrałem się w szary prochowiec, który został jej jeszcze po mężu, podobnie jak kapelusz typu borsalino, w ogóle nieużywany. Głupio się czułem w takim przebraniu, ale zaufałem pani Józefinie, że tak jest bezpieczniej i już.

Udało mi się zaparkować multiple w części parkingu znajdującej się najbliżej budynku terminalu. Obliczyłem, że skoro samolot do Pekinu odlataje

o szesnastej, Henryk Mika nie powinien się pojawić na Okęciu wcześniej niż o czternastej. Na pewno podróżował klasą biznes; wtedy nie czeka się w kilometrowych kolejkach na odprawę.

Wszedłem do terminalu na poziomie hali przylotów i wjechałem windą na piętro. Tam przy stanowisku znanego biura podróży wtopiłem się w tłum pasażerów wylatujących na Wyspy Kanaryjskie. Miałem stamtąd bardzo dobry widok na wejście i zatokę do parkowania na zewnątrz.

W moich kalkulacjach czasowych pomyliłem się o godzinę. Tłum lecących na Kanary zdążył zamienić się już w pasażerów do Varadero, gdy chwilę po piętnastej przed wejściem do hali odlotów zatrzymał się srebrny, znany mi już lexus. Najpierw wysiadł z niego też mi już dobrze znany ochroniarz (pani Józefina miała jednak nosa z tym przebraniem), potem Henryk Mika, a na końcu Lola Marini, która nie ruszyła się z auta, dopóki ochroniarz nie otworzył jej drzwi.

Gdy tylko Lola wychynęła z samochodu, nagle, nie wiadomo skąd, otoczył ją tłumek dziennikarzy, a diwa, doskonale udając zaskoczenie, zaczęła rozdawać uśmiechy na prawo i lewo w błysku fleszy. Normalnie w tym miejscu nie wolno parkować, można się tylko zatrzymać na chwilę, żeby wysadzić pasażerów, ale Loli widać nie obowiązywały przepisy ruchu drogowego. Wzięła do ręki kluczyki przekazane jej przez ochroniarza i podeszła do stojącego nieopodal młodego policjanta. Chłopak wyprostował się na jej widok niemal na baczność i potulnie kiwnął głową, kiedy wręczyła mu kluczyki, uśmiechając się tak bezradnie, że każdy mężczyzna natychmiast zapragnąłby się nią zaopiekować, i pewnie już zaczął przygotowywać opowieść dla kolegów, jak to miał okazję popilnować samochodu samej Loli Marini.

Całe towarzystwo, łącznie z dziennikarzami, przeniosło się do hali odlotów. Odprawa odbyła się błyskawicznie, a pożegnanie Loli z ukochanym było kwintesencją landrynek, radzieckiego szampana i biżuterii z Jablonexu w jednym.

Nie czekałem do końca przedstawienia. I tak za chwilę miałem zobaczyć wszystko na Pudelku. A ponieważ ja, niestety, nie potrafiłem sobie załatwić chłopca parkingowego, pobiegłem na parking po samochód, uiszczając wcześniej w parkomacie horrendalną opłatę w wysokości dziesięciu złotych za godzinę.

Kiedy wyjeżdżałem z parkingu, o mało nie staranował mnie srebrny lexus. Ruszyłem za nim.

Rozdział 30

W ciągu sześciu lat małżeństwa Hanka Bondek zdążyła aż za dobrze poznać swojego męża. Właściwie już po trzech latach wiedziała, że ślub z nim to kompletna pomyłka, ale Franek kończył dwa lata i właśnie zaczynał mówić, a ona była już wtedy w ciąży z Malwinką, ciąża zaś to nie jest najlepszy okres, żeby myśleć o kompletnej odmianie swojego życia.

Mijały więc lata, dzieci rosły, a ona najpierw udawała, że nic nie wie o zdradach męża, licząc na to, że może wreszcie się ustatkuje. Potem starała się udawać, że właściwie jej one nie przeszkadzają, aż w końcu otwarcie przyznała sama przed sobą, że ma tego dość. Przecież jej mąż nigdy się nie zmieni. Nawet jak jej obieca, że już nigdy więcej, to jego słowo będzie warte tyle, ile obligacje carskiej Rosji na pchlim targu w Pekinie.

Rok temu wyszukała w internecie prywatnego detektywa, który reklamował się, że jest w stanie dostarczyć twarde dowody niewierności każdego męża lub żony, nawet jeśli oni nigdy jeszcze o zdradzie nie pomyśleli. Sięgnęła po telefon, wybrała numer i... natychmiast się rozłączyła. Dlaczego nie zadzwoniła? Oczywiście, jak zawsze w takich wypadkach, tłumaczyła się dobrem dzieci. Jakub mężem był może kiepskim, ale dzieci naprawdę go kochały. Gdyby tylko nie te wszystkie jego kłamstwa...

Nie chodziło jedynie o inne kobiety. Bondek po prostu taki był. Dla osiągnięcia celu mógłby zrobić wszystko, nieważne, czym kosztem. Może nawet zabić? Wzdrygnęła się na taką myśl, ale tak, chyba byłby do tego zdolny. Hanka czuła, że w dziedzinie wartości zupełnie się z Jakubem rozminęli. To znaczy, właściwie zawsze byli na przeciwnych biegunach, tylko Jakub przez wiele lat skutecznie się kamuflował. Dopiero jak odkryła, że zamierzał oszukać swojego współnika Miśka, naprawdę otworzyły jej się oczy. Hanka dobrze znała się na finansach, skończyła ekonomię na Uniwersytecie Warszawskim. Chociaż nigdy nie pracowała na etacie, bo zaraz po studiach urodziły się dzieci, zajmowała się księgowością firmy Bondek Security.

Tak naprawdę to ona była współwłaścicielką agencji, nie jej mąż. Misiek początkowo nic o tym nie wiedział, bo po pierwsze, kompletnie go to nie interesowało, po drugie, nie znał się na finansach, tylko na elektronice, po trzecie, tak dalece ufał ludziom, że dało się mu wmówić wszystko.

Pieniądze na rozruch firmy pochodziły od ojca Hanki. Na szczęście tatuś, który od początku zięcia nie lubił i miał lepszego nosa do ludzi niż córka, tak skonstruował umowę, że Jakub mógł tylko zarządzać firmą i otrzymywać procent z zysku. Ostateczny głos miał zawsze należeć do Hanki, która nigdy z tego przywileju nie korzystała, bo Jakub rzeczywiście radził sobie z kierowaniem firmą

całkiem nieźle. Nadeszła jednak chwila, kiedy Bondka przestała satysfakcjonować rola prezesa i postanowił przejąć udziały Miśka. Problem polegał na tym, że Misiek nie chciał swych udziałów sprzedać. Bondek wynalazł więc inny sposób, by zostać współwłaścicielem firmy, a nie tylko jej prezesem. Postanowił zaciągnąć duży kredyt, doprowadzić firmę do papierowego bankructwa (Misiek przecież i tak by się nie zorientował), a potem wykupić udziały wspólnika za grosze.

Hanka dość łatwo przejrzała prawdziwe intencje męża i dyskretnie uświadomiła Miśkowi, co firmie grozi w przypadku zaciągnięcia tak wysokiego kredytu. Wszystko odbyło się bardzo dyplomatycznie, bez obciążania Jakuba, bo uznała, że na odkrycie wszystkich kart jest jeszcze za wcześnie. Misiek jako pełnoprawny wspólnik na inwestycję się nie zgodził, kredytu i bez doradztwa Hanki sam nie chciał zaciągać – i tak w firmie zapanował względny spokój. A Hanka Bondek straciła resztkę zaufania do męża.

Tak więc oficjalną wymówką Hanki, gdy tłumaczyła się przed sobą, dlaczego unika rozwodu, był wzgląd na dobro dzieci, ale powód zasadniczy stanowiła obawa o przyszłość firmy, która była przecież ich żywicielką. Nie bez znaczenia pozostawała też troska o los Miśka, którego Hanka darzyła szczerą sympatią i przyjaźnią.

Na razie Hanka udawała potulną żonę, która na niczym się nie wyznaje, i czekała na naprawdę dobry pretekst, żeby rozstać się z mężem. Tymczasem sytuacja w firmie wróciła do normy, wyniki finansowe i bez kredytu były coraz lepsze, a Bondek ograniczył swoje skoki w bok do trzymiesięcznych romansów z sekretarkami. Słowem, rutyna. Nie działało się nic, co by mogło wzmocnić jej motywację. Aż do momentu, kiedy na horyzoncie pojawiła się Lola.

Hanka nie potrafiła rozgryźć, na czym mogła polegać relacja jej męża ze sławną piosenkarką. Raczej nie podejrzewała ich o romans, ewentualnie może jakieś nieistotne bara-bara przy okazji. Przecież wszystkie media rozpisywały się o ślubie Loli z milionerem. Nie byłaby taka głupia, żeby angażować się w związek z jakimś tam podrzędnym szefem firmy ochroniarskiej, nawet jeśli ten przedstawił się jako jej właściciel. W sprawy służbowe również nie wierzyła. Nagła zmiana alarmu i firmy ochroniarskiej? Akurat teraz? Bez specjalnego powodu? To na kilometr pachniało czymś podejrzanym.

Kiedy więc w niedzielne popołudnie Jakub Bondek odebrał pilny telefon i oznajmił, że musi jechać do firmy i może tam zabawić parę godzin, Hanka nie okazała zdziwienia. Zatroaska się szczerze, że jej biednemu mężowi nawet w niedzielę interesy nie pozwalają na wytchnienie, zwłaszcza w ten właśnie weekend, który mieli tylko dla siebie, bo dziećmi zajmowali się dziadkowie, i ofiarowała się wspaniałomyślnie, że mu przygotowuje do pracy ulubione kanapki z salcesonem. Spotkało się to ze stanowczą odmową – ależ nie, kochanie, nie kłopotcz się, jak będę głodny, zamówię sobie pizzę – co też zupełnie Hanki nie

zdziwiło. Cmoknęła więc męża w policzek na pożegnanie, informując, że skorzysta z okazji i obejrzy kilka nowych odcinków *Gotowych na wszystko* – ty, kochanie, i tak na pewno nie chciałbyś ich oglądać ze mną – i w związku z tym właśnie wychodzi, żeby kupić sobie paczkę chipsów na wieczór telewizja.

Nie weszła jednak do najbliższej Żabki, tylko pobiegła na sąsiednią ulicę, gdzie mieścił się postój taksówek. Wsiadła do jedynej stojącej tam taryfy i poprosiła, żeby kierowca podjechał najpierw pod ich apartamentowiec. Taksówkarz zupełnie się nie zdziwił, kiedy z podziemnego garażu wynurzył się czarny mercedes, a jego pasażerka zadysponowała, żeby ruszył za nim.

Rozdział 31

Sytuacja rozgrywała się zgodnie z moimi przewidywaniami.

Po ckliwym pożegnaniu na lotnisku Lola udała się prosto do domu. Zaparkowała lexusa na terenie swojej posesji, na niewielkim placyku przed wejściem, ale nie na środku. Ustawiła auto maksymalnie z prawej strony, jakby robiła miejsce dla jeszcze jednego samochodu. Dobrze, czyli spodziewała się gościa, o to właśnie mi chodziło. Film z Lolą układającą się samotnie do snu z mojego punktu widzenia nie miał żadnej wartości. Ale gdyby obok niej pojawił się ktoś jeszcze, to mogłaby być prawdziwa bomba.

Usadowiłem się w bagażniku multipli tak, że moja głowa nie wystawała ponad poziom okien, ale mogłem jednocześnie obserwować podjazd, bramę i wejście do domu Loli. Uzbroiłem się w dużą dozę cierpliwości, ale okazało się, że nie musiałem wcale długo czekać. Kilka minut po piątej pod bramę podjechał czarny mercedes.

Jakoś zupełnie mnie nie zdziwiło, że za jego kierownicą siedział Jakub Bondek. Jego zachowanie jednak wprawiło mnie w szczerze zdumienie. Jakub bowiem skierował pilota na bramę, która otworzyła się bez protestów, wjechał na posesję jak do siebie, zamknął bramę i zadowolony wysiadł z samochodu. Dłuższą chwilę szukał czegoś w kieszeni, aż w końcu wyciągnął z niej pęk kluczy i podszedł do drzwi. Teraz nie poszło mu tak łatwo jak z bramą. Próbował kilkakrotnie dopasować klucz do zamka, ale zupełnie mu to nie wychodziło. Chyba coś mruczał pod nosem, na pewno jakieś przekleństwo.

Tak byłem zaaferowany tym, co robi Bondek, że kompletnie nie zwróciłem uwagi na taksówkę, która zatrzymała się w pobliżu mojego samochodu. Wpadłem w lekką panikę i odruchowo obniżyłem głowę, żeby nikt mnie nie zobaczył, ale zupełnie niepotrzebnie.

Okazało się, że i taksówkarz, i jego pasażerka zjawili się tu dokładnie w tym celu, co ja – czyli uważnie obserwowali Jakuba Bondka, a pasażerka dodatkowo fotografowała go swoją komórką. Wychynałem w górę trochę odważniej i wtedy wszystko stało się jasne. Pasażerką taksówki była Hanka Bondek. Więc może rzeczywiście uda mi się zarejestrować jakiś skandal?

Taksówka uruchomiła silnik w chwili, gdy przed Bondkiem otworzyły się drzwi, i szybko odjechała, a moja kamera umieszczona na fikusie w holu zaczęła przekazywać obraz i całkiem dobrej jakości dźwięk.

– Nigdy nie nauczę się otwierać tych drzwi – żalił się Bondek.

– Zapisz sobie – tłumaczyła Lola ze śmiechem – albo wykuj na pamięć. Najpierw srebrny klucz na dole, potem złoty na górze, na końcu ten kwadratowy w środku. W innej konfiguracji się nie otworzy.

- Po co ci tyle zamków? Jak będą chcieli, to ci się włamią przez okno...
- Wszystkie okna są antywłamaniowe.
- ...a zresztą masz alarm.
- Właśnie nie mam.
- I dlatego ja tu jestem do ochrony – zarechotał Bondek, wieszając płaszcz. –

Wiem wszystko, Misiek mi powiedział.

- Zdamy?
- To znaczy, że zaczynamy?
- A myślałeś, że co?
- No, że zaprosiłaś mnie, by mi wręczyć zaproszenie na ślub.
- Bardzo śmieszne. Tylko że ja nie mam poczucia humoru.
- Wiem. No nie złość się, tak tylko chciałem się upewnić.

Bondek protekcyjnie objął Lolę w pasie takim gestem, że naprawdę musiał z nią być mocno zaprzyjaźniony. Lola jednak odepchnęła go lekko.

- Najpierw interesy.

Przerzuciłem się na obraz z salonu. Tam kamerę umieściłem na żyrandolu, więc obraz z góry był nieszczejny, dało się jednak rozpoznać osoby. Dźwięk za to był idealny.

Lola wniosła do salonu dwie szklanki z napojami. Bondek zaraz pociągnął łyka.

- Soczek? – skrzywił się. – Nie dolejesz czegoś mocniejszego?
- Mogę dolać. Tylko potem, pijaku, zadzwonię po twoją żonę, żeby cię odwiozła do domu.
- A mówiłaś, że nie masz poczucia humoru.
- To nie żart, tylko ostrzeżenie.
- I za to właśnie cię lubię. – Bondek się roześmiał. – To jak sobie wyobrażasz podział łupów?

– Ty dostajesz udziały Miśka i przejmujesz firmę, a ja zadowolam się moimi szpilkami.

Udziały Miśka? Przejmujesz firmę? Przycisnąłem mocniej słuchawki do uszu. O czym oni mówią?

- Udziały Miśka w firmie nie są warte nawet jednej ósmej tego, co twoje szpilki.
- Nie żartuj. Mówisz o cenie zakupu, nie sprzedaży. Przecież nie zwrócę ich do Harrodsa. Pośrednicy kosztują.
- No dobrze, jednej czwartej. Zawsze rozliczaliśmy się sprawiedliwie.
- Każdy otrzyma to, na czym najbardziej mu zależy. To nie jest sprawiedliwe?

Bondek znowu się roześmiał.

- Naprawdę, lubię cię, Lola – przerwał, pociągając długi łyk soku – ale nie

aż tak. *Fifty-fifty* ze szpilek, Misiak w bonusie. Beze mnie to ci się nie uda.

Lola popatrzyła na niego dziko.

– Mówiłam, że nie mam poczucia humoru. Bez mojego planu też zostaniesz z niczym. Daję ci dwadzieścia procent.

– Trzydzieści. Muszę mieć jakiś kapitał, żeby wykupić udziały mojej żony.

– Dwadzieścia pięć.

– Zgoda.

Uścisnęli sobie ręce i wtedy zgasło światło. To znaczy takie miałem pierwsze wrażenie, ale to nie światło zgasło, tylko ekran komputera. W ułamku sekundy wiedziałem, co się stało. Oczywiście, padła bateria. Nie, nie jestem aż taką ofiarą, dobrze ją naładowałem. Mogła pracować bite cztery godziny i pracowałyby, gdybym nie włączył Wi-Fi w laptopie, kiedy koło południa sprawdzałem, czy w domu Loli wszystko działa i czy nie pojawiły się w necie nowe wiadomości na jej temat. Laptop przez cały ten czas szukał sieci i bateria szybciej się wyładowała. Po prostu głupie roztargnienie, cały ja. Dupa ze mnie, nie konspirator. Nawet sobie nie wyobrażacie, jaki byłem na siebie wściekły. Nagranie się pewnie nie zapisało, oni tu zaczynają rozmawiać o takich rzeczach, a ja wyję z bezsilności. Mogłem przecież pomyśleć o baterii na zapas, ale wszystko odbywało się na wariackich papierach, nie przypuszczałem, że mój pomysł w ogóle wypali.

Zatrzasnąłem laptop i wrzuciłem go do torby. Chciałem to samo zrobić z transponderem, ale zauważyłem, że jest w nim wejście audio. Transponder miał na szczęście własne zasilanie i sprawną baterię. Wsunąłem szybko wtyczkę jacka do otworu, nałożyłem słuchawki i... usłyszałem głos Bondka.

– No to powiedz wreszcie, jaki jest ten twój plan.

No, może jeszcze nie wszystko stracone.

Rozdział 32

Michał Horubała, przez przyjaciół zwany Miśkiem, uważał się za człowieka szczęśliwego. Miał żonę, którą kochał i która również go kochała, właśnie spodziewał się narodzin pierwszego, długo oczekiwanego dziecka, praca dostarczała mu wiele satysfakcji, a do tego przynosiła całkiem niezłe dochody. Nie należał do osób, które chciałyby mieć tylko więcej i więcej, potrafił się cieszyć z tego, co ma, stąd może jego dobre samopoczucie.

To prawda, ostatnimi czasy stosunki z jego współnikiem zaczęły się trochę komplikować, ale w końcu Bondek dał się przekonać, że nie są jeszcze gotowi na duże inwestycje i zaciąganiem kredytów wciąż mogą poczekać. Misiek nie potraktował też poważnie propozycji odsprzedaży udziałów w firmie i zatrudnienia na etat. Doskonale rozumiał, że jest to reakcja obronna człowieka, który sam chciałby decydować i nie lubi z nikim dzielić się władzą. Poza tym z tego, co mówiła Hanka, wynikało, że Bondek nie dysponuje gotówką, która pozwoliłaby mu na taki zakup. Na zaciągnięcie kredytu firmowego musiałby zgodzić się Misiek, co oczywiście nie wchodziło w grę, a na kredyt prywatny musiałaby wyrazić zgodę Hanka, która też wcale się do tego nie paliła. I tak kółko się zamknęło, a konflikt został zażegnany. Tak przynajmniej Miśkowi się wydawało.

W niedzielę o ósmej wieczorem Misiek nie spodziewał się żadnych gości – więcej: gości sobie wręcz nie życzył, bo zdążył się już przebrać w piżamę, a za kilka minut miał się rozpocząć w telewizji jego ulubiony serial. Kiedy więc zadzwieczał dzwonek u drzwi, podszedł cicho do wizjera i na wszelki wypadek zerknął, kogo to niesie, chociaż miał zamiar udawać, że nikogo nie ma w domu. Po zlustrowaniu przybysza westchnął jednak cicho i otworzył.

– Cześć, stary. Spóźniłeś się, już po kolacji.

Mina Jacka Sparowskiego mówiła jednak wyraźnie, że nie załapał dowcipu.

– Przepraszam, ale to naprawdę pilne.

Misiek jeszcze raz westchnął i wycofał się w głąb mieszkania, wpuszczając przyjaciela do środka.

– Już kładziesz się spać? – zdziwił się Jacek, do którego dopiero teraz dotarło, w jak nietypowym stroju Misiek go powitał.

– Niezupełnie.

Z wnętrza mieszkania dobiegł głos Agaty:

– Misiek, za pięć minut się zaczyna!

– Za chwilę! – odkrzyknął Misiek do żony, a po chwili, widząc zdumienie na twarzy przyjaciela, wyjaśnił niechętnie: – Dziś niedziela.

– Więc?

– Zaraz zaczynają nadawać *Ranczo*. Mamy taki zwyczaj, że oglądamy je

razem w łóżku, jemy chipsy, pijemy piwo, teraz Agata tylko bezalkoholowe, a potem... wiesz. Co ci zresztą będę tłumaczył. Z czym przychodzisz?

– Misiek, nie możemy jutro podłączyć tego alarmu.

– Coś ci wypadło? Nie szkodzi, poradzę sobie sam.

– Misiek, to t y nie możesz podłączyć tego alarmu. Oni chcą cię wykończyć.

– Oni? To znaczy kto?

– Lola i Bondek.

– Tak? – W głosie Miśka słyhać było pobłażliwe powątpiewanie. – Niby jak? I skąd masz takie informacje?

– Nie mogę powiedzieć skąd, ale są pewne.

Jacek przecież nie mógł się przyznać, że wie wszystko dzięki podsłuchowi. To absolutnie nie wchodziło w grę.

– Misiek! Oni chcą cię wrobić w kradzież tych szpilek od milionera!

– Jakich szpilek? – Misiek najwyraźniej nie czytał prasy brukowej. – Ty się dobrze czujesz? Nie spadło ci coś na głowę?

– Misiek, za trzy minuty się zaczyna! – znowu dobiegł głos Agaty.

– Już idę, kochanie. A ty się prześpij, piwo sobie wypij i daj ludziom się zrelaksować w niedzielny wieczór.

Misiek, odwracając się w kierunku sypialni, wyraźnie dał do zrozumienia, że wołałby, aby Jacka już tu nie było.

– Misiek, mam pewność, że Lola i Bondek planują gruby przekręt. Bondek chce cię skompromitować, wyeliminować z rynku i wpakować za kratki, żeby przejąć twoje udziały w firmie. Uwierz mi. Wprawdzie Bondka nie znam prawie wcale, ale Lolę poznałem na tyle dobrze, by mieć pewność, że jest zdolna do wszystkiego.

Misiek puścił mimo uszu informację, że ma być przez współnika zniszczony, natomiast wiadomość, że Jacek zna dobrze Lolę Marini, nie umknęła jego uwagi. Odwrócił się na pięcie i popatrzył na Jacka uważnie.

– Skąd znasz Lolę Marini?

– To moja była żona.

– Misiek, minuta! – przypomniała Agata.

Tym razem Misiek nie odpowiedział jej na wezwanie. Otworzył szeroko usta, ni to ze zdumienia, ni to z niedowierzania. Dopiero po dłuższej chwili bardziej oświadczył, niż zapytał:

– Nigdy nie mówiłeś, że byłeś żonaty...

– Wyjaśnię ci to później. Teraz musisz zrobić wszystko, żeby się bronić.

– ...tym bardziej że miałeś t a k ą żonę...

– Nikomu o tym nie mówiłem. To naprawdę skomplikowane.

– I co, twoja żona cię nie rozpoznała, tak? Widziała cię w firmie, byłeś u niej w domu i do głowy jej nie przyszło, że ma do czynienia ze swoim byłym?

– Nie patrzyła na mnie. Ona widzi tylko tych ludzi, których chce widzieć, jeśli są jej potrzebni.

– Ściemniasz, stary.

– Misiek, nie widziała mnie od siedemnastu lat! Wtedy, gdy byliśmy razem, wyglądałem zupełnie inaczej!

– Ludzie aż tak się nie zmieniają, żeby ich nie potrafiły rozpoznać własne żony!

– Byłe żony. Misiek, proszę – Jacek westchnął – nie rozmawiajmy teraz o Loli, tylko o tobie. Naprawdę grozi ci niebezpieczeństwo. Daj sobie powiedzieć...

– Zaczęło się! – doniosła Agata.

– Sorry, stary, muszę iść, bo zaraz zaczniesz mi grozić prawdziwe niebezpieczeństwo. Z Agatą nie ma żartów. Przychodzisz jutro do roboty czy nie? Nie możemy wtedy porozmawiać?

– Możemy. – Jacek kiwnął głową zrezygnowany. – Przychodzę. Nie musisz po mnie przyjeżdżać. Trafię.

Rozdział 33

Wszystko poszło nie tak. Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że pojawi się problem, kiedy będę musiał wyjaśnić Miśkowi, skąd mam tak szczegółowe informacje o planowanym przekręcie, ale nie przypuszczałem, że Misiek w ogóle nie da sobie wyjaśnić, o co chodzi. Zupełnie niepotrzebnie zaczął się interesować moim związkiem z Lolą. No dobrze, gdybym ja się teraz dowiedział, że mój najlepszy przyjaciel był kiedyś żonaty, na przykład z Paris Hilton, też bym zaczął patrzeć na niego podejrzliwie. Ale mógł mnie przynajmniej wysłuchać do końca, a nie lecieć oglądać ten cholerny serial. Dał z siebie zrobić straszego pantoflarza. Szkoda chłopca.

Na szczęście pani Józefina, której nie musiałem już tłumaczyć moich relacji z Lolą, wysłuchała, co ustaliłem, od początku do końca, tylko od czasu do czasu wtrącając pełne niedowierzania okrzyki.

– Na pewno nic się nie nagrało?!

– Nic.

Ciężki jęk.

– Dlaczego nie miałeś zapasowej baterii?!

Dobre pytanie, ale pozostało retorycznym. Drugi jęk.

Widziałem, jak w trakcie opowieści zmienia się wyraz jej twarzy. Niedowierzanie ustąpiło zdumieniu, po oburzeniu przyszedł strach – albo zatroskanie, nie znam się tak dobrze na ludzkich reakcjach – a na samym końcu pojawił się nieklamany podziw.

– Ona jest naprawdę genialna – rzekła pani Józefina, wykładając na mój talerz resztki bigosu.

– Dlatego zawsze jej się wszystko udawało – przytaknąłem niechętnie, ochoczo sięgając po widelec.

– Kompletnie aspołeczny typ, psychopatyczny wręcz, ale genialny – zupełnie nie wiem dlaczego, zachwycła się pani Józefina, zacierając ręce.

– I co panią tak cieszy? Że będzie pani mieć godnego przeciwnika? – zażartowałem z sarkazmem.

– Ależ skąd, mój drogi. Cieszę się, że tego przeciwnika właśnie opuściło szczęście. A co to znaczy?

Wzruszyłem ramionami.

– Nic w przyrodzie nie ginie – odpowiedziała sama sobie pani Józefina. – To znaczy, że szczęście właśnie szuka nowego obiektu, żeby się w nim zadomowić. I my mu w tym pomożemy. No, kończ ten bigos, synku, bierzemy się do roboty.

Kiedy ja zgarniałem resztki z talerza, pani Józefina udała się do swojego pokoju i przyniosła stamtąd kilka kartek w kratkę formatu A4 i dwa długopisy.

Zgarnęła mi sprzed nosa pusty talerz, na jego miejscu położyła jedną kartkę i wręczyła długopis.

– Musimy teraz, godzina po godzinie, rozpisać cały ich plan.

– Ale po co? Nie powinniśmy przede wszystkim ratować Miśka?

– No właśnie ratujemy Miśka. Opowiadaj wszystko jeszcze raz.

Po półgodzinie cały niecny plan Loli i Bondka leżał przed nami spisany punkt po punkcie w dwóch egzemplarzach.

– A Misiek? – ciągle nie rozumiałem, do czego pani Józefina zmierza. – Trzeba najpierw go przekonać...

– Najpierw – przerwała mi Józefina – to on musi odzyskać do ciebie zaufanie. I to będzie punkt pierwszy naszego planu. – Położyła przede mną kolejną czystą kartkę. – Potem powiem ci jak.

Bez większego przekonania zapisałem w lewym górnym rogu jedynekę.

– Ale Misiek powinien wiedzieć, co mu grozi.

– Misiek nie musi o niczym wiedzieć, a wręcz nawet nie powinien. Za to wtajemniczymy we wszystko Agatę. Nie martw się, ja się tym zajmę.

– Agatę?

– No chyba nie jesteś, synku, przeciw parytetom? – roześmiała się Józefina. – Nie ociągaj się, pisz.

Zapisałem – punkt pierwszy: odzyskać zaufanie Miśka, i od razu ogarnęły mnie wątpliwości.

– Żeby odzyskać jego zaufanie, muszę mu przeszkodzić w założeniu tego alarmu. Sam dokończę tę robotę, to wtedy nie będzie na niego.

– Jacuniu – pani Józefina popatrzyła na mnie z irytacją – już za późno. Machina ruszyła. Przecież on tam był w piątek, miał klucze do domu Loli prawie przez cały dzień przy sobie, poznał hasło do alarmu... Czy pójdzie tam jutro, czy nie, już mają na niego haka.

– Ale oni chcą go wykorzystać!

– A masz na to jakiś dowód oprócz tego, co nielegalnie podsłuchałeś?

No tak, moja wiedza z prawnego punktu widzenia była całkowicie bezużyteczna. Pani Józefina trafnie zinterpretowała moje milczenie.

– No to pisz. Punkt drugi: kupić i naładować drugą baterię do laptopa.

Spojrzałem na nią zdumiony.

– Przecież miałem jutro usunąć wszystkie kamerki...

– Synku, chyba się z osłem na rozum zamieniłeś! – Józefina wkurzyła się nie na żarty. – Okoliczności się chyba trochę zmieniły, nie?

Nadal nie miałem pojęcia, do czego zmierza.

– Ale to nielegalne...

– Chyba miałeś tę cenną świadomość, gdy zakładałeś to świństwo, co?

– Ale to miało być tylko na chwilę. Zresztą i tak nie będziemy mogli tego

opublikować ze względu na dobro Miśka.

– A po co publikować?

– No... przecież dlatego to wszystko zrobiłem...

– A nie pomyślałeś, matolku złoty, że większy pożytek będziesz miał wtedy, jeśli ten materiał nie zostanie opublikowany?

Popatrzyłem na nią uważnie.

– I że ktoś właśnie za to może bardzo dużo zapłacić? Na przykład tyle, żeby wystarczyło na mieszkanie?

Nareszcie załapałem. Szantaż! Nigdy bym nie posądzał pani Józefiny o takie zagrania. Potem okazało się, że to i tak była jedna z najniewinniejszych rzeczy, o które bym jej nie podejrzewał. Ale pomysł był genialny. To mogło się udać.

– Jaki jest punkt trzeci?

Pani Józefina się uśmiechnęła.

– A tak w ogóle, to jeśli mamy być współnikami, to mów mi Ziuta. – Podąła mi rękę, a ja natychmiast ją uścisnąłem. – Bruderszaft wypijemy potem, jak już opracujemy własny plan.

Rozdział 34

Violetta Grzdyl bardzo lubiła swoje imię i była niesłychanie wdzięczna rodzicom, że tak właśnie nazwali ją na chrzcie. Szczególnie zadowolona była z pisowni, przez V; dzięki temu imię od razu nabierało ekskluzywnego, światowego wydźwięku. Niestety, nie można tego było powiedzieć o nazwisku, które brzmiało aż za bardzo swojsko, żeby nie powiedzieć: wsiowo. Ale cóż, nazwiska się nie wybiera, można najwyżej je zmienić. W przypadku kobiet jest to o tyle łatwe, że wystarczy po prostu wyjść za mąż. Nie trzeba prosić się w urzędach, wypełniać stosów papierków i tłumaczyć powodów podjęcia tak ważnej decyzji, jakby samo oświadczenie, że się nie podoba, nie wystarczało.

Violetta Grzdyl miała głębokie przeświadczenie, że jej problemy z nazwiskiem wkrótce się zakończą, bo zaiste, były to prawdziwe problemy. W każdej kolejnej szkole dzieci z niej kpiły i wyśmiewały ją nawet bez okazji. Nie miała nawet przezwiska, wystarczyło, że ktoś za nią zawołał – ty grzdylu! – a już pokrywała się rumieńcem, zamykała w sobie i uciekała z płaczem w najdalszy kąt.

Z biegiem czasu zaczęła się do tego swojego garbu przyzwyczajać, nie reagowała już tak gwałtownie, ale w głębi duszy marzyła o takiej chwili, kiedy jej obecne nazwisko będzie widoczne już tylko na metryce urodzenia, no i na świadectwie maturalnym niestety. Bo na dyplomie ukończenia studiów – tu trzeba koniecznie nadmienić, że ambitna Violetta nie tylko pracowała w Bondek Security, lecz także studiowała zaocznie marketing i zarządzanie – musi już być inne nazwisko. Violetta postawiła to sobie za punkt honoru. Nie będzie już w następnych CV, wysyłanych w poszukiwaniu bardziej ekscytującej, lepiej płatnej i zgodnej z wykształceniem pracy, figurować z tak kompromitującym nazwiskiem.

Całe szczęście, że wszyscy pracodawcy oprócz tych dokumentów życzyli sobie również zdjęcia, bo w kategorii „fotogeniczność” Violetta wyprzedzała o głowę wszystkie kandydatki, nie wspominając nawet o kandydatach. Dlatego też dostała obecną pracę. Prezes, który ją przyjmował, przyznał szczerze, że nawet nie zajrzał do jej CV, bo najbardziej mu zależy, żeby firma była należycie reprezentowana przez osobę o nienagannej prezencji. W tej kategorii Violetta również nie miała sobie nic do zarzucenia.

Bardzo szybko jej relacje z szefem stały się zupełnie nieoficjalne. Gdy wysłuchiwała już wszystkich skarg na żonę, która zupełnie prezesa nie docenia, kompletnie nie rozumie i z którą nastąpił trwały rozkład pożycia, a z którą prezes mieszkał tylko dla dobra dzieci, w oddzielnych pokojach, poza tym zero seksu, nic – romans rozwinął się w ekspresowym tempie. Wprawdzie był to prawie wyłącznie romans biurowy, czyli seks na biurkach, bo prezes oświadczył, że nie może się na razie afiszować z nową kobietą, kiedy rozwód w toku i wredna żona

nawet niewinne wyjście na służbowy lunch może wykorzystać przeciwko niemu, ale przecież Violetta wszystko to dobrze rozumiała.

W poniedziałkowy poranek przyszła do pracy jak zwykle pierwsza, jeszcze przed ósmą. Otworzyła biuro, naląła świeżej wody do ekspresu i dosypała kawy, włączyła komputer i usiadła za biurkiem. Właściwie rozsiadła się w swoim obrotowym fotelu i powiodła po pokoju takim wzrokiem, jakby od dzisiaj to ona była tutaj prezesem. Miała jednak pewne podstawy, żeby tak się zachowywać. Nie dalej jak wczoraj późnym wieczorem Jakub Bondek odwiedził ją w wynajmowanej kawalerce i zaraz po szybkim bara-bara poprosił, żeby zastanowiła się nad jakimś ładnym miejscem w ciepłych krajach, gdzie chciałaby wziąć ślub.

Violetta wyjęła z drukarki czystą kartkę papieru, naostrzyła ołówek i zaczęła ćwiczyć nowy podpis – Violetta Bondek. Nie spodziewała się żadnego z prezesów przed dziewiątą, więc oddała się temu zajęciu z takim zapałem, że zupełnie nie zauważyła, kiedy w drzwiach biura pojawił się jakiś obcy mężczyzna. Niespodziewany odgłos – który zabrzmiał jak bum! – zaskoczył ją tak, że aż podskoczyła na krześle i zupełnie niepotrzebnie odwróciła leżącą przed nią kartkę na drugą stronę.

– Bry – roześmiał się przybyły mężczyzna. – Coś ty, laska, taka strachliwa?

– Dzień dobry. Wcale mnie pan nie przestraszył – oburzyła się Violetta, szybko doszła do siebie i nie reagując na zaczepkę, dała dowód prawdziwego profesjonalizmu: – W czym mogę panu pomóc?

– A po co, kurde, miałbym tu przyłączyć? Alarm chcę założyć.

Violetta dopiero teraz obrzuciła mężczyznę uważnym spojrzeniem. Miał na sobie zniszczoną skórzaną kurtkę z kolorowymi aplikacjami, wyświechtane dzinsy i dużą monterską torbę przewieszoną przez ramię. Nie wyglądałby na potencjalnego klienta agencji ochrony, czyli takiego, który miałby co chronić, gdyby nie jego włosy: długie do pasa, w wiśnioworudym kolorze i do tego z indiańską przepaską na czole. „Ani chybi jakiś muzyk rockowy albo raper” – pomyślała Violetta i od razu zaszeregowała mężczyznę do grupy klientów kluczowych. Tacy to mają forsy jak lodu. Nie rozpoznawała wprawdzie człowieka z twarzy, ale prawdą jest, że tego typu muzyka, którą zdawał się uprawiać, zupełnie jej nie interesowała.

– Oczywiście. – Przywołała na twarz zawodowy uśmiech numer pięć. – W apartamencie czy w domu?

– Chatę buduję. Dwa rzuty beretem stąd.

– To duży dom?

– Zajebicie.

Violetta kiwnęła głową, zadowolona z siebie, że tak dobrze oceniła klienta.

– Dom już istniejący czy w budowie?

– Laska, śpisz? Mówiłem, że chatę buduję.

– To dobrze – ucieszyła się Violetta – będzie można bez problemów ukryć w ścianach przewody, no i koszty będą mniejsze.

– No właśnie, kurde, koszty. Nareszcie przesłaś do rzeczy.

Violetta stropiła się nieco. Sięgnęła po jedną z ulotek, których stos leżał na biurku.

– O kosztach ochrony w różnych wariantach może pan sobie przeczytać tutaj – powiedziała, wręczając mężczyźnie ulotkę.

– Dziunia, nic nie będę czytał. – Muzyk nawet nie sięgnął po ulotkę. – Ty mi opowiedz. I dlaczego tak drogo.

– ...natomiast koszt założenia alarmu jest ustalany indywidualnie – ciągnęła Viola niezrażona, odkładając ulotkę na stosik. – Projekt i tak dalej. Wie pan, są domy i domy. Mogę pana umówić z prezesem Horubałą, który zajmuje się projektowaniem i wyceną. – Violetta otworzyła terminarz i zanim muzyk zdążył zaprotestować, znalazła wolne okienko. – Na przykład w środę?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Laska, odpada. Jutro stąd wyrywam. Dzisiaj wszystko, kurde, muszę załatwić albo wcale.

– Oj, to będzie problem – zmartwiła się Viola. – Dziś pan prezes uruchamia alarm u pani... Loli Marini.

Dwa ostatnie słowa wypowiedziała z taką atencją, jakby ten alarm miał być założony przynajmniej w pałacu prezydenckim. Popatrzyła na mężczyznę, chcąc się upewnić, że jej słowa zrobiły na nim odpowiednio duże wrażenie, ale nic takiego nie wyczytała z jego twarzy. Co więcej, wydawało się, że kompletnie go to nie obchodzi.

– Lola Marini, ta słynna piosenkarka – wyjaśniła Violetta dobitniej, nie dowierzając, że ktoś mógłby nie znać tego nazwiska. I słusznie nie dowierzała.

– Taaa... – odparł muzyk zblazowanym tonem. – To ona mi was, kurde, poleciła. Nie wiem czemu. Całkiem się z tobą, laska, nie mogę dogadać.

Dopiero teraz Viola zaczęła się naprawdę denerwować. Taki duży kontrakt, do tego znajomy Loli Marini... Jeśli to zamówienie z jej powodu nie doszłoby do skutku, Bondek by ją chyba zamordował.

– Zaraz zadzwonię do prezesa i zobaczę, co się da zrobić. – Viola włączyła uśmiech numer sześć, najszerszy w skali.

– No! – Usatysfakcjonowany mężczyzna zaczął rozglądać się za miejscem do siedzenia. Zanim jednak Viola zdążyła sięgnąć po słuchawkę telefonu, w drzwiach biura pojawił się Misiak Horubała we własnej osobie.

– O, dzień dobry, panie prezesie, akurat pana szukamy.

Czujna Violetta natychmiast zauważyła, z jaką dezaprobatą popatrzył prezes na potencjalnego klienta, więc szybko wstała, żeby nadać swoim słowom większą wagę i uświadomić szefowi, że z takim kontrahentem jednak należy się liczyć.

– Ten pan tutaj chciałby założyć alarm i przyszedł z polecenia pani Loli Marini. Bardzo zależy mu na czasie. Czy pan prezes mógłby poświęcić mu teraz minutkę?

Misiek westchnął.

– Pani Marini, zdaje się, też zależy na czasie.

– Lola nie zając, nie ucieknie. W końcu już złapaliście klienta, nie? Umowę chyba podpisała? – Długowłosa mężczyzna roześmiał się ze swojego dowcipu i nie czekając na odpowiedź prezesa, podszedł do Miśka i wyciągnął do niego rękę. – Rychu Monter jestem. Pogadamy?

Misiek, z trudem ukrywając niechęć, uścisnął podaną dłoń.

– Horubała. Proszę.

Otworzył drzwi swojego gabinetu i gestem zaprosił klienta do środka.

Kiedy za mężczyznami zamknęły się drzwi, Violetta nareszcie odetchnęła z ulgą. Teraz, cokolwiek się wydarzy, nie będzie to już jej wina. Wyjęła z torby kupiony rankiem magazyn „Podróże” i zaczęła rozglądać się za ładnym miejscem w jakimś ciepłym kraju.

Rozdział 35

Gdyby nie gigantyczny korek na Grójeckiej, może nic by się nie wydarzyło.

W poniedziałek wczesnym rankiem Hanka Bondek jak zwykle wyjechała z podziemnego garażu apartamentowca, w którym mieszkała, swoim żółtym fiacikiem 500, aby zawieźć dzieci do przedszkola. Określenie „jak zwykle” było w przypadku tej akurat czynności trochę na wyrost, bo Hanka odwoziła dzieci do przedszkola zaledwie od dwóch tygodni, ale tak już się do tego zajęcia zdążyła przyzwyczaić, że wydawało jej się, jakby robiła to od zawsze. Dwa tygodnie temu Malwinka skończyła dwa i pół roku, a był to graniczny wiek, od którego przyjmowano dzieci do pobliskiego prywatnego przedszkola. Czteroletni Franek mógłby chodzić do przedszkola już wcześniej, ale nie miało to większego sensu, skoro i tak siedziała w domu z Malwinką na urlopie wychowawczym. A teraz nareszcie mogła uwolnić się od obojga dzieci za jednym zamachem. Oczywiście przed nikim by tego w taki sposób nie sformułowała, przecież kochała swoje dzieci, więc co to znaczy „uwolnić się”? Ale naprawdę przebywanie z nimi przez całą dobę zaczynało ją już tak męczyć, że gdy tylko pojawiała się okazja, żeby ktoś na kilka godzin dziennie zdjął z niej obowiązek czuwania nad ich bezpieczeństwem, zabawiania ich i karmienia, natychmiast z niej skorzystała. Od dwóch tygodni cieszyła się z odzyskanej wolności i właściwie jeszcze nie zdążyła się poważnie zastanowić, jak mogłaby ją wykorzystać.

W ulicę Dickensa udało jej się skręcić bez problemu, ale już kilka metrów dalej zorientowała się, że Grójecka praktycznie stoi. Dojazd do przedszkola nie zajmował jej nigdy więcej niż dziesięć minut. Tak naprawdę można by tam spokojnie dotrzeć na piechotę, ale – po pierwsze – Hanka lubiła jeździć swoim zabawnym autkiem, więc korzystała z każdej okazji, żeby to robić, a po drugie – marcowa aura w tym roku zupełnie nie zachęcała do spacerów. Hanka była stworzeniem ciepłolubnym i gdyby mogła, to kilka zimowych miesięcy najchętniej w ogóle wykreśliłaby ze swojego kalendarza. Dziś rano temperatura oscylowała w granicach zera stopni i mocno wiało. Kiedy jednak na skrzyżowaniu z Grójecką już trzeci raz zmieniły się światła, a sznur samochodów ani drgnął, Hanka zaczęła rozmyślać, czyby nie zaparkować samochodu gdzieś na chodniku i jednak nie pójść dalej piechotą. Niestety, nie było ani skrawka wolnego miejsca, gdzie można by upchnąć nawet tak skromnych rozmiarów auto jak jej fiacik.

Każda kolejna zmiana świateł, która nie prowadziła w żaden sposób do rozładowania korka, budziła w Hance rosnącą irytację. Przez chwilę przemknęło jej nawet przez głowę, żeby zachować się tak jak Michael Douglas w *Upadku* – zostawić samochód na środku drogi i z niego wysiąść. Szybko jednak przypomniało jej się, jak dramatyczne konsekwencje przyniosło to bohaterowi tego

filmu, więc zacisnęła zęby i pomyślała, że skoro znalazła się w sytuacji, w której nic nie może zrobić, musi po prostu ją zaakceptować. Wyłączyła silnik i natychmiast przestała się denerwować. Na szczęście z głośników samochodu dobiegały przygody Koziółka Matołka w brawurowej interpretacji czołowych artystów scen polskich i doskonałej oprawie muzycznej, więc zasłuchane dzieciaki na tylnych siedzeniach na razie nie zauważyły, że podróż trwa trochę dłużej niż zwykle.

Ale głowa Hanki nie próżnowała. Dotarło do niej, że jej życie nie jest przecież taką krótką chwilą, w której należy się poddać, gdy nie ma innego wyjścia. A ona, głupia, zachowywała się jakby tak właśnie było. „Jeśli teraz w ciągu dziesięciu sekund ten korek ruszy, rozwiędę się z nim” – pomyślała i zamknęła oczy. Zdażyła doliczyć do pięciu, kiedy dobiegł ją ponaglający dźwięk klaksonu stojącego za nią samochodu. Na skrzyżowaniu pojawił się właśnie dziarski policjant i kilkoma sprawnymi ruchami zaczął rozładowywać zator. Grójecka ruszyła.

Kiedy Hanka zostawiła dzieci w przedszkolu, decyzja już została podjęta. Bo Hanka wierzyła w przeznaczenie. Prawdę mówiąc, od dawna czekała na taki znak. Lola Marini będzie doskonałym pretekstem do rozwodu. Ale rozwód to nie wszystko. Trzeba będzie jeszcze rozwiązać problem z firmą. Wprawdzie Bondek nie był jej właścicielem, ale zarządzał nią z dużym powodzeniem, no i miał zagwarantowane udziały w zysku. Hanka nie miała wątpliwości, że sama poradziłaby sobie z jego obowiązkami, nie była jednak pewna, jak na to zareagowałby Misiek. Dlatego też nie wróciła tego ranka do domu, żeby wypić razem z mężem poranną kawę, tylko udała się prosto do siedziby Bondek Security.

Na jej widok Violetta Grzdyl zdumiała się tak wielce, że aż wstała z miejsca.

– Dzień dobry. Ale pana prezesa jeszcze nie ma...

– Dzień dobry. – Hanka zdobyła się na przyjazny uśmiech. – Ja tym razem do pana Michała. Jest?

– Jest, ale...

Zanim Viola zdażyła wyjaśnić, że drugi prezes rozmawia właśnie z kluczowym klientem, drzwi gabinetu otworzyły się i wyszedł z nich najpierw długowłosego muzyk rockowy, a zaraz po nim wyraźnie wzburzony wiceprezes Michał Horubała.

– To ja poczekam na zewnątrz – oznajmił muzyk i uśmiechnął się do sekretarki. – Pa, maleńka! – Mrugnął do niej. – Dzień dobry i do widzenia. – Ukłonił się Hance szarmancko, zginając w pas, co zupełnie nie współgrało z wizerunkiem, jaki do tej pory tworzył.

Hanka tylko skinęła mu głową grzecznościowo, nie okazując większego zainteresowania, więc muzyk wyszedł, jeszcze raz puszczając oko do Violi.

Hanka nie zwlekała ani chwili z przekazaniem najnowszych wieści, zupełnie

nie krępując się obecnością sekretarki.

– Misiek, podjęłam decyzję. Rozwodzę się – oświadczyła bez żadnych wstępów.

Misiek, który po wizycie niespodziewanego klienta już sprawiał wrażenie, jakby nie do końca miał prawidłowy kontakt z rzeczywistością, po słowach Hanki kompletnie osłupiał.

– Co? – tylko tyle udało mu się z siebie wydusić.

– Mam już dość. To koniec. Podjęłam decyzję.

Misiek osunął się na biurko pani Violi i wyglądał, jakby miał za chwilę zemdleć.

– Jak to? – wysapał z trudem.

Violetta Grzdyl patrzyła na Hankę Bondek z takim samym osłupieniem jak jej szef i miała ochotę zadać to samo pytanie. Jak to: s i ę rozwodzę? Przecież Jakub jej powiedział, że rozwód już dawno jest w toku, że załatwiają wszystko polubownie i że za chwilę, jak tylko wszystko się uprawomocni, będą mogli wziąć z Violą ślub.

– Michał, wszystko w porządku? – zatroskała się Hanka, bo Misiek pobladł i zaczął ciężko oddychać.

– Tak, nie przejmuj się. Klient mnie trochę zdenerwował, ale dochodzę do siebie.

– Aaa, to dobrze – uspokoiła się Hanka, widząc, że oddech Miśka wraca powoli do normy.

– No przecież wiedziałeś, że tak się to musi skończyć. Te wszystkie sekretarki, które znajdował chyba na wybiegach dla modelek... – Hanka z rozbawieniem popatrzyła na skonfundowaną Violetę, która nie zdążyła uciec ze wzrokiem. – A teraz jeszcze ta Lola Marini.

Violetta Grzdyl wbiła wzrok w biurko, za to pilnie nadstawiła uszu.

– W piątek nakryłam go w gabinecie, jak buszował między jej nogami. A wczoraj spędził cały wieczór u niej w domu. Otworzył sobie własnymi kluczami.

– No co ty? – zaoponował Misiek nieśmiało.

Hanka wyciągnęła komórkę i pokazała Miśkowi zdjęcie Bondka wkraczającego do domu Loli. Violetta natychmiast podniosła wzrok, zapuszczając żurawia w stronę telefonu, co nie uszło uwagi Hanki.

– O, przepraszam. – Podała Violi telefon, a ta bez skrępowań zaczęła wpatrywać się w zdjęcie.

– Może był w sprawie alarmu? – Misiek stanął w obronie współnika zupełnie bez przekonania.

Hanka roześmiała się w głos.

– Jestem pewna, że mają romans.

Wyjęła komórkę z rąk rozkojarzonej Violi i niedbałym gestem wrzuciła do

torebki. Viola powiodła wzrokiem najpierw za zdjęciem, a potem przyjrzała się uważnie żonie swojego chlebodawcy. Z jej twarzy biła taka determinacja, że Violetta nie powinna mieć wątpliwości. Ale miała. Przecież Jakub był również u niej późnym wieczorem. Oświadczył się! To niemożliwe, żeby wcześniej zabawił się u Loli. Jednak przecież zdjęcia nie kłamią... Fotomontaż? Po co? I dlaczego Hanka opowiada o tym wszystkim w jej obecności? Czyżby się domyślała, że oni są razem? Albo nawet wiedziała? A jeżeli to prawda? O co chodzi z tymi sekretarkami z wybiegów dla modelek? Czy to znaczy, że przed nią było wiele innych? Violetta czuła, że jej tak precyzyjnie zaplanowana przyszłość właśnie sypie się w gruzy. Wszystkie wątpliwości i obawy musiały być chyba wyraźnie wypisane na jej twarzy, bo Hanka Bondek uśmiechnęła się do niej ze szczerym współczuciem i pogłaskała ją po ramieniu.

– No, dziecko – przeszła na formę konfidencjonalną – o takich rzeczach lepiej dowiadywać się wcześniej niż później. Życie się wtedy mniej komplikuje. Ja, widzisz, straciłam przez tego bałwana sześć lat. Ty zaledwie dwa miesiące. Jesteś do przodu. A jaka nauczka życiowa!

Hanka zakończyła działalność samarytańską, energicznym krokiem podeszła do wciąż zdezorientowanego Miśka i wróciła do tematu interesów:

– Musimy zdecydować, co dalej z firmą. Wyrzucamy go od razu na pysk czy pozwalamy dokończyć, co zaczął?

Misiek wymownie spojrzął na zegarek.

– Dobrze, nie teraz. – Hanka prawidłowo odczytała jego gest.

– Wyrzucamy? Prezesa? – Violetta, która do tej pory milczała, stosując taktykę „nie potwierdzam ani nie zaprzeczam”, totalnie zaskoczona, zupełnie odruchowo włączyła się do rozmowy.

Hanka zatrzymała się przed jej biurkiem, wzdychając ze znanym już Violi wyrazem współczucia na twarzy.

– Obiecał ci małżeństwo, prawda? Ślub w jakimś ciepłym kraju? Kazał sobie wybrać miejsce? Mówił, że jest właścicielem firmy i że awansujesz z sekretarki na wiceprezesa? Już prawie się ze mną rozwiódł, tak? – ciągnęła z przekąsem, nie czekając na potwierdzenie. – On sam nigdy w życiu nie wystąpiłby o rozwód. Raczej by mnie zamordował. W tej firmie nic nie jest jego. Prawda, Misiek?

Misiek tylko pokiwał głową.

– Michał, będziesz moim świadkiem na rozwodzie?

Misiek nabrał głęboko powietrza, ale zanim zdążył odpowiedzieć, od strony biurka Violi dobiegło drżące i ciche:

– Ja będę.

Rozdział 36

Lola Marini nie miała żadnych kompleksów co do swojego wyglądu. Nawet więcej – kochała swój wizerunek bez żadnych zastrzeżeń. Już od dzieciństwa uwielbiała przeglądać się w lustrze. Podziwiała swą, jakby wyrzeźbioną w alabastrze przez greckich mistrzów, twarz, a gdy trochę podrosła, z takim samym zachwytem wpatrywała się w swoje doskonale proporcjonalne, pozbawione jakichkolwiek wad ciało. Jędrne piersi, nie za duże, nie za małe, wąziutko w pasie, szeroko w biodrach, nogi do samej ziemi, istne чудо. Ponieważ nieustannie, wręcz każdego dnia otrzymywała ze strony nie tylko zachwyconych mężczyzn, lecz także zazdrosnych kobiet potwierdzenie słuszności swojej opinii, bardzo szybko zorientowała się, jak wielki wpływ jej uroda wywiera na ludzi. Mężczyźni, prawie bez wyjątku, tracili dla niej głowy, a kobiety zamieniały się w wampirzyce, które tylko czyhały, żeby zatopić w jej białej szyi swe kły. Lola niezwykle łatwo nauczyła się, jak może swoje atuty wykorzystać w praktyce. Można powiedzieć, że to był właściwie talent wrodzony.

Oczywiście lata mijały i Lola, która uwielbiała spędzać czas na podziwianiu swego odbicia w lustrze, nie mogła nie zauważyć, że jej wizerunek z każdym dniem traci na atrakcyjności. Mała zmarszczka, podbródek lekko zaczyna zwisać, fałdka tłuszczu na brzuchu, piersi trochę niżej, pajęczki na stopach. Ohyda. Oczywiście te drobne mankamenty były na razie widoczne wyłącznie dla niej, w końcu tylko ona знаła swe ciało na pamięć, ale zdawała sobie sprawę, że lada chwila staną się też dostrzegalne dla innych. A co gorsza, pojawia się młodsza konkurencja. Dlatego też spędzała całe dni w gabinetach kosmetycznych, aby choć trochę zatrzymać czas. A to wszystko kosztowało.

Na szczęście po ostatnim zabiegu mezoterapii na twarz, szyję i dekolt, połączonej z terapią płytkami krwi, wyglądała olśniewająco i mogła na chwilę zapomnieć o tym, ile ma naprawdę lat. I dziś wieczorem na gali na pewno znów zrobi furorę. Ale najpierw mała próba, już za chwilę.

Mimo że była dopiero ósma rano, Lola ubrała się wyjściowo, niemal jak na bal. Ale przecież gwiazda o każdej porze i w każdym miejscu powinna wyglądać jak gwiazda, zwłaszcza gdy ma misję do spełnienia.

Różowe porsche zaparkowało tuż przed wejściem do komisariatu na ulicy Opaczewskiej, dokładnie pod znakiem „parking tylko dla samochodów służbowych policji”. Lola nigdy się nie przejmowała przepisami ruchu drogowego i jeszcze się nie zdarzyło, żeby jakiegokolwiek wykroczenie nie uszło jej na sucho. Weszła do budynku, roznosząc zapach perfum Poison Diora, stanowczo zbyt ciężkich na tę porę dnia, ale do jej celów niezawodnych. Żaden inny zapach nie działał tak zniewalająco na mężczyzn. Lola podejrzewała, że muszą dodawać do niego jakieś

feromony.

Tak jak się spodziewała, młody człowiek w niebieskim mundurze młodszego aspiranta siedzący za biurkiem przy wejściu najpierw szeroko otworzył oczy ze zdumienia, potem popatrzył na nią jeszcze raz, jakby się upewniając, że wzrok go nie myli, aż wreszcie gwałtownie wstał, boleśnie uderzając się w łokieć. Tylko krótkie skrzywienie świadczyło o intensywności bólu, bo policjant niemal natychmiast uśmiechnął się promiennie i przywitał gościa:

– Dzień dobry. Jak mógłbym pani pomóc?

– Dzień dobry. – Lola odpowiedziała równie promiennym uśmiechem. – Czy mogłabym porozmawiać z kimś, kto tutaj dowodzi?

– Tak, oczywiście. – Aspirant niemal zsalutował, sięgając po słuchawkę telefonu, lecz w porę przypomniał sobie, że gość wprawdzie wyjątkowy, ale przepisy przepisami. – A można wiedzieć w jakiej sprawie? – zapytał nieśmiało.

– Osobistej. – Lola ucięła inwigilację z czarującym uśmiechem, który jednak tym razem nabrał pewnej dwuznaczności.

– Aha – podsumował aspirant, podnosząc słuchawkę. – Panie komendancie, ma pan gościa. W sprawie osobistej.

Osoba po drugiej stronie słuchawki musiała chyba wyrzucić z siebie dość duży potok nieprzyjemnych słów, bo mina aspiranta wydłużała się i coraz częściej kiwał głową, choć jego rozmówca, rzecz jasna, nie mógł tego zobaczyć.

– Tak, panie komendancie, ale...

Aspirant kiwał głową coraz częściej, aż wreszcie udało mu się chyba wykorzystać moment, gdy przełożony musiał zaczerpnąć powietrza.

– Ale jednak byłoby lepiej, gdyby pan komendant tu zszedł.

Trzask odkładanej po drugiej stronie słuchawki usłyszała nawet Lola, która zdążyła już rozpiąć futro z farbowanych na różowo lisów i zaczynała właśnie ściągać rękawiczki, kiedy na schodach dało się słyszeć mały tumult.

Po chwili zza zakrętu wyłonił się niewielkiego wzrostu pięćdziesięcioletni, łysy mężczyzna, z wyraźną nadwagą, zaczerwieniony na twarzy z wysiłku albo ze złości. I już otwierał usta, żeby obsztorcować Bogu ducha winnego aspiranta, kiedy zauważył oczekującą na niego kobietę. W jednej chwili wyraz jego twarzy się zmienił. Potrzebował trochę mniej czasu niż aspirant, żeby zorientować się, kto jest jego gościem. Zdążył nawet wyhamować na metr przed Lolą.

– Dzień dobry. Lola Marini.

Natychmiast do niego podeszła, podając rękę w taki sposób, by nie uległo wątpliwości, że należy ją pocałować, a gest ten komendant odczytał bezbłędnie i skwapliwie wykorzystał jedyną taką okazję w życiu.

– Witam, witam. Pietrusiński. Edward. Pani do mnie?

– Jeśli pan tu jest szefem.

– Tak! – odpowiedział dumnie komendant.

– Zatem do pana.

– To zapraszam, zapraszam do mnie na górę – ucieszył się Edward Pietrusiński. – Czy mogę zaproponować pani kawę? – zapytał, wprowadzając Lolę do swojego gabinetu, odwiesiwszy wcześniej jej futro na wieszak w sekretariacie.

– Wypiję z przyjemnością, ale nie chciałabym zajmować panu zbyt wiele cennego czasu. Przecież na pewno jest pan strasznie zajęty i ma pan tyle spraw na głowie...

– Na kawę z piękną kobietą zawsze mam czas – zaryzykował komendant kokieteryjnie, a Lola gładko przyjęła komplement, odwzajemniając uśmiech. – Tylko... – zreflektował się szybko – ...mamy jedynie sypaną. Policji nie stać na ekspres.

– Nic nie szkodzi – odparła Lola, która w innych okolicznościach kawy plujki nawet nie wzięłaby do ust.

Komendant wydał dyspozycje co do kawy sekretarce, a sam wrócił, by podziwiać uroki Loli, które z premedytacją zaczęła przed nim roztaczać, wdzięcznie zakładając nogę na nogę.

– Otóż, panie komendancie, mam pewien problem i nie wiem, co z tym zrobić. Mieszkam sama... – Zawiesiła głos, robiąc minę kobiety bezbronnej, którą nie ma się kto zaopiekować.

– Oj, to niedobrze.

– Bardzo niedobrze – łatwo zgodziła się Lola i westchnęła. – No więc mieszkam sama i ostatnio zaczęłam się trochę denerwować, bo zauważyłam, że od kilku dni o różnych porach jakiś obcy mężczyzna obserwuje mój dom.

– Obcy mężczyzna?

– Zupełnie obcy.

– Rysopis? – zareagował Pietrusiński profesjonalnie.

– Wysoki, w czarnej kurtce. Czapka głęboko nasunięta na czoło, pół twarzy zasłonięte szalikiem, jakby się kamuflował. Do domu raczej nie wejdzie, mam ochronę, dobre zamki, okna antywłamaniowe, ale czuję się... nieswojo. A nawet, powiedziałabym, czuję się zagrożona. – Lola się wzdrygnęła.

– Doskonale panią rozumiem. Samotna kobieta. Poważna sprawa. Ale... może to tylko cichy wielbiciel?

– O tak, tacy też przychodzą. Ale oni nie zasłaniają twarzy szalikiem. Zwykle czatują pod bramą i proszą o autograf. A ten zachowuje się inaczej, jakby sprawdzał, kiedy mnie nie ma w domu. Ja myślę, że to może być włamywacz.

Sekretarka wniosła tacę z kawą, nie przepuszczając okazji, by zlustrować Lolę od stóp do głów.

– No cóż... – zafrasował się komendant, wlewając mleko do filiżanki i tworząc menisk wypukły. – Tak też może być. Czyli... chciałaby pani złożyć oficjalną skargę.

– Och, nie! A jeśli się mylę? Może niepotrzebnie panikuję, może to rzeczywiście jakiś nieśmiały wielbiciel? Jak bym wtedy wyglądała! Nie mogę przecież zwracać głowy tak poważnej instytucji niepotrzebnie. A gdyby to jeszcze potem prasa podchwyciła, toby mi dopiero nie dali spokoju. I panu też przy okazji, a przecież nie chcę panu szkodzić.

– Tak... Trudna sprawa, trudna... – Komendant Pietrusiński podrapał się w głowę.

– Ale przecież nie zostawi pan samotnej kobiety w potrzebie?

– Nie! – zaprotestował natychmiast, waląc otwartymi dłońmi w kolana. – Na pewno coś wymyślę.

Lola wsypała cukier do kawy i zamieszała płyn łyżeczką. Nawet miała szczerzy zamiar upić łyk, ale gdy podniosła filiżankę do ust, zauważyła, że fusy wciąż jeszcze nie opadły na dno. Odstawiła więc napój na stolik. Komendant ciągle myślał.

– A gdyby tak... – Lola postanowiła pomóc władzy w tym trudnym zadaniu. – No, tak sobie pomyślałam, że może gdyby jakiś patrol przypadkiem przejeżdżał koło mojego domu... – zerknęła na policjanta, czy łapie, o co chodzi – ...no, może trochę częściej niż zwykle? Może to by odstraszyło tego mężczyznę?

W oczach komisarza pojawił się wreszcie błysk zrozumienia.

– No sama nie wiem... – westchnęła Lola z bezbronnością dwumiesięcznego kociaka, którym każdy, ale to każdy by chciał natychmiast się zaopiekować.

– Tak... To jest bardzo dobry pomysł.

– Wspaniale, jest pan cudowny! – ucieszyła się Lola. – Wiedziałam, że pan coś wymyśli.

I popatrzyła na komendanta z uwielbieniem, co natychmiast zostało odnotowane. Pietrusiński napuszył się i ściągnął łopatki.

– Tak! A gdyby znowu ten drań się pojawił, to proszę od razu dzwonić do mnie!

– Do pana?

Ton głosu Loli pozbawił komendanta wszelkich złudzeń.

– Yyy... To znaczy do mnie na posterunek. Poinstruuje chłopców, żeby byli uczuleni.

– Będę pana wielką dłużniczką. – Wyjęła z torebki kilka płyt CD ze swoimi piosenkami. – Mogę panu zostawić na pamiątkę?

Nie spodziewała się odmownej odpowiedzi.

Rozdział 37

To, że zadeklarowałem się poczekać na zewnątrz, nie oznaczało wcale, iż zamierzałem wyjść z siedziby Bondek Security, zwłaszcza że w biurze pojawiła się Hanka i już od progu rzuciła, że się z Bondkiem rozwodzi. Stałem więc sobie w korytarzu i spokojnie słuchałem. Wiem, to nieładnie podsłuchiwać, zwłaszcza gdy mowa o sprawach tak intymnych, ale nie dalej jak wczoraj przekonałem się, że dzięki takiemu zachowaniu można również uratować komuś życie, dosłownie i w przenośni, więc porzuciłem konwenanse i nastawiłem uszy na odbiór.

Mój plan powiódł się znakomicie. Może dlatego, że nie był w zasadzie mój, tylko pani Józefiny, a ja go tylko wykonałem. Przebranie muzyka heavymetalowego wyciągnięte z szafy jednego z synów Ziuty i peruka będąca jej osobistą własnością (choć nie wyobrażam sobie, żeby kiedykolwiek miała okazję ją włożyć) zrobiły swoje. To, że nie rozpoznała mnie sekretarka, to jeszcze nic dziwnego, w końcu widziała mnie wcześniej tylko raz w życiu, ale że udało mi się w ten prosty sposób wyprowadzić w pole Miśka – to już był wyczyn pierwszej klasy.

Misiek wpuścił mnie przodem do swojego gabinetu i nawet nie zamknął drzwi. Najwyraźniej chciał mnie spławić jak najszybciej. Do tego nie mogłem dopuścić. Wróciłem do drzwi, zamknąłem je i zacząłem się zachowywać jak upierdliwy klient.

– Jestem tu z polecenia Loli Marini – oznajmiłem na wstępie.

– Tak? – Na Miśku nazwisko diwy nie zrobiło większego wrażenia. – Słucham.

– A mogę usiąść? – zapytałem i nie czekając na odpowiedź, klapnąłem na jeden z foteli.

Misiek, który widać pogodził się z myślą, że tak łatwo się mnie nie pozbędzie, opadł ciężko na swój fotel za biurkiem.

– Chatę buduję i alarm chciałbym założyć, razem z ochroną, monitoringiem i tymi wszystkimi pierdólkami, jakie tam macie.

– Nie ma problemu. Czy dom już stoi?

– Właśnie się buduje. Rzut beretem stąd.

– Świetnie, możemy umówić się na miejscu, dokonam wstępnej wyceny i jeśli pan ją zaakceptuje, przygotujemy projekt.

Postanowiłem nie męczyć przyjaciela dłużej.

– To nie będzie konieczne – oznajmiłem, a kiedy Misiek popatrzył na mnie zaskoczony, zdjąłem perukę i rzuciłem mu ją na biurko.

Żebyście widzieli jego minę! Poszedłem za ciosem. Włożyłem perukę z powrotem na głowę i uśmiechnąłem się głupio.

– Tak wtedy wyglądałem. Siedemnaście lat temu. Czy wierzysz teraz, że Lola mnie nie poznała?

Misiek gapił się na mnie jak na obraz świętej Wilgefortis albo inne dziwowisko z tryptyku *Sąd ostateczny* Boscha.

– Ona naprawdę była moją żoną, wszystko ci opowiem. Tylko mi uwierz.

Misiek westchnął głęboko i machnął ręką.

– I po co ta szopka. I tak bym ci uwierzył. Chodźmy. Jeśli tak dobrze ją znasz, to wiesz, jak się będzie pieklić, kiedy się spóźnimy.

Wyszliśmy z gabinetu, wpadając od razu na Hankę Bondek, która też oczywiście mnie nie poznała. Ale perspektywa, że Lola będzie się pieklić z powodu naszego spóźnienia, stawała się coraz bardziej realna.

Stojąc na korytarzu, przebrałem się szybko w moją normalną zieloną kurtkę, którą trzymałem w monterskiej torbie, i ledwo upchnąłem na jej miejsce o wiele większą kurtkę skórzaną oraz perukę, starając się nie uronić niczego z tego, co działo się obok. Nie dlatego, żeby jakoś specjalnie interesowało mnie pożycie erotyczne mojego pryncypała, ale opowieść Hanki Bondek i decyzja, jaką podjęła pod wpływem przekonania, że mąż ją zdradza z Lolą Marini, tak idealnie wpasowywały się w nasz plan, że lepszego zbiegu okoliczności nie można było sobie wyobrazić. Czyżby Ziuta miała rację? Teraz dla odmiany to nam zaczęło sprzyjać szczęście?

Wysłuchałem dialogu niemal do końca, po czym dyskretnie oddaliłem się w kierunku schodów, a tam już bez konspiracji zbiegłem na ganek, udając, że czekam tu na Miśka tak długo, iż zdążyłem już zamarznąć na kość.

Wsiedliśmy do samochodu o dziewiętej, a o tej porze powinniśmy już być u Loli.

– Spóźnimy się – zauważyłem, udając, że rozcieram skostniałe z zimna ręce.

– Już jesteśmy spóźnieni – sprecyzował Misiek. – Czyli nie musimy się spieszyć. I tak będzie awantura.

Roześmialiśmy się. Misiek jednak podejrzenie szybko odzyskał powagę.

– To co tak ważnego chciałeś mi wczoraj powiedzieć?

Przełknąłem ślinę. Już wiecie, że nie potrafię kłamać. Ale wiecie też, że Misiek jest osobą tak prostoduszną, że można mu wmówić praktycznie wszystko. On po prostu nie przyjmuje do wiadomości, że ludzie mogą kłamać. Nabrał się nawet na muzyka rockowego w moim wykonaniu, choć talentu aktorskiego nie mam za grosz. Nie chciałem go okłamywać, ale plan to plan. Ziuta powiedziała, że Misiek o niczym nie może wiedzieć, bo w prawdę nigdy nie uwierzy i przez swoją uczciwość więcej narobi szkody niż pożytku. Po prostu mam nabrać wody w usta i udawać, że gadałem po pijaku różne bzdury. Ale Misiek właśnie zadał pytanie, na które należało jednak jakoś odpowiedzieć.

– Nic ważnego – rzuciłem lekkim tonem. – Upiłem się trochę i zacząłem

wszystko widzieć w czarnych barwach.

– Ale co? – Misiek jednak drażył temat.

Ponownie przełknąłem ślinę, żeby zyskać na wiarygodności.

– Dowiedziałem się, że Lola ma romans z Bondkiem.

Misiek ze zrozumieniem pokiwał głową. Pobłogosławiłem w myślach dobre niebiosy, które tego ranka zesłały Hankę w objęcia Michała Horubały.

– Ona jest bezwzględna. Niszczy wszystko, co napotka na swojej drodze. Tandem Bondek–Lola to spychacz, który może cię przycisnąć do muru i zgnieść.

– Dramatyzujesz – zbagatelizował moje ostrzeżenia Misiek. – On nic nie może. Właścicielem firmy jest Hanka, nie on.

– Naprawdę? – chyba dość zgrabnie udałem zdumienie, bo Misiek roześmiał się protekcjonalnie.

– A do tego właśnie dziś postanowiła się z nim rozwieść. I skończy się prezesowanie – podsumował nie bez satysfakcji. – Bondek może sobie romansować z Lolą, ile chce, Hanka tylko łatwiej dostanie rozwód. Ale nikomu nic nie mów, to sekret – zreflektował się szybko.

– No jasne, to się rozumie samo przez się – przytaknąłem szybko, zadowolony, że temat Loli i Bondka tak szybko został wyczerpany.

Pod dom Loli zajechaliśmy o dziewiątej siedem i o tej porze bez problemu udało nam się zaparkować tuż przy samej willi. Misiek nacisnął guzik domofonu przy furtce, ale choć brzęczyk działał, nie zauważyliśmy żadnego odzewu. Oczekał chwilę i zadzwonił ponownie, a potem trzeci raz.

– Może śpi?

– Już by się obudziła.

– Chyba że balangowała wczoraj do późna.

– Możliwe – roześmiał się Misiek. – Hanka mówiła, że wczorajszą noc spędziła z Bondkiem.

– Jak ją znam, wyjechała z domu punktualnie o dziewiątej, by potem oskarżyć nas, że nie stawiliśmy się w miejscu pracy na czas, ona z tego tytułu została narażona na straty i w związku z tym należy jej się duży rabat. A w ogóle to powinna dostać ten alarm za darmo, bo to przecież reklama dla firmy. Nie każdemu trafia się taka gratka – ochrona samej Loli Marini.

Żadne z naszych gdybań się nie sprawdziły. O dziewiątej dziesięć pod dom podjechało różowe porsche. Lola otworzyła bramę pilotem i wjechała do garażu. Skorzystaliśmy z okazji i nie czekając na zaproszenie, weszliśmy na posesję. Lola dostała się do domu przez garaż, otworzyła drzwi od wewnątrz i bez słowa powitania czy wyjaśnienia wpuściła nas do środka.

– Panowie wiedzą, co mają robić, jak mniemam? – zapytała retorycznie i to była cała uwaga, jaką zdecydowała się nam poświęcić tego ranka.

Skończyliśmy pracę tuż przed pierwszą. Sprawdziliśmy jeszcze raz, czy

wszystkie czujki są dobrze podłączone, czy obraz z kamery domofonu jest prawidłowy, zaprogramowaliśmy komputer główny i połączyliśmy go z naszą bazą w centrali firmy. Pozostało tylko wprowadzić kod alarmu i uruchomić system. Do tego jednak potrzebna była Lola, a ta zamknęła się w swojej sypialni na górze i ani razu nie wyszła stamtąd do nas.

Zbieraliśmy się do wyjścia. Na wołania – „Pani Lolu! Już skończyliśmy!” – nie reagowała, dopiero jak Misiek zadzwonił do niej na komórkę, łaskawie się do nas pofatygowała. Dla własnego bezpieczeństwa powinienem właściwie wyjść, żeby nie narażać się na rozpoznanie, ale rozzuchwaliłem się trochę dzisiejszego ranka i postanowiłem zaryzykować. Miałem w tym swój cel – zależało mi, by poznać kod do alarmu, a przecież nie mogłem poprosić Miśka, żeby mi go podał, bo niby z jakiej przyczyny? Chciałem przyciąć się w holu, odwrócony tyłem, udając, że mam problem z zacinającym się suwakiem, i podejrzeć w lustrze, jakie cyfry będzie wciskała Lola na pulpicie. Obawiałem się mojej byłej, nie przewidziałem jednak, że kłopoty mogą nadejść również z innej strony.

– Przepraszam cię, stary, ale kod alarmu może być ustalany tylko przez właściciela. Musisz wyjść – oznajmił Misiek.

Popatrzyłem na niego z wyrzutem, ale nie podziałało.

– To nic osobistego, naprawdę. Takie mamy zasady w firmie, sorry.

Cóż było robić. Wyszedłem.

No to totalny klops. Cały nasz przemyślny plan opierał się na tym, że znamy kod do alarmu. A teraz co?

Żeby chociaż kamera w holu obejmowała panel alarmu. Ale gdzie tam, tego akurat nie widać. No koniec, po prostu koniec. Leżymy i kwiczymy. A na dodatek w domu Loli zostały kamerki, których teraz nie będzie jak usunąć i wcześniej czy później Lola je znajdzie. Jeżeli Misiek zachował się w ten sposób wobec mnie, nie poda tego kodu nawet własnej żonie. Zacząłem przeklinać tę jego uczciwość. Niech to szlag!

Rozdział 38

Agata Horubała, podobnie jak jej mąż, uważała się za osobę szczęśliwą. Nie próbowała nawet tego szczęścia definiować. Po prostu czuła się dobrze w życiu z tym, co miała, a przyszłość budziła w niej tylko pozytywne emocje. Poczucie bezpieczeństwa zupełnie jej wystarczało, choć może nie do końca uświadamiała sobie, z czego wynikało – że żyła wśród ludzi, którym ufała. Agata nie lubiła zmian, a jej mąż, szczęśliwym trafem, miał do życia podobne podejście. Wydawał się w stu procentach przewidywalny, zawsze można było na nim polegać, w związku z tym gwarantował jej stabilność, na której szczególnie jej zależało. Naprawdę, to wspaniałe uczucie – żyć u boku kogoś takiego.

Oczywiście Misiek nie był bez wad, ale one, co zdarza się w przyrodzie bardzo rzadko, wynikały z jego zalet. Jako człowiek absolutnie uczciwy oceniał ludzi swoją miarą, w związku z tym często popełniał błędy. Agata o tym wiedziała, dlatego też jej zaufanie do męża było wprawdzie wielkie, ale nie bezwarunkowe. Na szczęście wszystko znajdowało się pod kontrolą, ponieważ mąż nie miał przed nią żadnych tajemnic. Dzięki temu mógł żyć w swoim idealnym świecie, bez świadomości, że ten świat dlatego jest tak idealny, ponieważ ktoś inny trzyma nad wszystkim pieczę i w odpowiednim czasie pociąga za właściwe sznurki.

Była jeszcze jedna osoba, której Agata ufała bezgranicznie – siostra jej matki, ciocia Józefina. Matka zmarła na raka, kiedy Agata miała zaledwie dziewiętnaście lat. Kilka lat później, gdy była jeszcze na studiach, ojciec poznał nową kobietę i wyprowadził się do Poznania, zostawiając córcie mieszkanie na Kaliskiej. Od tej pory ciocia Ziuta stała się najbliższą jej osobą, wyrocznią, która znała odpowiedzi na wszystkie pytania. To jej przedstawiała wszystkich swoich narzeczonych, to ona radziła, że trzeba zmienić pracę, kiedy szef jest tyranem, bo nie warto się szarpać i tracić zdrowia. I to właściwie dzięki cioci Ziucie Agata poznała Miśka. Miała pewne podejrzenia, że umówienie wizyty młodego elektronika do naprawy telewizora akurat w czasie, kiedy ona zwykle przychodziła do cioci na obiad, nie było przypadkowe, ale nawet jeśli początkowo czuła się trochę zmanipulowana, szybko wybaczyła Józefinie tę podstępną randkę w ciemno. Ciocia widać znała się na ludziach jak mało kto, bo Misiek i Agata od razu wpadli sobie w oko i szybko stanęli na ślubnym kobiercu. Dopiero gdy byli już kilka lat po ślubie, po wypiciu paru kieliszków wiśniówki ciocia przyznała się do manipulacji i opowiedziała, jak do tego doszło.

Agata miała dziwne przeczucie, że dzisiejsza wizyta cioci będzie jakaś szczególna. Józefina zaglądała do niej dość często, a w ostatnim czasie, gdy siostrzenica była w zaawansowanej ciąży, nawet kilka razy w tygodniu. Agata też wpadała do ciotki przy lada okazji, choćby tylko po to, żeby zapytać, jak się czuje,

albo wymienić się refleksjami na temat ulubionego serialu telewizyjnego. Ale zawsze odbywało się to na zasadzie „przechodziłam, więc jestem”. Tym razem jednak Józefina zadzwoniła wcześniej i umówiła się na spotkanie. Jakby nie mogła po prostu zapukać i wejść.

Przezcucia Agaty sprawdziły się, gdy tylko ciocia przekroczyła próg jej mieszkania.

– Wpadliście w niezłe kłopoty, moje dziecko – oznajmiła, ledwo tylko odwiesiła swój płaszcz. Weszła do kuchni, odstawiła krzesło od stołu i klapnęła na nie z rozmachem. – Lepiej od razu usiądź. – Przywołała zdezorietowaną Agatę ręką i wskazała jej krzesło naprzeciwko siebie.

Agata posłusznie usiadła, nie spuszczając z cioci Ziuty zaniepokojonego wzroku.

– Nic się nie martw, wszystko będzie dobrze.

– Ale czym mam się nie martwić?

– Wiesz o tym, że wspólnik twojego męża to krętacz i złodziej?

– To nie jest w zasadzie Miśka wspólnik...

– Ale że krętacz i złodziej to wiesz?

– Że krętacz wiem. Chciał Miśka wrobić w niepotrzebny kredyt. I w ogóle jest śliski... Ale że złodziej? – zawahała się Agata.

– To teraz już wiesz.

– A... coś bliższego?

– Nie na tym etapie – ucięła Ziuta. – Musisz na razie wiedzieć tyle, że ten krętacz i złodziej znowu kombinuje, żeby Miśka wykiwać, a do tego wrobić w grubą aferę. Wiem z pewnego źródła. Ale my mu na to nie pozwolimy.

Gdyby zaufanie Agaty do ciotki nie było bezgraniczne, zażądałaby w tym miejscu wszystkich informacji, gdyby zaś ich nie otrzymała, zakończyłaby rozmowę. Agata wiedziała jednak, że ciotka Ziuta jak mało kto zna się na ludziach, a jeśli jeszcze ma wiadomości z pewnego źródła... Zapytała więc tylko bez wchodzenia w szczegóły:

– Powiesimy gościa za jaja na żyrandolu?

– Tak jest! – przytaknęła ciotka z radością.

– Jak?

Ciotka Józefina, na tyle, na ile uznała to za wskazane, wtajemniczyła Agatę w zamiary przejęcia udziałów Miśka w firmie przez Bondka. O tym, że najważniejszemu zainteresowanemu nie wolno o tym powiedzieć, nie musiała dodawać. Agata doskonale wiedziała, że mąż w swojej prostoduszności i tak by we wrocie knowania kolegi nie uwierzył.

– Ale co my w tej sytuacji możemy zrobić? – zatroskała się Agata.

– Ty w ogóle niczym nie musisz się przejmować. Masz urodzić dziecko i tyle.

Zabrzmiało to niewinnie, ale Agata za dobrze znała własną ciotkę.

– Na pewno jest w tym jakiś haczyk – roześmiała się i pogroziła jej palcem.

– Drobny. Na kiedy masz termin?

– Za trzy dni.

– Nikt nie jest doskonały – westchnęła Józefina.

Rozdział 39

Stałem pod drzwiami Loli Marini, wyrzucony na bruk przez Miśka, i zaczynałem pograżać się w czarnej rozpacz. Tyle roboty! Taki genialny plan i wszystko na nic! Jeszcze chwila i zupełnie bym się załamał, ale niespodziewanie tuż zza drzwi dobiegł mnie podniesiony głos Loli:

– No, niech pan nie żartuje. A komu mam zaufać, jeśli nie panu? Przecież to pan będzie mnie chronił.

– Ten kod może pani w każdej chwili zmienić. Proszę zobaczyć, bardzo łatwo się to robi. – Głos Miśka był zdecydowanie cichszy.

– Nie mam teraz czasu. Niech mi pan wyśle instrukcję mailem. Do widzenia.

Chwilę potem Misiek wyszedł od Loli nabuzowany jak zając na widok niedźwiedzia, ale na wybuch pozwolił sobie dopiero, jak wsiedliśmy do samochodu.

– Kretynka!

Nie zaprzeczyłem, choć wcale nie byłem o tym przekonany.

– Czy wiesz, ilu moich klientów na kod alarmu wybiera swoją datę urodzenia?

Data urodzenia! Oczywiście, że pamiętałem datę urodzenia mojej byłej żony. Pierwszy maja. Święto Pracy. Świętowaliśmy jej urodziny, urywając się z pochodu. O mało nas ze szkoły nie wyrzucili, bo dyrektor był partyjną szują. Ale nie dałem po sobie poznać, jak cenna to dla mnie wiadomość, i tylko wzruszyłem ramionami.

– Co trzeci?

– Ośmiu z dziesięciu.

– Kretyni.

– Żebyś wiedział. Po co te wszystkie zabezpieczenia, kiedy taki kod można złamać w dziecinny sposób? I ten sam PIN do komórki, komputera, karty kredytowej! Każdy mówi, że tak, zaraz zmieni kod, i nikt nigdy nie zmienia.

– Niektórzy zmieniają.

– Tak? A kiedy ostatnio zmieniłeś hasło do skrzynki e-mailowej?

– Nigdy – roześmiałem się. – No, stary, z taką wiedzą mógłbyś łatwo zgarnąć kilka milionów.

Misiek nie podchwycił dowcipu, tylko zapuścił silnik.

– Jadę do domu na obiad. A ty?

– Ja nie mam domu, do którego mógłbym jechać na obiad – westchnąłem.

– Pytam, czy wpadniesz do nas.

– Lepiej nie narażaj się Agacie – odparłem bez złośliwości. – Wystarczy, że mnie wyrzucisz na placu Narutowicza.

Michał skinął głową i wyjechał na Grójecką.

- Co mamy do roboty po południu, szefie?
- Wymiana słuchawki do domofonu. Sam to zrobię. Ty masz wolne.
- Dzięki! Pierwszy raz mam szefa, który odwala za mnie robotę.
- Ty się tak nie ciesz. Jak Agata urodzi, to role się odwrócą.
- Tak jest, szefie.

Już się nie mogłem doczekać, kiedy wysiądę z samochodu i będę mógł zadzwonić do Ziuty. Wyszarpnąłem słuchawkę z kieszeni, zanim jeszcze Misiek zdążył odjechać.

- Melduję wykonanie zadania.
- Synku, ty mi tu nie walcz o Srebrne Usta, tylko nadawaj po kolei.
- Mam dwie wiadomości...
- Dawaj najpierw złą.
- Kiedy obie dobre.
- Zabiję.
- Właściwie to nawet trzy wiadomości.

Ciężkie sapnięcie w słuchawce zmusiło mnie do przyspieszenia narracji.

- Po pierwsze, znam kod do alarmu – oświadczyłem z dumą.
- No przecież to miało być najłatwiejsze – zgasła mnie Józefina.
- Ale nie było. Opowiem później. Po drugie, Misiek mnie nie poznał.
- Nooo! – W głosie Józefiny dało się słyszeć uznanie. – Nie był ciekaw, co

knują Lola i Bondek?

- Nie. Bo dowiedział się z innego źródła.

Po drugiej stronie zapadła głęboka cisza.

- Halo? – upewniłem się, czy połączenie nie zostało zerwane.

- Pokroję cię na kawałki i jeszcze posolę.

– Nie, nic nie wyciekło. Wszystko pod kontrolą. On jest przekonany, że Bondek i Lola mają romans.

- A skąd on niby nabrał takiego przekonania?

– Dziś rano powiedziała mu o tym Hanka Bondek. I jeszcze o tym, że wnosi o rozwód.

Zamiast triumfalnych fanfar usłyszałem w słuchawce głęboki wydech.

- I dopiero teraz mi o tym mówisz? Jak właśnie wyszłam od Agaty!

- No... a to takie ważne?

- Oczywiście nie masz na nią zamiarów?

- No nie, skąd? Ale Misiek na pewno ma. I sekretarka.

- Boże, z kim ja pracuję.

- I pewnie Agata.

- Dzięki uprzejme za odpowiedź – zgasła mnie Józefina.

- I co teraz?

- A jaki jest punkt siódmy?

- Zakupy.
- To na co jeszcze czekasz?!

Rozdział 40

Lola Marini nie miała nigdy własnej skrytki bankowej, bo nie czuła takiej potrzeby. Owszem, posiadała wiele cennych drobiazgów, głównie biżuterii, ale nie dlatego, żeby ją trzymać nie wiadomo gdzie, z dala od ludzkich oczu, tylko po to, aby ją eksponować na co dzień na swoim kształtnym ciele. We własnym domu czuła się całkiem bezpiecznie, bo były w nim liczne zabezpieczenia przed włamywaczami, nie tylko alarm i ochrona.

Dzisiaj po raz pierwszy w życiu miała odwiedzić sejf bankowy, aby wyjąć ze skrytki swojego kochanka brylantowe szpilki, w których chciała wystąpić na wieczornej gali. Dostała kartę magnetyczną do zamka, numer skrytki i zapewnienie, że jej nazwisko będzie na liście osób upoważnionych do wejścia.

Tym razem ubrała się zupełnie zwyczajnie, aż sama się zdziwiła, że znalazła w ogóle takie rzeczy w swojej przepastnej garderobie. Włożyła zwykle niebieskie dzinsy, sweter i starą, za dużą kurtkę w zielonkawym kolorze, której nie wyrzuciła chyba tylko przez zapomnienie, bo na sentymenty sobie nie pozwalała. Związała włosy w warkocz, założyła czapkę, ciemne okulary i spojrzała w lustro. Zupełnie nie wyglądała jak Lola Marini i właśnie o to chodziło.

Lola wyobrażała sobie, że skrytka bankowa będzie się mieścić w jakimś pięknym przedwojennym banku w Śródmieściu, takim z mosiężnymi poręczami i czerwonymi dywanami na schodach, a do skarbcza w zabytkowych podziemiach będzie się zjeżdżało otwieraną ręcznie windą z portierem, zupełnie jak na filmach. Henryk wprawdzie uprzedził ją, żeby nie spodziewała się niczego szczególnego, bo dzisiaj w Warszawie łatwiej jest wynająć rolls-royce'a niż skrytkę bankową i tę dostał tylko w drodze szczególnej uprzejmości, ale nie przypuszczała, że „nic szczególnego” będzie wyglądało aż tak.

Zamówiła taksówkę, dzwoniąc pod jeden z kilku prywatnych numerów. Miała paru zaufanych kierowców. Nie korzystała z usług korporacji, żeby nie odstawić wciąż tej samej gadki szmatki. „O, pani Lola Marini. To naprawdę pani? A czy to prawda, że kąpie się pani w oślim mleku dla urody?” „Tak i biczuję się pręciami osłów, takich jak pan, dla zdrowia” – odpowiadała zwykle i dyskusja się urywała. Tych kilku taksówkarzy wybrała dlatego, że byli małomówni. Wielka zaleta w tym zawodzie.

Podawała kierowcy adres: ulica Wikipedii 23. Sprawdziła na mapie, że to daleko, ale nie przypuszczała, że to aż takie zadupie. Zatrzymali się przed wybudowanym chyba całkiem niedawno apartamentowcem, na którego parterze znajdował się niszowy bank. Ani chybi to musiało być tu.

Lola kazała taksówkarzowi poczekać i weszła do banku, który wyglądał tak przeciętnie, jak tylko może wyglądać filia niszowego banku na kompletnym

zadupiu: dwie panie kasjerki, dwa biurka, jeden ochroniarz, bankomat.

Nie dowierzając własnym oczom, Lola oświadczyła, że chciałaby skorzystać ze skrytki bankowej. Z zaplecza wyszła kobieta, chyba wyższa rangą kasjerka albo nawet kierowniczką oddziału, obejrzała dokument tożsamości i sprawdziła ze swoją listą. Ponieważ wszystko się zgadzało, zaprosiła Lolę na zaplecze, a stamtąd poprowadziła do pomieszczenia bez okien na poziomie piwnicy, które zostało oddzielone od reszty banku podwójnymi stalowymi drzwiami i dodatkową kratą. To już wyglądało solidniej, chociaż podłoga – pokryta farbą do betonu, jakiej używa się w garażach podziemnych – zdawała się raczej oszczędnościowa. Wszystkie ściany pomieszczenia zastawione były od podłogi do sufitu zamykanymi skrzynkami, ładując przypominającymi te, które wystawiane są na pocztach, choć zapewne zostały wykonane z solidniejszego materiału. Lola podała numer, a kobieta odkodowała skrytkę swoją kartą magnetyczną, poinformowała, że teraz dopiero można w ten sam sposób otworzyć kasetkę własną kartą i tak samo zamknąć, po czym opuściła pomieszczenie.

Lola przytknęła kartę do skrytki i drzwiczki puściły. Wyjęła tekturowe pudełko w złotym kolorze z egzotycznymi wzorami dekoracyjnymi. W środku były brylantowe szpilki. Od teraz już naprawdę jej szpilki.

Z trudem powstrzymała się przed natychmiastowym włożeniem butów na nogi. To było kuszące, ale głupie. Jeszcze tego wieczoru zdąży się nimi pochwalić. Ostatni raz.

Zamknęła skrytkę i włożyła pudełko z butami do zabranej specjalnie na tę okazję reklamówki z Baty, żalując trochę, że tym dowcipem nie będzie się mogła z nikim podzielić. Wcisnęła guzik uwalniający mechanizm otwierania drzwi i powtórzyła tę czynność jeszcze dwa razy. Bez trudu dotarła na górę, gdzie skinęła tylko kierowniczkę banku głową na pożegnanie, wsiadła do taksówki, która czekała na nią na zewnątrz, i wróciła do domu.

Kreację na dzisiejszy wieczór miała już przygotowaną dwa tygodnie wcześniej. Kupiła ją w Las Vegas, w niewielkim butik modnego amerykańskiego projektanta, którego nazwisko w Europie nic nikomu nie mówiło. Dzięki temu i dzięki zaporowej cenie sukienki, za którą na szczęście zapłacił Henryk, miała gwarancję, że nikt na dzisiejszej gali nie wystąpi w takiej samej. Chociaż doświadczenie mówiło jej, że gwarancją jest raczej bająńska suma niż nazwisko projektanta. Kiedyś popełniła błąd, poskąpiła i w jednym z outletów w okolicach Hollywood kupiła po okazyjnej cenie sukienkę marki, której również nie można było dostać w Europie. I co z tego, że w Hollywood? Na pewnym bankiecie w takiej samej kreacji pojawiła się szefowa jakiejś instytucji, która rozdziela pieniądze na polskie filmy. Babka również często podróżowała w tamtą stronę i też, najwyraźniej, lubiła okazyjne zakupy. Skąpstwo lubi się mścić. Lola musiała zwać z imprezy, zanim ktokolwiek zauważył wpadkę. Nawet nie zdążyła wypić

pierwszego kieliszka szampana. Tamta kobieta, w końcu tylko urzędniczka, mogła sobie pozwolić na wystąpienie w takiej samej kreacji jak gwiazda, nawet byłoby to dla niej nobilitacją, ale Lola nie powinna sięgnąć poziomu budżetówki. Dziennikarze naśmiewaliby się z niej przez tydzień.

Swoją drogą, ci politycy mogliby już nie przesadzać z tymi parytetami. Gdyby szefem takiej instytucji był normalny facet w garniturze, nie byłoby podobnych problemów. I jeszcze może pieniądze na jakiś film można by sobie wykukać. Lola od dawna czuła ciągoty również do tej dziedziny sztuki, ale jak dotychczas nie trafiła na odpowiedniego sponsora.

Co do jednego Lola miała jednak dzisiaj stuprocentową gwarancję: nikt nie wystąpi na tej gali w takich samych butach jak ona. I nikt tak jak ona nie będzie ubezpieczony na sześć milionów złotych.

Rozdział 41

Wręczenie jednych z najważniejszych nagród polskiego przemysłu telewizyjnego miało się w tym roku odbyć w Muzeum Historii Żydów Polskich Polin, co oznaczało, że wydarzenie to spadło do rangi uroczystości drugiej kategorii. To nic, że było to teraz jedno z najmodniejszych miejsc w stolicy. Samo muzeum – w porządku, nawet ciekawe, niedawno z wielką pompą otworzone, awangardowa architektura nagradzana na światowych konkursach. Ale sama sala widowiskowa – zupełnie przeciętna, prowincjonalne kino kategorii B. Kiedyś takie imprezy odbywały się w Operze Narodowej i to było coś! Marmury, złożone zabytkowe meble, kryształowe żyrandole... Oprawa godna gwiazd. No, nawet Sala Kongresowa po remoncie stawała jeszcze na wysokości zadania. Ale tutaj? Kryzys widać dopadł wszystkich i zamiana miejsca prestiżowego na modne była tylko tego dowodem.

Lola Marini stała na czerwonym dywanie w opinającej ciało sukience mini, czarnej, z delikatnymi wstawkami ze srebrnego tiulu na ramionach i w pasie, czyli w miejscach, w których nie odsłaniał zbyt wiele z tego, co należałoby ukryć. Nie zamierzała dziś epatować ani stringami, ani niemogącym się zmieścić w zbyt małym staniku biustem. Dzisiaj miała okazję pochwalić się czymś naprawdę szczególnym. Z tego też powodu, żeby zastosować efekt skali, oprócz szpilek nie miała na sobie żadnej innej biżuterii. Prostota i skromność. Pomijając oczywiście nieistotny drobiazg, czyli buty za sześć milionów złotych.

Stała przed planszą z logo sponsorów, wśród których na pierwszy plan wybijała się nazwa firmy Henryka Miki, i w blasku fleszy uśmiechała się promiennie do fotoreporterów, eksponując przede wszystkim długie nogi. Trochę żałowała, że Henryka nie było tu dzisiaj razem z nią, ale cóż, ktoś musi zarabiać, by wydawać mógł ktoś. Nawet i bez jednego z najbogatszych mężczyzn w tym kraju przy boku to ona będzie największą gwiazdą tego wieczoru. Dużo trudu włożyła w to, żeby wszyscy dowiedzieli się o tak kosztownym prezencie otrzymanym od zakochanego milionera i snuli spekulacje, jak wiele ich łączy. Plotki o rychłym małżeństwie, umiejętnie podsycane, i bez samego Henryka huczały dookoła. Tylko Lola wiedziała, jak niewiele w nich prawdy, i bardzo ją to martwiło. Włożyła przecież w niego tyle pracy, była słodka jak miód i usuwała nawet najdrobniejszy pyłek z jego drogi, a on nawet się nie zająknął o małżeństwie, chociaż zdążyły już o tym napisać wszystkie gazety. Nawet „Wyborcza” w dziale Gospodarka, z nagłówkiem „Fuzja rozumu z urodą?”. I co z tego, że we wszystkich wywiadach nie unikał nazywania jej swoją narzeczoną, nie określał enigmatycznie przyjaciółką albo – zgodnie z modnym duchem gender – partnerką, skoro w prywatnych rozmowach słowo „ślub” nigdy nie przeszło mu przez gardło. Na co

on jeszcze, do cholery, czekał?

Dobrze chociaż, że załatwił jej tę nagrodę. Osobowość Telewizyjna Roku – trochę go to kosztowało. Oczywiście oficjalnie na razie była tylko w gronie czterech nominowanych, ale nie bez kozery logo firmy Henryka wyłaniało się, skąd tylko się dało. Wyłożył na tę imprezę tyle, że niczego nie mogli mu odmówić.

Lola nie musiała pokazywać zaproszenia, żeby wejść do sektora „Zarezerwowane”. Bez trudu odnalazła na jednym z siedzeń w pierwszym rzędzie widowni, tuż obok schodków prowadzących na scenę, kartkę ze swoim nazwiskiem. Usiadła i rozejrzała się po sali. Dziennikarka telewizyjna, która uzyskała nominację w tej samej kategorii, siedziała dwa rzędy wyżej, pośrodku widowni. Jej dwóm pozostałym konkurentom – aktorowi z popularnego serialu i lekarzowi, który dokonał przełomowej operacji naprawy rdzenia kręgowego i w związku z tym przez ostatnie miesiące udzielał się w każdej możliwej stacji na okrągło – wyznaczono miejsca jeszcze dalej. Czyli wszystko przebiegało zgodnie z planem. Impreza miała być nadawana w telewizji na żywo, więc musiała przebiegać bez zakłóceń.

Lola brała udział w takich widowiskach na tyle często i tyle razy dostawała nie tylko nominacje, lecz także nagrody, aby wiedzieć, że te wszystkie ochy na scenie – „Och, jaka jestem zaskoczona”, „Och, to niemożliwe” – te wzruszenia i łzy radości były wyreżyserowane. Ci, którzy zwyciężają, zawsze wiedzą o tym wcześniej. Przecież organizatorzy nie mogą sobie pozwolić na wpadkę, żeby była jakaś dziura na antenie, bo najważniejszy laureat nie dotarł. Dla ułatwienia sadzają też wszystkich jak najbliżej sceny. Dlatego Lola rozsiadła się zadowolona na swoim miejscu w pierwszym rzędzie i popatrzyła z lekceważeniem na swoich konkurentów, którzy zapewne mieli jeszcze nadzieję. Następnie z uwagą zlustrowała swoje najbliższe otoczenie, ponieważ były to najpewniej osoby, które przez następne dni będą pławić się w blasku sławy, a z takimi ludźmi zawsze warto trzymać. Rozdała kilka uprzejmych uśmiechów i skinień głowy, pomachała łaskawie do paru osób w dalszych rzędach, przywitała się wylewnie z piosenkarką przechodzącą na drugi koniec rzędu, całując ją w oba policzki i z premedytacją zostawiając na nich ślad szminki. Ciekawe, czy ktoś jej zwróci uwagę? Znajac to środowisko – raczej nie.

Dwa miejsca obok niej wciąż były puste. Lola zerknęła na przyklejone do oparcia kartki z dobrze jej znanymi nazwiskami. Światła na sali już zaczęły powoli gasnąć, kiedy na miejscu po jej lewej stronie zasiadł zdyszany jeden z najbardziej znanych dziennikarzy w kraju. Zajmował się wprawdzie prawie wyłącznie tematami politycznymi, więc z punktu widzenia Loli nie było z niego większego pożytku, ale przyszedł razem z żoną, również dziennikarką telewizyjną, w działalności zawodowej preferującą dla odmiany lżejsze, babskie tematy. Znajomość z nią mogła bardziej się przydać. Zostali posadzeni w pierwszym

rzędzie, więc na pewno któreś z nich dostało nagrodę.

Lola nie śledziła w tegorocznym konkursie innych kategorii oprócz własnej, ale znała zasady show-biznesu na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że nie może się mylić. Istniało wprawdzie niebezpieczeństwo, że zasiedli w tym miejscu, bo należą do wąskiego grona osób, które na widowiska zawsze patrzą z bliska, ale było to mało prawdopodobne. Oni co roku dostawali na zmianę jakieś nagrody. Jak się już raz wpadnie w zamknięty obieg, trzeba być naprawdę głupcem, żeby z niego wypaść.

Zanim światła zupełnie zgasły, Lola zanotowała w pamięci, że koniecznie musi się szczerze ucieszyć z wyróżnienia sąsiadów, niezależnie od tego, które z nich je dostanie, i nie zapomnieć o spontanicznych gratulacjach.

Orkiestra tusz! Przedstawienie się zaczyna.

Rozdział 42

Jakub Bondek zwykle wracał z pracy koło wpół do piątej i wtedy wszyscy razem zasiadali do rodzinnego obiadu. Dlatego kiedy dzisiaj pojawił się w domu już o trzeciej, Hanka trochę się zaniepokoiła. Czyżby Misiek albo Viola donieśli mu o jej decyzji? Potrzebowała czasu, nie miała jeszcze w ręku twardych dowodów, chciała nakryć męża *in flagranti*. Gdyby się dowiedział, co Hanka knuje, na pewno zacząłby się pilnować i cały jej plan wzięłby w łeb. Ale nie, to niemożliwe. Misiek świadomie nigdy by jej nie zdradził. Mógł się oczywiście wygadać niechcący albo też, gdyby Bondek przyparł go do muru i spytał na przykład, czy to prawda, to wtedy Misiek nie potrafiłby skłamać, ale dzisiaj chyba w ogóle się nie widzieli. Viola zaś sprawiała wrażenie tak przygnębionej rewelacjami, które usłyszała od Hanki, że raczej nie przyszedłoby jej do głowy, by donosić szefowi o planach żony.

Bondek snuł się po domu jak smród po gaciach, jakby w ogóle nie potrafił sobie w nim znaleźć miejsca. Odłożył po dwóch minutach czytaną gazetę, zagotował wody na herbatę, włożył torebkę do kubka i zapomniał zalać wodą, bo usiadł przy laptopie, który też zamknął po pięciu minutach. Spojrzał na zegarek, wstał i zaczął krążyć po pokoju, po czym usiadł przy stole kuchennym i znowu spojrzał na zegarek.

Hanka obserwowała go ze zdumieniem. Znała męża na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że takie zachowanie jest dowodem jego dużego zdenerwowania, nie bardzo jednak potrafiła domyślić się przyczyny.

– Spieszysz się gdzieś? – zagała.

– Nie, skąd – zaprzeczył, znowu zerkając na zegarek.

– Na obiad będą schabowe.

– Co?

– Na obiad będą schabowe – powtórzyła Hanka dobitniej. – Domowe.

Z kapustą.

– Aaa, to fajnie – odparł Jakub bez entuzjazmu, choć było to jego ulubione danie, jedno z niewielu, które Hance wychodziły świetnie, bo tak na co dzień domową kuchnią raczej go nie rozpieszczała, preferując gotowe pierogi ze sklepu i mrożonki.

– Ale dopiero za godzinę. Wróciłeś wcześniej.

– Wcześniej? – zdziwił się Bondek i po raz kolejny spojrzał na zegarek. –

Aaa, rzeczywiście, tak.

– Dobrze się czujesz?

– Jasne! – potwierdził zanadto skwapliwie. – Doskonale.

Wyraźnie coś z nim było nie tak. Hanka nie zamierzała jednak szukać

przyczyny, bo wcześniejszy powrót męża do domu otworzył przed nią nowe możliwości. Zamierzała zacząć realizować swój plan późną nocą, kiedy Bondek zaśnie kamiennym snem przy jej drobnej pomocy. Ale dlaczego w takim razie nie zacząć działać już teraz?

– Jesteś przemęczony. Tyle pracujesz i pracujesz. – Jej troska zabrzmiała nawet szczerze. – Wczoraj siedziałeś w pracy prawie przez całą noc. Może byś tak wyszedł się przewietrzyć i przy okazji odebrał dzieci z przedszkola?

– Dzieci? – zdziwił się Bondek, jakby dopiero teraz sobie przypomniał, że jakieś ma.

– Tak. Dzieci. A potem możesz z nimi iść na ten duży plac zabaw w naszym parku. One uwielbiają to miejsce. Tam obok jest też siłownia dla dorosłych, pod gołym niebem. Też mógłbyś skorzystać, żeby spalić trochę kalorii przed obiadem. Coś trzeba robić.

– Coś trzeba robić – powtórzył Jakub Bondek, spoglądając już po raz nie wiadomo który na zegarek. – To dobry pomysł, tak! – ucieszył się, wstał szybko i ruszył w kierunku wyjścia.

– W tym garniturze masz zamiar się gimnastykować?

Jakub zawrócił.

– No, raczej nie...

– To się przebierz. I zostaw od razu kluczyki do mercedesa, żeby cię nie kusiło – roześmiała się.

– Oj tam – oburzył się Jakub. – Nawet o tym nie pomyślałem.

Gdy tylko wyszedł, Hanka przetrząsnęła wszystkie kieszenie jego garnituru. Poszło nadspodziewanie łatwo. Są! W spodniach znalazła komplet nieznanym jej czterech kluczy. To musiały być klucze do domu Loli.

Hanka szybko narzuciła płaszcz, zamknęła mieszkanie tylko na jeden zamek i nie włączając alarmu, wybiegła z domu. Buty zawiązała w windzie, czapkę i szalik założyła po drodze. Wprawdzie jej mężowi wyprawa z dziećmi powinna zająć przynajmniej godzinę, ale lepiej było nie tracić czasu, w końcu musiała jeszcze zrobić obiecane schabowe.

Pobiegła na piechotę. Nie opłacało się wystawiać samochodu z garażu. Hala Banacha, centrum handlowe mieszczące się w ogromnych blaszanych pawilonach, w których czas zatrzymał się w latach dziewięćdziesiątych, znajdowała się dwie przecznice dalej. Punkt dorabiania kluczy mieścił się w części spożywczej i był jeszcze otwarty.

Gdy zdyszana Hanka podała pęk kluczy mężczyźnie stojącemu za ladą, ten popatrzył na nią uważnie.

– To są bardzo skomplikowane klucze. Wie pani o tym – bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Nie – odpowiedziała Hanka szczerze.

– I w związku z tym można je dorobić tylko wtedy, jeśli się ma specjalną kartę z kodem.

– Ooo – zmartwiła się Hanka. – Jaka szkoda.

Mężczyzna popatrzył na nią jak na blondynkę.

– Mąż mi nic nie powiedział – dodała Hanka tytułem usprawiedliwienia. – To nie ja te zamki zakładałam i nie muszę wiedzieć takich rzeczy – odpowiedziała hardo. – Teraz niech sam sobie chodzi i dorabia.

Spojrzenie mężczyzny trochę złagodniało.

– Ten jeden mogę pani dorobić – wyłuskał z pęku najmniejszy klucz – jeśli to panią urządza. To zwykły yale.

– Poproszę – odparła Hanka zrezygnowana.

Rozdział 43

Czas naglił, a Agata nie odbierała telefonu. W innej sytuacji Józefina pewnie by się o swoją siostrzenicę zaniepokoiła – w końcu lada dzień miała rodzić – ale wiedziała, że Agata grucha sobie właśnie ze swoim Miśkiem i podaje mu obiadek, a komórkę pewnie znowu zostawiła w kieszeni kurtki i po prostu nie słyszy sygnału. Tyle że dziś niepokoiła się nie o Agatę, ale o sprawę.

Nie było rady. Choć dotarła już prawie pod swój dom na Uniwersyteckiej, zawróciła na Kaliską, obchodząc tym razem plac Narutowicza od strony akademika. Bardzo nie lubiła tej trasy, bo żeby się dostać na drugą stronę Grójeckiej, trzeba było pokonać chyba najbardziej niebezpieczne przejście dla pieszych w Warszawie. Mieściło się ono tuż za zakrętem, na rondzie, więc ani piesi, ani kierowcy nie widzieli siebie nawzajem, a brak świateł nie pomagał zwłaszcza tym pierwszym. Józefinie już kilka razy zdarzyło się niemal wpaść pod koła jakiegoś wariata, który w ostatniej chwili hamował z piskiem opon, gdy się zorientował, że znajduje się na przejściu dla pieszych. Tym razem jednak nie było czasu, żeby iść naokoło.

Józefinie udało się szczęśliwie przejść przez pasy, potem w zupełnie nieprzepisowym miejscu przeskoczyć przez tory tramwajowe, aż w końcu, konsekwentnie łamiąc przepisy, przedostać się na drugą stronę ulicy Grójeckiej. Po drodze przez cały czas wybierała w telefonie numer Agaty i właśnie gdy dotarła pod jej klatkę, w słuchawce odezwał się głos:

– Ciociu? Przepraszam, nie słyszałam dzwonka.

Józefina zatrzymała się, żeby złapać oddech.

– Potrzebuję telefonu do Hanki Bondek – oświadczyła, nie tracąc czasu na wyrzuty. – Masz?

– Ja nie, ale Misiek na pewno.

– Możesz ten numer zdobyć dyskretnie i przesłać mi esemesem?

– Pewnie, daj mi trochę czasu.

– Wiesz, gdzie oni mieszkają?

W słuchawce najpierw zapadła cisza, potem dało się słyszeć szuranie i trzask zamykanych drzwi.

– Agata, jesteś tam?

– Jestem – odparła konspiracyjnym szeptem. – Tylko musiałam schować się w łazience.

– Zuch – pochwaliła Ziuta.

– Mieszkają na Pawińskiego, niedaleko kościoła na Dickensa.

– Prześlij mi ten numer i uprzedź ją, że zadzwonię, bo muszę się z nią pilnie spotkać. Pilnie!

– Się robi.

– *Over* – powiedziała Józefina i się rozłączyła.

Zamiast wracać do swojego mieszkania na Uniwersytecką, Ziuta ruszyła w przeciwnym kierunku. Nie miała pewności, czy Hanka Bondek będzie akurat w domu, ale zaryzykowała. Na rogu Wawelskiej wsiadła w tramwaj numer dziewięć, który jechał na Okęcie. Wagon był zatłoczony, ale jakiś długowłose młodzienczek ustąpił jej miejsca, z czego skwapliwie skorzystała. Usiadła, wyjęła z kieszeni komórkę i zaczęła z uporem się w nią wpatrywać, jakby to mogło przyspieszyć nadejście esemesa. Tramwaj zatrzymał się przed Och-Teatrem, kiedy na wyświetlaczu pojawił się wreszcie numer z lakoniczną informacją: „Wie, że ma Ci ufać, jest w Hali Banacha”. Dobrze – ucieszyła się – to bliżej niż Dickensa, będzie można zyskać trochę na czasie.

Ziuta zadzwoniła pod podany numer i umówiła się w hali spożywczej przed kasą numer jeden. Wysiadła na następnym przystanku, przebiła się przez bazar, na którym o tej porze dnia trzeba było przepychać się łokciami, i weszła do budynku. Od razu podeszła do kobiety stojącej przy pierwszej kasie.

– Hanka Bondek? – zapytała.

Kobieta kiwnęła głową.

– Józefina Żbik. – Ziuta podała jej rękę, a Hanka mocno ją uścisnęła. – Mam dla pani ważne informacje.

– Jeśli nie zjawię się w domu przed powrotem męża, będę mieć wielkie kłopoty.

– A o której mąż wraca?

– Nie wiem.

– A może się pani dowiedzieć?

– Mogę – odpowiedziała Hanka, zdziwiona, że sama na to nie wpadła. Szybko wyjęła komórkę i wybrała numer. – Cześć, kochanie, jak się bawicie?

– Właśnie odebrałem dzieci z przedszkola. Ty rozmawiałaś z tą wychowawczynią? To jakaś szajbuska. Nie chciała mi oddać dzieci, dopóki mnie nie wylegitymowała.

– Jakub, takie teraz są przepisy. Skąd miała wiedzieć, że jesteś ich ojcem, a nie na przykład porywaczem? Przecież nigdy wcześniej cię nie widziała.

– Mówię ci, szajbuska.

– Idziecie na plac zabaw?

– Idziemy na plac zabaw? – zapytał Jakub dzieci.

– Idziemy! – odpowiedział mu zgodny chórek.

– Idziemy – potwierdził Jakub.

– To bawcie się dobrze. Cześć. – Schowała telefon i zwróciła się do Ziuty: – Miałabym jakieś pół godziny, ale muszę jeszcze zrobić schabowe.

– Kochana, tu wszystko kupisz gotowe. Wchodzimy.

Hale Banacha – bo pawilony były dwa: spożywczy i przemysłowy – nie przypominały w niczym modnych warszawskich galerii handlowych z zagranicznymi supermarketami, designerskimi butikami, kinami, barami i kawiarniami, gdzie rozrywkowa młodzież potrafiła spędzać całe dni. Ale chociaż wystrój miały bardzo przesyłny, to jednak można tam było kupić wszystko, mydło i powidło.

Ziuta poprowadziła Hankę do całkiem sporego działu z garmażerką. W ladach chłodniczych wyłożono zafoliowane próżniowo na plastikowych tackach gotowe dania. Jak na zamówienie już w pierwszej ladzie Hanka znalazła schabowe z opiekаныmi ziemniakami i kapustą, więc szybko wrzuciła cztery opakowania do koszyka. Bondek i tak się nie zorientuje, że to gotowe ze sklepu, nie ma mowy.

– Kochana – dla przyspieszenia narracji Ziuta zrezygnowała z oficjalnej formy „pani” – wiem, że chcesz rozwodu.

Hanka popatrzyła na nią niechętnie. No tak, Misiek od razu wygadał się Agacie – tego można było się spodziewać. Ale jak mogli o jej prywatnych sprawach opowiedzieć tej kobiecie? Czego ona chciała?

– Wiem o twoim mężu i Loli Marini znacznie więcej, niż możesz sobie wyobrazić. I chcę ci pomóc.

Kobieta od razu odpowiedziała Hance na zadane tylko w myślach pytanie, więc początkowa niechęć na jej twarzy zamieniła się już tylko w nieufność. Nie uszło to uwagi Ziuty.

– Tak, wiem, wiem, to na dzień dobry brzmi podejrzenie. Ale nie mam wyjścia. Muszę ci, moja droga, zaufać, a ty, jeśli naprawdę chcesz się pozbyć męża, musisz zaufać mnie.

– Ja tylko chcę się z nim rozwieść – zaprotestowała Hanka, bo słowa kobiety zabrzmiały tak, jakby oferowała usługę profesjonalnego killera.

– I w tym właśnie chcę ci pomóc, moja droga.

Agata wprawdzie uprzedziła ją, że ciotka będzie się zachowywać niekonwencjonalnie i może nawet mówić rzeczy dziwne, ale też zaklinała się, że można jej zaufać. Mimo wszystko Hanka nie była przekonana. Jaką rolę w rozwiązaniu jej problemów miałyby odegrać ta sympatyczna skądinąd, pulchna emerytka?

– Chodźmy, moja droga. Czas biegnie. Nie możemy tu stać – zarządziła Józefina i chwyciła Hankę za łokieć. – Płacimy i wychodzimy. Odprowadzę cię do domu i wyjaśnię wszystko po drodze.

Rozdział 44

Hanka Bondek wyłożyła na dużą patelnię cztery kotlety schabowe, na drugą wysypała opiekane ziemniaczki, a zasmażaną kapustę umieściła w niedużym rondelku. Wyrzuciła jeszcze cztery puste opakowania, ukrywając je pod stertą śmieci na dnie kosza. Obiad domowy czekał na męża gotowy.

Niepotrzebnie aż tak się spieszyła. Jakuba wciąż nie było w domu. Zdążyła więc spokojnie odłożyć klucze Loli tam, skąd je wzięła, pilnując, aby nie pomylić kieszeni. Nie, żeby podejrzewała męża, że będzie pamiętał, do której kieszeni je włożył – po prostu lubiła być dokładna. Przyjrzała się też dobrze taniemu telefonowi komórkowemu, który znalazła w wewnętrznej kieszeni marynarki Jakuba już w czasie poszukiwania kluczy, gdy zbyt się spieszyła, by poświęcić mu więcej uwagi. Telefon był wyłączony, więc wcisnęła odpowiedni guzik i odczekała kilka długich sekund, zastanawiając się, czy jej mąż do zakodowania telefonu użył tej samej kombinacji cyfr, co we wszystkich innych urządzeniach elektronicznych czy kartach bankowych. Jakub nie lubił zaśmiecać sobie umysłu zapamiętywaniem niepotrzebnych liczb. O dziwo, telefon uruchomił się bez PIN-u, co najprawdopodobniej znaczyło, że był na kartę, ale równie dobrze mógł być używany przez inne osoby, więc nie wprowadzano PIN-u dla wygody. Telefon jednak okazał się prawie zupełnie czysty. Nie było zarejestrowanych żadnych połączeń przychodzących ani wychodzących, tylko esemes od operatora – „Witamy w sieci” – z dzisiejszą datą. A więc telefon był zupełnie nowy. Zapisano w nim tylko jeden, nieznaną jej numer, bez żadnego imienia czy nazwiska. Teraz, po rozmowie z Józefiną, wiedziała już, do czego miał służyć. Zapisała ten numer, a także numer własny telefonu, i wyłączyła aparat. Wytarła go dokładnie ściereczką z mikrofibry, żeby nie pozostawić swoich odcisków palców, i odłożyła do kieszeni marynarki męża.

Miała chwilę, żeby przemyśleć wszystko, czego dowiedziała się od Józefiny. Brzmiało to zupełnie fantastycznie, ale trzymało się kupy. Tak, jej mąż byłby do tego zdolny. Jeśli dodało się do tego jego dzisiejsze zdenerwowanie, to nieustanne zerkanie na zegarek, jakby sprawdzał, czy nie nadeszła już godzina W, wszystko zaczynało układać się w spójną całość. Dla niej oznaczało to tylko jedno: jej godzina W musiała być z czasem Bondka idealnie zsynchronizowana.

Ponieważ męża i dzieci wciąż nie było w domu, zapukała do sąsiadów z naprzeciwka. Z Iwoną zaprzyjaźniła się zaraz, jak tylko wprowadzili się z Jakubem do tego budynku. Iwona – nauczycielka francuskiego na urlopie wychowawczym – miała dzieci w podobnym wieku jak latorośle Hanki. Często wychodziły z nimi razem na spacer, urządzały wspólne pikniki czy urodziny, podrzucały sobie nawzajem maluchy, gdy trafiało się jakieś wieczorne wyjście.

Ucieszyła się, że zastała Iwonę w domu, ale odetchnęła z ulgą dopiero, gdy dowiedziała się, iż sąsiadka planuje spędzić dzisiejszy wieczór przed telewizorem.

Domowy obiad wszystkim smakował doskonale. Trochę ruchu na świeżym powietrzu jest najlepszą przyprawą. Dzieci wprawdzie zaraz wsypały ojca, że wcale nie ćwiczył na siłowni, tylko siedział na ławce i rozmawiał z mamą ich nowej koleżanki z placu zabaw, ale Hanki zupełnie już to nie obchodziło. Niech o kondycję fizyczną Jakuba martwią się kolejne sekretarki albo mamy koleżanek ich dzieci z piaskownicy.

Rozdział 45

W ciągu ostatnich dwóch godzin Jakub Bondek zapanował nad odruchem spoglądania na zegarek na tyle, by żona ani razu nie zapytała go, czy gdzieś się spieszy. Kiedy jednak zegar z kukułką wyśpiewał siódmą, nie był już w stanie dłużej się powstrzymać. Nie pomogło nawet schowanie zegarka do kieszeni. I tak co chwilę odsłaniał mankiet, chociaż na przegubie nie znajdowało się już nic, co by pomogło mu w ustaleniu godziny. Odruch był głupi, bo przecież w domu istniało wiele innych zegarków: w telewizorze, kuchence mikrofalowej, budziku, o tym okropnym z kukułką nie wspominając, ale przyzwyczajenie jest drugą naturą i nic się z tym nie dało zrobić.

Jakub obawiał się nie tyle tego, że się spóźni, bo przecież miał od Loli dostać cynk ze stosownym wyprzedzeniem (nowa, kupiona specjalnie w tym celu komórka została już włączona i czekała na sygnał w kieszeni dresowych spodni), ile tego, że godzina rozpoczęcia akcji tak nieuchronnie się zbliżała. Choć przystał na propozycję Loli bez mrugnięcia okiem, okazując przy tym twardość w negocjacjach połączoną z wystudiowaną nonszalancją, to jednak miał potężnego cykora i dobrze sobie z tego zdawał sprawę.

Nie wątpił, że Lola obmyśliła wszystko doskonale, w końcu łebska z niej była kobieta i dzięki przewagom umysłu osiągnęła w życiu znacznie więcej niż on, ale nie do końca jej ufał. Podejrzewał, że sukcesy Loli biorą się nie tylko z wyższej niż jego inteligencji, lecz także z bezwzględności charakteru. Tam, gdzie ona z żelazną konsekwencją szłaby jak czołg, nie zwracając uwagi na to, co przed nią, za nią i obok, on zawahałby się przez chwilę – i to by mogła być właśnie chwila, która doprowadziłaby go do upadku. Tym właśnie się różnili – ona nigdy nie miała wątpliwości, a on tym razem je miał. I wcale nie były to wątpliwości natury moralnej, bo Miśka już dawno spisał na straty, tylko niejasne przeczucie (mówiąc tak eufemistycznie, Bondek oswajał swój strach), że ten plan jest... zbyt doskonały. Wystarczy, że tylko jeden element układanki z niego wyskoczy, zupełnie jak w grze jenga, a cała wieża runie. Ale teraz było już za późno, żeby się wycofać. Nie mógł przecież wyjść przed Lolą na tchórza, chociaż tak naprawdę nim był.

Kiedy więc tuż przed wpół do ósmej Bondek usłyszał niespodziewany dzwonek do drzwi, odebrał to jako zły znak.

– Otwórz, kochanie, jestem w łazience! – Głos żony dotarł do niego przytłumiony.

Za drzwiami stała ich sąsiadka Iwona. Zanim zdążył odpowiedzieć na jej powitanie, do przedpokoju wpadli Malwinka i Franek, bo przecież kto jak kto, ale dzieci muszą zawsze pierwsze wiedzieć, co w trawie piszczy.

– Cześć, brzdące! Jasiek i Kaja zapraszają was na wspólne oglądanie Koziółka Matołka.

Wrzask radości rozległ się na całym korytarzu. Koziółek Matołek w każdej formie, zarówno czytanej, jak i ruchomych obrazków, zdecydowanie był największym hitem ostatnich dni.

– Tata pozwoli?

Tata, zamiast odpowiedzieć, zerknął na przegub ręki, na której już dawno nie było zegarka.

– Tata pozwoli – odparła Hanka, która wyłoniła się z łazienki w samą porę, by wyręczyć lekko zdezorientowanego męża. – Mama też.

– To weźcie też piżamy i szczoteczki do zębów. Zostaniecie na noc.

Dzieciom nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. W trzy chwile znalazły się z powrotem w przedpokoju, ściskając w rękach tłumoki z piżamami i szczoteczki do zębów.

– To bawcie się dobrze. – Iwona mrugnęła do Hanki. – Gdyby było trzeba, mogę je też zawieźć jutro do przedszkola. Pa!

– Dlaczego Iwona miałaby zawozić nasze dzieci do przedszkola? – zdziwił się Jakub, gdy za sąsiadką zamknęły się drzwi.

– No, gdybyśmy dzisiaj dobrze się zabawili na przykład. Mamy wolne... – zaczęła Hanka zalotnie. – Może wyskoczymy gdzieś do kina, a potem na jakieś tańce?

– Dziś???

– Masz jakieś plany na ten wieczór?

– Nieee... Tylko... głowa mnie boli. Wolałbym pooglądać telewizję.

– Jak chcesz. – Hanka udała obrażoną. Wyjęła z biblioteczki książkę i demonstracyjnie wyszła do sypialni, zostawiając męża w salonie.

Bondek oklapł na kanapie i włączył pilotem telewizor. Na dwojce zaczynała się właśnie transmisja na żywo z wręczenia najważniejszych nagród telewizyjnych roku.

Rozdział 46

Arkadiusz Kolanko bardzo lubił chodzić na bankiety i brylować w wielkim świecie. Nie był jednak niestety żadnym celebrytą, nie znajdował więc w swojej skrzynce na listy pliku kopert z zaproszeniami, w których mógłby przebierać. Żeby prowadzić styl życia, do którego na stosunkowo późnym etapie swojej kariery poczuł szczególne powołanie, musiał wkładać w to o wiele więcej trudu niż osoby piękne i młode lub tylko utalentowane, którym przychodziło to bez żadnego wysiłku. Arkadiusz był jednak wytrwały w dążeniu do celu. Kiedy w wieku czterdziestu pięciu lat został zwolniony z pracy w jednym z najbardziej znanych w stolicy domów mediowych, zajmujących się sprzedażą czasu reklamowego w największych stacjach telewizyjnych, był to dla niego duży cios. I to wcale nie dlatego, że stracił stały dochód, bo nie zarabiał dużo – przez dziesięć lat dochrapał się zaledwie stanowiska młodszego asystenta sprzedaży bez prawa do prowizji. O wiele większą stratą było to, że przez wyrzucenie z pracy jego źródło z zaproszeniami na imprezy wyschło.

Nie, on sam nigdy nie dostawał zaproszeń. W ogromnej firmie był przecież gdzieś na samym dole drabiny społecznej. Zaproszenia otrzymywał jego szef, który od momentu, gdy na poważnie zapisał się do elitarnego klubu AA, szerokim łukiem omijał imprezy, na jakich za darmo można się było napić. A przebywanie na trzeźwo w miejscach, w których wszyscy piją, to była gorsza kara niż niepicie w ogóle, więc szef wszystkie zaproszenia wyrzucał cichcem do kosza. Arkadiusz odkrył tę tajemnicę kiedyś przypadkiem i wystarczyło zaprzyjaźnić się ze sprzątaczką, której załatwiał wejściówki dla córki na nagrania *Tańca z gwiazdami*, żeby zawartość kosza szefa nie trafiała na śmietnik, tylko na jego biurko.

Kiedy Arkadiusz został wylany z roboty, wszystko się skończyło. W ciągu dwóch lat bankietowania zdążył jednak przyzwyczaić się do nowego stylu życia tak bardzo, że nawet nie chciał myśleć, iż mogłyby w nim nastąpić jakieś zmiany. Na szczęście poznał już zasady funkcjonowania karuzeli bankietowej na tyle dobrze, że nie musiał się obawiać o swoją przyszłość. Trzeba było tylko trochę bardziej się napracować.

Kolanko, obserwując bywalców ekskluzywnych imprez, odkrył łatwo, że na każdy bankiet można się było dostać bez zaproszenia. Wystarczyło znać reguły.

Po pierwsze – trzeba było dobrze wyglądać. Osoby o znanych twarzach mogły założyć nawet legginsy z Biedronki. Oficjalnie wszyscy by się zachwycali odważną kreacją wpisującą się w modny trend „Stać mnie na Louis Vuittona, ale patrzcie, jakim jestem lewakiem”, a na stronie dyskutowaliby, ile takiej gwiazdeczce zapłacili, żeby się ubrała w aż tak obciachowe ciuchy. Arkadiusz nie mógł sobie na coś takiego pozwolić. Na porządny garnitur od Bossa udało mu się

zapolować jeszcze w czasach, gdy pracował w domu mediowym. Chociaż kupił go na samym końcu wyprzedazy, z osiemdziesięcioprocentową zniżką, to i tak cena przerastała jego możliwości i kartę kredytową spłacał jeszcze długo. Wtedy ta inwestycja wydawała się na wyrost, teraz zaś bardzo ładnie mu się amortyzowała.

Po drugie – trzeba było wiedzieć, kiedy coś się dzieje i gdzie. W dobie internetu zdobywanie takich informacji okazywało się dziecinnie łatwe. Wystarczyło polubić jakieś wydarzenie na Facebooku i zapisać się do wszystkich możliwych grup branżowych. Kalendarz Arkadiusza bardzo szybko zapełniał się terminami imprez, które z jego punktu widzenia miały największy potencjał, czyli można było na nich dobrze zjeść i wysokoprocentowo się napić, ale, co ważniejsze, także spotkać odpowiednich ludzi. Ten drugi czynnik był dlatego taki istotny, że wiązał się z nowym sposobem zarabiania na życie.

Kolanko bowiem wpadł na genialny pomysł, jak łączyć przyjemne z pożytecznym, i na każdą imprezę z udziałem celebrytów udawał się z plikiem zdjęć, które zostawały opatrzone autografami gwiazd. Fotografie sprzedawał potem na Allegro i przynosiło mu to całkiem niezłe profity. Do tego dochód był nieopodatkowany i głęboko ukryty, więc praktycznie nie do wyśledzenia przez czyhającą na alimenty ekszonestę.

Gdy już się wiedziało, kiedy i gdzie, trzeba było jeszcze się na wybrany bankiet dostać. I tu też Arkadiusz miał kilka wypróbowanych metod. Przede wszystkim należało się na daną imprezę spektakularnie spóźnić. Wtedy zazwyczaj już nikt wejścia nie pilnował, a gdyby nawet komuś chciało się zaczepić późnego gościa, zawsze można było wytłumaczyć, że wyszło się na chwilę do szatni albo pobliskiego sklepu po papierosy.

Wejście na palacza stanowiło kolejną metodę. Kąciki dla nałogowców, zgodnie z ustawą antynikotynową, musiały mieścić się pod chmurką i zwykle miały osobne tylne wyjścia, którymi łatwo dało się przeniknąć do środka.

W ostateczności można było się powołać na listę. Na każdej imprezie obowiązywała dodatkowa lista gości, którym nie zdołano na czas wysłać zaproszeń albo o których przypomniano sobie w ostatniej chwili. Należało wtedy przedstawić się przy wejściu, mamroczać coś niewyraźnie pod nosem, a kiedy wykidajło pochyłał się nad listą, wskazać palcem na nieodhaczone jeszcze nazwisko. Gdyby to nie zadziałało, trzeba było wykazać święte oburzenie, powołać się na jakiegoś ważnego prezesa, który przecież obiecał, że dopilnuje wszystkiego, i zażądać przyprowadzenia tej osoby w celu wyjaśnienia nieporozumienia. Oczywiście nikt przy zdrowych zmysłach by tego nie zrobił. Za przeszkadzanie prezesom w bankietach można było nieźle oberwać albo nawet stracić pracę. Zwykle więc cerber na bramce, widząc elegancko ubranego, dystyngowanego gościa, zazwyczaj wpuszczał go do środka. Choć oczywiście zdarzały się też niepowodzenia. Kilka razy Arkadiusz musiał odejść z kwitkiem, ale zupełnie się tym nie przejmował

i traktował porażki jako wypadki przy pracy.

Na dzisiejszej imprezie wręczenia Telenagród Roku szczególnie mu zależało. Miał już zebrane zamówienia na kilka autografów z osobistymi dedykacjami, bo rozszerzył swój biznes również o taką usługę, i na wieczornym bankiecie mógłby wykonać plan maksimum. Zgodnie z programem telewizyjnym transmisja z wydarzenia miała się rozpocząć o dziewiętnastej trzydzieści i potrwać półtorej godziny. Arkadiuszowi zupełnie nie zależało na oklaskiwaniu zwycięzców, wpadł więc do muzeum z rozwianym włosom dokładnie o godzinie dwudziestej czterdzieści pięć. Kątem oka zarejestrował, że bramka wejściowa jest zamknięta i nikt przy niej nie stoi. Pobiegnął w kierunku szatni, rozpinając po drodze płaszcz i rzucając go na ladę tuż przed szatniarką, która na monitorze niewielkiego telewizora obserwowała przebieg ceremonii odbywającej się piętro wyżej. Lola Marini odbierała właśnie nagrodę dla Osobowości Telewizyjnej Roku. Szatniarka wysłuchiwała spokojnie, jak bardzo Lola jest zaskoczona tym wyróżnieniem i jak wielkie ma ono dla niej znaczenie, i jak bardzo tęskni za Henrykiem, który na pewno myślami jest teraz razem z nią. Dopiero gdy kamera odprowadziła Lolę na jej miejsce na widowni, robiąc zbliżenie na diamentowe szpilki, odwróciła głowę w stronę spóźnionego gościa.

– Ludzie to mają szczęście – westchnęła, wstała niechętnie z fotela, sięgnęła po płaszcz i odwiesiła go na haczyk, wydając numererek.

– Święte słowa. Wszyscy mają szczęście, tylko nie my – zgodził się z nią Arkadiusz, zupełnie niepotrzebnie wysilając się na uprzejmość, bo szatniarka nawet na niego nie spojrzała, tylko oklapła z powrotem na fotel i znów wlepiła wzrok w ekran telewizora.

Bramka wejściowa wciąż była zamknięta, nikt jej nie pilnował i wydawało się, że jedyną żywą duszą na tej kondygnacji muzeum jest chyba tylko kobieta w szatni.

Arkadiusz odrzucił pokusę przeskoczenia przez bramkę przypominającą te w metrze, wychodząc z założenia, że osobie, o wysokiej pozycji, którą aktualnie odgrywał, tak się zachowywać nie wypada. Gdyby miał zaproszenie w kieszeni, nie wahałby się przed wykonaniem skoku przez płot, ale jego sytuacja wymagała bardziej przemysłnego działania.

– Hop, hop! Jest tam kto?! – zawołał na tyle głośno, żeby zwrócić na siebie uwagę, ale nie wzbudzać zbyt wielkiego hałasu. Spróbował jeszcze raz i odpowiedziała mu głucha cisza. Nie było rady, musiał zawrócić do szatniarki.

– Najuprzejmiej panią przepraszam – wpasował się w oklaski na ekranie telewizora, starając się, by straciła jak najmniej z pasjonującego widowiska.

– To znowu pan?

Okazało się, że kobieta miała jednak dużą podzielność uwagi.

– Miałem słuczkę samochodową po drodze, jak tu jechałem, dlatego się tak

bardzo spóźniłem. – Arkadiusz skłamał jak z nut, okraszając wypowiedź pokorną miną. – Wie pani, zaraz policja, spisują, potem te wszystkie papiery do ubezpieczenia...

– Pan stuknął czy pana stuknęli?

– Ja. – Kolanko spuścił wzrok, dobrze udając zawstydzenie. – Spieszyłem się. A teraz siostra się obrazi, bo na głowie stawała, żeby mi załatwić to zaproszenie. Bo ona tam tylko zwykłą riserczerką jest.

– Kim?

– Taką, co odwala najgorszą robotę, a potem inni się pod tym podpisują.

– To tak jak u mnie w szatni. Ja biegam wte i wewte, a potem kierowniczką przyjdzie na ostatnie pięć minut i każe się dzielić napiwkami.

Ze zrozumieniem pokiwał głową.

– A autocasco pan ma?

– Skąd! Kogo na to stać?

– To tu się pan zgłosi – szatniarka wstała i wyjęła spod lady wizytówkę, podając Arkowi. – Zrobią tanio, szybko i solidnie.

– Dziękuję – ucieszył się Kolanko. – Na pewno się przyda. A mogłaby pani zawołać kogoś, kto by mnie wpuścił? Może zdążę choć na ostatnie oklaski.

– Pan idzie za mną. – Szatniarka ruszyła w kierunku bramki. Przyłożyła do magnesu swoją kartę i szklane drzwiczki się rozstąpiły. – Teraz szybko – dodała.

– Bardzo pani dziękuję.

Arkadiusz sprawnie przeskoczył na drugą stronę i uśmiechnął się promiennie.

Rozdział 47

Kiedy Arkadiusz Kolanko wbiegł na piętro, drzwi sali widowiskowej właśnie się otworzyły i zaczęli z niej wychodzić pierwsi, najgłodniejsi goście, kierując swoje kroki prosto do stołów z jedzeniem wystawionych w holu. Arkadiusz ruszył z tą falą, bo przecież przyszedł również po to, żeby się dobrze najeść, a tylko w pierwszej fazie imprezy można było to zrobić bez kolejki. Z talerzem wypełnionym po brzegi najsmaczniejszymi kęskami zajął strategiczne miejsce przy wysokim stoliku pośrodku holu. Miał z tego punktu widok na całe pomieszczenie, mógł więc spokojnie się posilać, popijając roladki wołowe czerwonym winem, i jednocześnie obserwować główny cel swojej aktualnej misji, czyli Lolę Marini. Jej trzy zdjęcia, umieszczone tymczasowo w gustownej skórzanej saszetce formatu A4, miały być dzisiaj opatrzone specjalnymi dedykacjami.

Arkadiusz wiedział, że Lola jest osobą bardzo kapryśną, dlatego powodzenie jego akcji zależało od tego, czy zdoła gwiazdę zdybać w chwili, gdy ta nie będzie przez nikogo oblegana. Stanowiło to trudne zadanie, bo w końcu ze względu na nagrodę była dziś osobą szczególnie pożądaną, dlatego gdy tylko ujrzał celebrytkę wychodzącą do holu w otoczeniu wianuszka pochlebców, postanowił nie spuszczać jej z oczu.

Lola jadła mało, prawie wcale, sięgnęła tylko po babeczkę z musem łososiowym, nie kłopotząc się nawet szukaniem talerzyka, za to piła za trzech, i to mocne trunki, a właściwie jeden – whisky z lodem. Przynajmniej tak to wyglądało. Arkadiusz miał pewne kłopoty z obserwacją, bo towarzystwo wokół gwiazdy co chwila się zmieniało. Pierwszą szklaneczkę przyniósł jej znany dziennikarz, również dzisiejszy laureat, ale w innej kategorii. O drugą poprosiła samego prezesa stacji telewizyjnej, która organizowała imprezę, a ten dostarczył ją w try miga, jakby możliwość obsługi gwiazdy była jego najważniejszym życiowym priorytetem. Trzecią przyniósł rezolutny kelner, prawidłowo odczytując stuknięcie palcem w pustą szklankę i odstawienie jej na stół z przekąskami. Czwartą... Arkadiusz już przestał liczyć.

Lola ani przez chwilę nie pozostawała sama. Każdy z jej kolejnych towarzyszy skwapliwie donosił kolejne drinki, więc przeszkodzenie w konwersacji wiązało się ze zbyt dużym ryzykiem. Może więc zaopatrzyć się w barze w szklaneczkę whisky i zaproponować ją gwieździe, wypatrując czujnie momentu, gdy tylko w jej szklance zamajaczy dno? Ale zaraz, Lolę właśnie opuściło dwóch rozmówców, kłaniających się w pas, a ona, korzystając z okazji... Arkadiusz nie wierzył w to, co widział. Lola wylała swojego drinka do doniczki stojącej pod oknem palmy! Kolanko nie zdążył zastanowić się nad tym, co zobaczył, bo Lola

chwiejnym krokiem podeszła do baru i zamówiła kolejną whisky. Teraz! Arkadiusz zastąpił jej drogę w momencie, gdy z drinkiem w dłoni ruszyła w kierunku szklanej windy.

– Madame, czy zechciałaby pani obdarować swym autografem nieśmiałego wielbiciela?

Lola otaksowała go wzrokiem, starając się przypomnieć sobie, czy może go skądś znać. Arkadiusz wykorzystał chwilę jej wahania i wyciągnął z pugilaresu trzy zdjęcia.

– Przyszedłem tu tylko dla pani. – Ułożył zdjęcia na aktówce, a obok nich położył czarny cienkopis. – Dla Witolda, na pamiątkę uroczego spotkania. – Uśmiechnął się prosząco.

Lola prychnęła.

– Nigdy w życiu nie użyłabym słowa „urocze” – odparła tonem wcale niewskazującym na ponadnormatywne spożycie alkoholu.

– Ależ nie musi pani używać epitetów – roześmiał się Arkadiusz.

Lola podała mu swoją szklaneczkę i zamaszystym ruchem złożyła podpis z dedykacją na zdjęciu dla Witolda, nie dziwiąc się specjalnie, że musi przy okazji obdzielić swymi autografami całą rodzinę wielbiciela. Odebrała szklanekę z krótkoterminowej przechowalni w dłoni Arkadiusza i nawet nie skinąwszy mu głową na gorące podziękowania, podeszła do windy, mocno się zataczając. Z trudem wcelowała w przycisk, a kiedy drzwi się otworzyły, pojechała na dół.

Arkadiusz odprowadził ją wzrokiem. Dziwne. Dałby głowę, że podpisując zdjęcia, była zupełnie trzeźwa, więc dlaczego chciała wszystkich przekonać, że za dużo wypila? Może to taki nowy celebrycki zwyczaj?

Nie zaprzął sobie tym więcej głowy i podszedł do stołu z deserami. Plan na dziś już został wykonany.

Rozdział 48

Siedzieliśmy z Józefiną na stanowisku obserwacyjnym w specjalnie do tego celu zmodyfikowanym bagażniku multipli. Ziuta wyjęła z niego podłogę, a tuż przy klapie umieściła kocyk oraz dwie fotelowe poduchy. Takie same poduchy rzuciła na oparcie, czyli pokrywę bagażnika. Mieliśmy w końcu spędzić w nim trochę czasu. Obserwację ułatwiał opracowany przeze mnie system lusterek. Wystarczyło ustawić trzy pod właściwym kątem i w odpowiednich miejscach i nie trzeba się było wychylać, żeby widzieć wejście do domu Loli i spory kawałek ulicy.

Zaparkowałem w punkcie obserwacyjnym przed willą Loli dużo wcześniej, już o szesnastej trzydzieści. Była to najlepsza pora, żeby znaleźć dobre miejsce. Pracownicy okolicznych biur właśnie skończyli pracę, a mieszkańcy jeszcze nie zdążyli wrócić do domów po ciężkim dniu. Zaparkowałem tak, aby mieć niczym niezastłonięty widok na wejście do domu Loli.

Inne przygotowania też poczyniłem z dużym wyprzedzeniem. Zaraz po rozstaniu z Miśkiem udałem się na zakupy. Po zapasową baterię do laptopa musiałem pojechać aż na stację metra Centrum. Ale upewniłem się wcześniej, że tam ją dostanę. Ziuta nauczyła mnie dmuchać na zimne. Po resztę rzeczy, już nie tak niewinnych, pojechałem na bazar pod Halą Banacha. W jednej z budek nabyłem od wietnamskiego sprzedawcy dwa używane telefony komórkowe ze słuchawkami i dwie nowe karty SIM z dużym limitem na połączenia, żeby nie trzeba było doładowywać konta. W takim miejscu na pewno nikt nie montował kamer, a do tego istniało małe prawdopodobieństwo, że właściciel rozlicza się z urzędem skarbowym i rejestruje sprzedane urządzenia. Chodziło o to, żeby pochodzenie aparatów i kart było nie do namierzenia. Sprawdziłem od razu, czy wszystko działa – nie mogliśmy sobie pozwolić na nieprzewidziane okoliczności. Rękawiczki lateksowe, dziesięć sztuk w opakowaniu, udało mi się kupić w sąsiedniej budce ze sprzętem gospodarstwa domowego. Mieli tam też potrzebne mi lusterka.

Po zostawieniu multipli pod domem Loli wróciłem do mieszkania Józefiny. Podłączyłem do ładowania nowe telefony, żeby mieć pewność, że baterie nie wysiądą niespodziewanie. Ziuty wciąż jeszcze nie było, więc sam zabrałem się do przygotowywania kolacji. Nie miałem dziś czasu, żeby cokolwiek zjeść, a akcja na głodnego to żadna akcja. Słyszałem wprawdzie opinię, że uczucie sytości rozleniwia i odbiera odwagę czynu, ale zapewniam was, ssanie w żołądku, przynajmniej w moim wypadku, tym bardziej nie zachęca do działania.

Zrobiłem szybki przegląd lodówki i z zadowoleniem znalazłem w niej wszystkie produkty potrzebne do przygotowania mojego popisowego dania. Nie, nie jestem mistrzem kuchni. Po prostu od wielu lat mieszkam sam, więc siłą rzeczy

musiałem nauczyć się przynajmniej podstawowych zasad gotowania. I kilka dań wychodziło mi lepiej niż inne, bo nie wymagały większego wysiłku lub specjalistycznej wiedzy.

Pociąłem na grube paski znaleziony w lodówce kawałek boczku, podsmażyłem na patelni, dodałem małą, pokrojoną w kostkę cebulę i nie pożałowałem czosnku. Zalałem wszystko słodką śmietanką, chociaż niektórzy twierdzą, że do prawdziwej carbonary jej się nie dodaje, dosypałem startego parmezanu i dopiero gdy sos się zagotował, spróbowałem, jak smakuje, po czym doprawiłem go solą i pieprzem. Czasami boczek jest bardzo słony sam w sobie i wtedy w ogóle lepiej nie używać soli.

Sos był gotowy. Z ugotowaniem makaronu postanowiłem poczekać na Józefinę. Spokojnie, to nie tak, jak wam się wydaje. Wiem, jak się gotuje makaron – duży garnek, gorąca woda, mały ogień, te rzeczy. Po prostu chciałem pochwalić się przed Ziutą swoją robotą, a odgrzewana carbonara to zupełnie nie to samo, co kluchy prosto z garnka.

Józefina pojawiła się po kilku minutach. Z umiarkowanym optymizmem podeszła do wiadomości, że zrobiłem kolację.

– Kolacja będzie na deser, synku – ofuknęła mnie. – Najpierw robota. Bateria?

– Jest.

– Telefony?

Z dumą wskazałem na dwa gniazdko elektryczne, w których tkwiły ładowarki połączone z aparatami.

– Powinny być już w stu procentach naładowane.

– Dobrze. Rękawiczki?

– Są.

– To na co czekasz, dawaj.

Józefina włożyła jedną parę, a drugą podała mnie.

– No, załóż – pogoniła mnie i sięgnęła po pierwszy aparat. – Musimy zapisać w pamięci nasze nowe numery. Stare telefony zostawimy w domu.

Wklepała kilka cyfr z leżącej obok aparatu karty i wcisnęła zieloną słuchawkę. Drugi telefon ożył.

– Zapisz mnie sobie pod A, a ja cię zapiszę pod B.

Wykonałem polecenie. Józefina dokładnie wytarła oba telefony i włożyła je do foliowej torebki zamykanej na suwak. Torebkę wsunęła do plecaka, w którym czekały już spakowane mój laptop, zapasowa bateria i lusterka. Dorzuciła jeszcze paczkę rękawiczek i postawiła plecak pod drzwiami.

– No, materiały chyba mamy zabezpieczone. To teraz jeszcze robocizna.

Wyciągnęliśmy z kieszeni nasze plany – ja ze spodni, trochę wymięty, Ziuta z zakietu, w lepszym stanie – skreśliliśmy z zadowoleniem zadania już wykonane,

a potem punkt po punkcie wkuwaliśmy plan akcji, powtarzając kolejność działań kilka razy. Wreszcie Józefina była zadowolona z rezultatu.

– To teraz możemy coś zjeść. Umieram z głodu.

Kiedy gotowałem makaron, Ziuta opowiedziała mi pokrótce, co ustaliła z Agatą i Hanką Bondek. Obie miały odegrać w naszym planie kluczowe role, ale postać Hanki pojawiła się w tym spektaklu w ostatniej chwili i w związku z tym była najsłabszym ogniwem operacji. Ziuta wyraziła obawy, czy Hanka sobie poradzi, ale spaghetti carbonara w moim wykonaniu, do którego jeszcze dodałem na koniec rozkłócone surowe jajko i wymieszałem z gorącym makaronem, wyraźnie poprawiło jej humor.

A teraz siedzieliśmy w multipli, zerkaliśmy na zegarki i odliczaliśmy minuty do przyjazdu Loli. Wręczenie nagród kończyło się o dwudziestej pierwszej. Założyliśmy, że Lola pobędzie jakąś godzinę na bankiecie, i daliśmy jej dwadzieścia minut do pół godziny na dotarcie ze Śródmieścia do domu. Ale na wszelki wypadek, gdyby nasze obliczenia okazały się błędne, już o dwudziestej trzydzięci wsiedliśmy w tramwaj numer dziewięć i po dziesięciu minutach wysiedliśmy na przystanku przy Korotyńskiego. Potem kolejne dziesięć minut spaceru i dotarliśmy pod dom Loli.

Umościliśmy się na tyle multipli, włożyliśmy rękawiczki i włączyliśmy laptop. Po chwili pojawiły się obrazy z trzech kamer w domu Loli, ale w środku było tak ciemno, że na ekranie prawie nic nie dało się dostrzec. Tylko tam, gdzie wpadało światło ulicznych latarni, można było rozpoznać jakieś kształty. Przerzuciliśmy się więc na obserwację ulicy.

O wpół do jedenastej przed domem Loli zatrzymała się taksówka. Po kilku chwilach wysiadł z niej kierowca, okrążył samochód i otworzył drzwi pasażera od prawej strony.

Z samochodu wyczołgała się z wielkim trudem Lola Marini. Wyglądała, jakby była zalana w pestkę. Potknęła się nawet przy wysiadaniu, a od upadku uratowało ją podane w odpowiednim momencie silne ramię taksówkarza. Nie dała się jednak odprowadzić do furtki, tylko odprawiła kierowcę niepozostawiającym żadnych złudzeń machnięciem ręki. Gest został odczytany prawidłowo. Mężczyzna wszedł do wozu i zaraz odjechał.

Lola z trudem trafiła kluczem do zamka i otworzyła furtkę. Zatrzasnęła ją zamasyście i krokiem bosmana próbującego przejść po pokładzie przy dziesięciu stopniach w skali Beauforta zdołała dotrzeć do drzwi wejściowych. Udało jej się jakimś cudem otworzyć trzy zamki i opierając się o framugę, zgięta wpół, wtoczyła się do środka.

Rozdział 49

Gdy tylko za Lolą zamknęły się drzwi, ekran laptopa rozbłysnął światłem. Na pierwszym z trzech okienek pojawił się obraz z przedpokoju, z Lolą na pierwszym planie. Przez to nagłe rozjaśnienie obrazu odniosłem wrażenie, jakby przeszła nie przez zwykłe drzwi, tylko przez jakiś tajemny portal do zupełnie innego wymiaru. Natychmiast się wyprostowała i odzyskała równowagę, jakby zdążyła wytrzeźwieć w ciągu sekundy. Najpierw sprawnie wyłączyła alarm, potem zdjęła futro z różowych lisów i niedbale rzuciła je na wieszak. Spojrzała na zegarek i wyjęła z torebki dwie komórki – najnowszego iphone'a w różowej obudowie i szarą nokię, stary model, jeszcze na przyciski. Najpierw wybrała numer na nokii, odczekała kilka sygnałów i sama się rozłączyła. Usiadła na stojącej w przedpokoju ławeczce, z wielkim namaszczeniem odpięła zapinki diamentowych szpilek, pieczołtliwie zsunęła buty z nóg, nie mogąc się oprzeć, by nie pogłaskać diamentów, i ustawiła je na wycieraczkę, tuż przy drzwiach wejściowych.

Zabrała ze sobą oba telefony i ruszyła w głąb domu. Światło w lewej części mojego monitora zgasło, by pojawić się po dłuższej chwili w okienku trzecim. Lola Marini weszła do sypialni. Przygotowała sobie łóżko do spania, zapaliła lampkę nocną, zgasła główne światło i zniknęła w garderobie połączonej z łazienką. Wróciła po kilku minutach ubrana w skąpą koronkową koszulkę nocną na ramiączkach, ledwo zakrywającą pupę. Znowu spojrzała na zegarek i znowu zadzwoniła, tym razem z iphone'a. Ktoś długo nie odbierał, aż wreszcie w moich słuchawkach zadźwięczał jej udręczony alkoholem głos:

– Pan Horubała? Tu Lola Marini. Musi pan natychmiast tutaj przyjechać. Jak to gdzie? Do mojego domu! Jakieś straszne badziewie mi pan tu wstawił! Ten pieprzony alarm nie działa! No nie działa. Nic nie działa. Nie świeci się, nie pika. Nic! Jutro? Pan chyba żartuje! Jestem sama w domu, mam tu cenne rzeczy. Na co mam czekać? Na złodzieja? Cała Polska dziś widziała, co będę trzymać w domu. Pan nie widział? To pan nie jest cała Polska. Jak to kiedy? Zaraz! To niech się pan ubierze. Albo przyjedzie w piżamie. To przez pana nie działa! Dobrze, za dwadzieścia minut. Czekam.

Chociaż głos Loli brzmiał, jakby wypila wcześniej kilka głębszych, to jej zachowanie zupełnie nie wskazywało na spożycie. Energicznie odłożyła różowy telefon na stolik nocny i sięgnęła po szary. Wybrała numer. Ktoś odebrał, chyba po pierwszym sygnale.

– Już – rzuciła do słuchawki zupełnie trzeźwym głosem. – Masz dziesięć minut. Pamiętaj o alarmie i telefonie. – I od razu się rozłączyła.

Znowu zniknęła w garderobie, tym razem na krótką chwilę, by wrócić w cienkich, różowych rękawiczkach skórzanych. Sięgnęła po nokię i starannie ją

wytarła kawałkiem prześcieradła. Rozłożyła telefon na części – baterię, obudowę, część główną i kartę SIM. Kartę SIM pocięła na drobne kawałeczki, wyszła z nią do łazienki, skąd po chwili dobiegł cichy szum spuszczonej wody.

Gdy wróciła, starannie wytarła pozostałe części telefonu, również od środka. Podeszła do okna, otworzyła je na oścież, wzięła szeroki zamach i przerzuciła kawałki telefonu do sąsiedniego ogrodu. Sprytnie. Pamiętałem, że od strony sąsiadów rósł żywopłot z choiny kanadyjskiej, który rozrósł się tak bardzo, że na pewno nikt nie zauważy porozrzucanych kawałków plastiku.

Lola zamknęła okno i odniosła rękawiczki do garderoby. Potem wyszła na korytarz i najpewniej włączyła alarm, bo słychać było ciche piknięcia. Miała drugą centralkę sterującą na piętrze, żeby można było uruchomić alarm bez biegania po schodach. Gdy ponownie wróciła do sypialni, wyjęła ze stolika nocnego półlitrową butelkę czarnego Johnny’ego Walkera z *duty free*, usiadła na brzegu łóżka i zaczęła pić z gwinta. Sączyła napój małymi łykami, ale czerpała z flaszki często, więc płynu ubywało regularnie, a gdy w butelce pojawiło się dno, odstawiła ją do szafki, wślizgnęła się pod kołdrę i zgasiła lampkę nocną.

Nadeszła pora wkroczyć do akcji.

Wymieniliśmy z Józefiną porozumiewawcze spojrzenia i bez słowa oboje włożyliśmy lateksowe rękawiczki. Wyjęliśmy nasze nowe telefony, ustawiliśmy na wibrację, podłączyliśmy do nich słuchawki z mikrofonem, ale do uszu włożyliśmy tylko po jednej. W końcu trzeba też było nasłuchiwać, co się dzieje wokół. Józefina wybrała mój numer, ja odebrałem i w ten sposób uzyskaliśmy takie niekonwencjonalne walkie-talkie.

Ja włożyłem jeszcze na głowę opaskę z czołówką, nie włączając jej na razie. Józefina wręczyła mi klucz typu yale, który dostała od Hanki. Sprawdziliśmy wcześniej, że pasuje do furtki, co bardzo ułatwiło mi zadanie, bo chociaż znalazłem wcześniej osłonięte tujami miejsce, w którym mógłbym spokojnie przedostać się na drugą stronę ogrodzenia, i pierwszy wariant naszego planu takie właśnie działanie przewidywał, to jednak skakanie przez płot nie było moją ulubioną dyscypliną sportową.

– Jak otworzysz furtkę...

– ...to zostawię klucz za kamieniem po prawej stronie – dokończyłem, powtarzając po raz kolejny dzisiejszego dnia jeden z punktów planu. – Ziuta, bez obaw, dam radę.

Ziuta wychyliła głowę, sprawdziła, czy gdzieś nie pałęta się jakiś nocny spacerowicz z pieskiem lub bez, i gdy uznała, że teren jest bezpieczny, uchyliła boczne drzwi multipli i wypuściła mnie na zewnątrz, wcześniej mocno ściskając za rękę.

– To zamiast kopa na rozpęd, bo tu warunków nie ma – roześmiała się.

– Dam radę – powtórzyłem, wcale nie będąc tego taki pewny.

Otworzyłem furtkę bez problemu, zostawiłem klucz w umówionym miejscu, zatrzasnąłem furtkę i szybko podszedłem do wejścia. Nacisnąłem klamkę i delikatnie sprawdziłem drzwi. Rzeczywiście nie były zamknięte. Energicznie je pchnąłem i jednym susem zbliżyłem się do alarmu. Z duszą na ramieniu, oczekując, że w każdej chwili może zawyć syrena, wcisnąłem zero jeden zero pięć.

Uff, co za ulga. Zadziałało. Czerwona dioda zgasła i zapaliła się zielona. „System OK” – poinformował mnie komputer na kontrolce.

– Jestem w środku. Wszystko gra – wyszeptałem do Ziuty przez mikrofon przyczepiony klipsem do kołnierza kurtki. – Agrafki przejęte – oznajmiłem konspiracyjnym slangiem, trochę na wyrost, bo dopiero teraz spakowałem szpilki do plecaka i od razu, żeby mieć wolne ręce, założyłem go na plecy.

To była najłatwiejsza część roboty. Teraz musiałem jeszcze pozbierać moje kamerki. Najbardziej martwiłem się o tę w sypialni Loli. Przecież nie uda mi się jej stamtąd wypłoszyć. Jedyne nadzieje, że przy tej ilości alkoholu, którą wypijała, albo zaraz zaśnie, albo zupełnie urwie jej się film. Postanowiłem trochę poczekać i zostawić najtrudniejszą część pracy na koniec. Im więcej procentów dostanie się do krwiobiegu Loli, tym większa szansa, że mi się uda.

Z kamerką w holu na fikusie poradziłem sobie bez najmniejszych problemów. Przez przeszklone drzwi wejściowe wpadało sporo światła z zewnętrznej lampy, nie musiałem więc nawet używać latarki, a po kamerę wystarczyło sięgnąć ręką.

Z kamerką na żyrandolu w salonie poszło mi o wiele gorzej. Kiedy ją zakładałem, miałem do dyspozycji drabinę. Wydawało mi się, że będę mógł zdjąć urządzenie, stojąc na krześle, ale jak przyszło co do czego, okazało się, że zabrakło mi jakichś dziesięciu centymetrów. Nie wspominając już, że w słabym świetle latarki trudno mi było wyłowić kulkę kamery spośród listków i różyczek.

– Szit! – zakląłem w duchu i zacząłem intensywnie poszukiwać przedmiotu, którego mógłbym użyć, aby sobie pomóc, kiedy w słuchawce usłyszałem ostrzegawczy głos Józefiny: – Bondek podchodzi do furtki. Dziesięć metrów.

Zdążyłem tylko odstawić krzesło do stołu w jadalni, gdy znowu usłyszałem Ziutę:

– Otwiera furtkę. Zaraz wejdzie do domu.

Nie było czasu się zastanawiać. Pierwszym miejscem schronienia, które przyszło mi do głowy, był schowek pod schodami. Jakoś zdołałem się tam wślizgnąć, między odkurzacz a szczotki, i dosłownie w ostatniej chwili przymknąć za sobą wahadłowe drzwiczki.

– Wchodzi – usłyszałem głos Ziuty i w tym momencie uświadomiłem sobie, że nie zdążyłem włączyć alarmu. Szit!!!

Rozdział 50

Jak na razie wszystko przebiegało zgodnie z planem. Lola zadzwoniła do Jakuba Bondka o dwudziestej drugiej czterdzieści, żeby miał dobry pretekst do opuszczenia domu. Choć tak naprawdę po dzisiejszej sprzeczce z żoną Jakub nie musiał się specjalnie tłumaczyć, dlaczego wychodzi w nocy. Hanka zamknęła się w sypialni i zupełnie męża ignorowała. Wskoczyła tylko na chwilę do Żabki na dole, przyniosła sobie chipsy i piwo i nawet mu nie zaproponowała kufelka. Bondek jednak postanowił zachować się tak jak zwykle.

– Mam pilne wezwanie z pracy! – krzyknął w kierunku zamkniętej sypialni. – Nie wiem, kiedy wrócę!

Nie doczekał się żadnego odzewu, więc po prostu ubrał się w czarną sportową kurtkę, na głowę włożył bejsbolówkę, również w czarnym kolorze, na dłonie naciągnął czarne rękawiczki z miękkiej skórki i wyszedł. Do pracy zwykle chodził w płaszczu, ale dziś wieczorem ważne było to, żeby wyglądał tak jak Misiek.

Wsiadł do mercedesa i ruszył w kierunku domu Loli. Zaparkował specjalnie dwie przecznice dalej, żeby przypadkiem nikt z sąsiadów nie zapamiętał jego rzucającego się w oczy wypasionego modelu SLK. Wtedy Lola zadzwoniła po raz drugi. To był sygnał, że może zaczynać.

Naciągnął bejsbolówkę głęboko na czoło i wysiadł z auta. Mniej więcej trzystumetrowy dystans dzielący go od domu Loli przebył szybkim marszem. Może nawet za szybkim, bo kiedy dotarł wreszcie przed willę, dostał mocnej zadyszki. Zanim podszedł do furtki, rozejrzał się uważnie. Pusto. Można wchodzić.

Otworzył furtkę własnym kluczem, wyławiając najmniejszy z całego pęku, i podszedł do domu. Drzwi miały być otwarte, bo czasu na akcję było mało, a Bondek mimo usilnych starań nie potrafił się nauczyć, który klucz jest od którego zamka i w jakiej kolejności się je otwiera.

Uspokoił oddech, co zabrało mu kilka następnych sekund, nacisnął klamkę i wszedł do środka.

Natychmiast podszedł do panelu sterującego alarmu i wprowadził kod odbezpieczający. To była pierwsza rzecz, którą musiał wykonać po wejściu do domu.

Następnie wyjął klucze z kieszeni i na wszelki wypadek jeszcze raz przetarł je swoją bluzą dresową, chociaż zrobił to już wcześniej dwa razy. Zgodnie z umową rzucił je na podłogę tuż przy drzwiach.

Ale zaraz, wyłączył przecież alarm, więc co mu tutaj pika? Popatrzył na panel oniemiały. Czas do wyjścia: minuta dwadzieścia. Jakiego wyjścia? Był przekonany, że alarm będzie włączony. Tak się zaaferował tym, że musi

natychmiast go wyłączyć, a tu proszę – niechcący go uruchomił! To znaczy, że nie był włączony. Co się dzieje? Rozejrzył się spanikowany. Czas do wyjścia: minuta dziesięć. To znaczy, że za minutę z hakiem syrena zacznie wyć. Spokojnie, tylko spokojnie. Miał wyłączyć alarm, zamiast tego go włączył, więc teraz znowu go wyłączy i nie będzie problemu. Wprowadził ponownie tę samą kombinację cyfr. „System OK”. Alarm ucichł.

Bondek odetchnął, ale po chwili znów poddał się panice. Ale o co chodzi? Czyżby Lola o czymś tak ważnym zapomniała? Lola? To niemożliwe. Coś szło nie tak, jak się umawiali. Zdecydowanie nie tak.

W następnej kolejności miał zgarnąć szpilki, które powinny stać na wycieracze tak, żeby nie dało się ich nie zauważyć. Tymczasem szpilek nie było. Nie tylko na wycieracze, lecz także w ogóle w zasięgu wzroku.

Bondkowi przemknęło przez myśl, że to nie Misiek, ale on miał być kozłem ofiarnym w knowaniach Loli, lecz po sekundzie odrzucił ten pomysł. Lola nie miała w tym przecież żadnego interesu, a nie należała do osób, które zrobiłyby coś bezinteresownie. Chyba żeby...? Trzeba to po prostu wyjaśnić. Teraz. Zanim przyjdzie Misiek.

Bondek nie mógł zapalić światła, żeby nie zdradzić swojej obecności w domu, więc dojdzie do schodów, dopóki wzrok nie przyzwyczaił się do ciemności, zajęło mu kilkanaście sekund. Wejście na górę było łatwiejsze, wystarczyło trzymać się poręczy. Korytarz na piętrze doświetlała uliczna latarnia, więc Bondek bez trudu skierował się do sypialni Loli. Tam już nie bawił się w konspirację, tylko zapalił światło. W końcu mogła to zrobić sama Lola.

– Lola, gdzie są szpilki? – zapytał bez wstępów.

Leżąca w pościeli Lola niechętnie otworzyła oczy i zaraz je zamknęła, oślepiona światłem.

– Jakie szpilki? – spytała znużonym głosem. Ewidentnie wypita w nadmiarze whisky zaczęła już wywierać wpływ na jej organizm.

– Lola! – Bondek chwycił ją za ramiona, podciągnął na łóżku, oparł o wezłowie i doprowadził do pozycji siedzącej. – Gdzie są szpilki?

Ponieważ Lola spojrzała na niego przez chwilę baranim wzrokiem, a potem znów zamknęła oczy, Bondek, niewiele się namyślając, uderzył ją otwartą dłonią najpierw w jeden policzek, potem w drugi.

– Co jest? – oburzyła się Lola.

– To ja się pytam, co jest. Gdzie są szpilki?

– No przecież na wycieracze, miałeś je zabrać – odparła Lola już trochę przytomniej.

– Nie ma ich tam.

– Już je zabrałeś?

– Lola, dlaczego nie włączyłaś alarmu?

Lola popatrzyła na niego jak na wariata, więc Jakub chwycił ją za ramiona i potrząsnął. Spowodowało to tylko ten efekt, że Lola zamachnęła się ręką i zrzuciła Bondkowi czapkę z głowy. Nie było rady. Należało ją doprowadzić do przytomności bardziej drastycznymi metodami. Ściągnął z niej kołdrę, zsunął jej nogi z łóżka tak, by stopy opierały się o podłogę, objął jej kibić, podciągnął w górę i z wielkim trudem ustawił w pozycji pionowej. Dawno nie widział Loli w tak powabnym anturazie, do tego opadło ramiączko jej koszulki, odsłaniając pierś, więc wyglądała naprawdę kusząco. W innej sytuacji na pewno wykorzystałby taką okazję, ale tym razem okoliczności zdecydowanie nie sprzyjały figlom we dwoje.

– Lola, musisz zaraz wyrzygać to, co wypijaś. Ktoś ukradł twoje szpilki.

To ostatnie zdanie otrzeźwiło chyba Lolę bardziej niż perspektywa spędzenia reszty wieczoru z głową w klozecie. Wyprostowała się, zaczerpnęła głęboko powietrza i rozstawiła stopy, by pewniej stanąć na nogach. Opór materii był jednak zbyt duży. Zachwiała się i tylko mocne ramiona Bondka uratowały ją przed upadkiem.

I wtedy nastąpiło kolejne zdarzenie, które również nie zostało przewidziane w ich planie.

Rozdział 51

Siedzieliście kiedyś w schowku pod schodami? „Tak, wiele razy, w dzieciństwie, w czasie zabawy w chowanego”, „Nie, nigdy, ale Harry Potter nawet kiedyś mieszkał w takim miejscu” – wybierzcie odpowiedź, która wam bardziej pasuje.

Ja właśnie w kompletnych ciemnościach siedziałem w schowku pod schodami i miałem wrażenie, że biorę udział w jakiejś cholernej zabawie w chowanego.

Wszystkie czynności wykonane od wejścia do domu zajęły Bondkowi nie więcej niż dwie minuty, ale mnie wydawało się, że są to dwie najdłuższe minuty w moim życiu. Podobno tuż przed śmiercią przelatuje człowiekowi przed oczyma cały jego życiorys. Właśnie coś takiego mnie się przytrafiło. Najpierw szybkie obrazy: Lola jako moja dziewczyna śpiewająca w naszym zespole rockowym, Lola jako moja kochająca żona, Lola jako oszustka, która okrada mnie ze wszystkiego. Potem Londyn. Tu zatrzymałem się na dłużej. Jest jeszcze jeden epizod z mojego życia, o którym powinniście wiedzieć.

Przez pierwsze dwa lata po rozstaniu z Danką kobiety w ogóle dla mnie nie istniały. Przez następne dwa, owszem, zacząłem przyjmować do wiadomości, że występują w przyrodzie, ale obchodziłem je wciąż szerokim łukiem. Potem zdarzało mi się nawet umawiać na randki, ale zwykle – najpóźniej po drugim spotkaniu – rejterowałem. Znajomi z pracy próbowali znaleźć mi dziewczynę na różne sposoby. Zapraszali na wspólne kolacje, wyjścia do kina, wypadki za miasto, lecz to była syzyfowa praca, więc nawet najwytrwalsze swatki dawały za wygraną. W końcu wszyscy uznali, że jestem gejem, tylko nie potrafię się do tego przyznać, a ja niczego nie prostowałem i przez jakiś czas miałem spokój. Tylko że w naszej knajpie zaczął pracować prawdziwy gej, który od razu mnie rozpracował, i wszystko się wydało.

I wtedy pojawiła się Halinka. Przyjechała do Londynu gdzieś tak z trzecią falą emigrantów, więc mimo tytułu magistra ekonomii udało jej się w naszej knajpie załapać jedynie na kelnerowanie. Halinka podobnie jak ja była po przejściach i to bardzo nas do siebie zbliżyło. Najpierw ona mi się wyplakała w rękaw, potem ja jej, aż w końcu doszliśmy do wniosku, że musimy zewrzeć szyki do walki z podłymi przedstawicielami i przedstawicielkami rodzaju ludzkiego, którzy nic, tylko wykorzystują i porzucają. Sojusz okazał się silny i tak zostaliśmy parą.

Halinka bardzo szybko doszła do wniosku, że w Deep Pan Pizza to ona jednak kariery nie robi. Innej pracy, zgodnej z wykształceniem, nie udało jej się zdobyć, choć szukała intensywnie. W tym czasie do Londynu przyjechał również

jej brat Mirek, próbujący wcześniej robić jakieś interesy w Ameryce Południowej, ale bez większych sukcesów. W Anglii bardziej mu się poszczęściło. W okolicznościach, których nigdy nie dane mi było poznać do końca, udało mu się bardzo szybko zarobić naprawdę konkretną sumę. Z jakichś powodów ta żyła złota była tylko jednorazowa. Mirek jednak zupełnie się tym nie przejął, ponieważ zdobyte pieniądze umożliwiły mu otworzenie własnego biznesu. Niemniej stwierdził, że nie będzie się wysługiwał Angolom, wraca do Polski i tam dopiero rozkręci złoty interes. Miała to być dojrzewalnia bananów. W końcu jakieś kontakty z tej Ameryki Południowej mu zostały. Swojej siostrze zaproponował w przyszłej firmie stanowisko dyrektora ekonomicznego, a ja miałem tam być menedżerem. Ponieważ przez całe moje dorosłe życie miałem się zawodów, których nigdy wcześniej nie wykonywałem, zgodziłem się bez wahania. Dowożenia pizzy już naprawdę miałem serdecznie dość, no i chciałem być razem z Halinką, która obiecywała, że w Warszawie zamieszkamy razem w jej mieszkaniu na Chomiczówce.

Gdyby Halinka dodała wcześniej, że w tym warszawskim mieszkaniu będziemy kwaterować razem z jej mamusią, pewnie bym się dwa razy zastanowił przed podjęciem decyzji, ale moja ukochana taktownie tę istotną informację przemilczała. Wracałem więc do rodzinnego kraju pełen dobrych chęci, nowej energii i wielkich nadziei.

Dojrzewalnia bananów działała już trzy miesiące i wydawało się, że prosperuje całkiem nieźle, czego nie mogłem powiedzieć o moich stosunkach z mamusią Halinki. Mamusia przełknęła z wielkim trudem, że zamieszkamy w jej czterech kątach razem, bez ślubu, ale fakt ten musiał spędzać sen z jej powiek niezwykle skutecznie, bo nie było dnia, żeby nam tego nie wypomniała. Każdy mój gest, każde słowo, każde zachowanie spotykały się z ostrą krytyką z jej strony, co doprowadzało mnie do szewskiej pasji, ale Halinka sprawiała wrażenie, jakby w ogóle tego nie zauważała. Moje nieśmiałe sugestie, aby wyprowadzić się od mamusi, były konsekwentnie ignorowane.

Tymczasem w dojrzewalnię bananów uderzył niespodziewany grom. Tuż obok, w tej samej podwarszawskiej wiosce koło Łomianek, podobną inwestycję, tylko trzy razy większą, otworzył największy z koncernów produkujących i sprzedających banany na świecie. Taki, którego stać było na reklamy w telewizji we wszystkich stacjach, w prajmtajmie. Ten sam, o którym głośno zrobiło się niedawno, kiedy się wydało, że dostarczał broń kolumbijskiej mafii. Żeby nas wykończyć, nie musieli wcale wyciągać kałasznikowów. Zabili nas cenami. Po tygodniu już nikt nie chciał od nas kupować.

Mirek nie poddał się tak łatwo. Wyprzedał wszystkie banany po jeszcze niższych cenach niż koncern, modułowe kontenery, w których dojrzewały, wydzierzawił producentowi jabłek i zaczął rozkręcać nowy biznes. Zwolnił

wszystkich pracowników oprócz Halinki i mnie. Cała podłoga opróżnionej z kontenerów hali została zastawiona pojemnikami z ziemią, z sufitu zaczęły zwisać dodatkowe, mocno grzejące specjalistyczne lampy, a ja z menedżera zostałem przekwalifikowany na ogrodnika. To miała być uprawa portobello, takich bardziej wyrafinowanych pieczarek. Wtedy jeszcze nikt tego w Polsce nie uprawiał, a ponieważ grzyby miały smakować prawie jak leśne i rosły przez cały rok, inwestycja była po prostu skazana na sukces.

Po kilku tygodniach bezowocnego wypatrywania brązowych kapeluszy zauważyłem, że z ziemi zaczęły kiełkować... zielone łodyżki. Mirek tłumaczył, że taki jest cykl produkcyjny, te roślinki to pożywka dla grzybów, które muszą mieć coś zielonego, z czym będą żyć w symbiozie. Po kolejnych tygodniach łodyżki miały już z pół metra wysokości, a grzybów dalej ani widu. Gdy roślinki podrosły o następne kilkanaście centymetrów i wykształciły bardzo charakterystyczne pięciopalczaste liście, nie miałem już żadnych wątpliwości, co wyrosło na naszej plantacji. Zapytałem Mirka, kiedy zamierzał mi o tym powiedzieć, czy może liczył, że nie odróżnię marihuany od grzybów. Tylko wzruszył ramionami. Halinka, okazało się, od początku była we wszystko wtajemniczona. Przekonywała mnie, że skoro z nimi konkurenci zagrali nieczysto, to oni też mają prawo zachować się w podobny sposób. Obiecała podzielić się ze mną swoim zyskiem po połowie.

Nie przekonała mnie niestety. A może powinna? Do dziś zastanawiam się, czy nie lepiej by było, gdybym jej wtedy uległ. Ale stało się, jak się stało, i nie żałuję. To już nie była ta sama Halinka, która kiedyś wypłakiwała mi się w rękaw. Rozstaliśmy się jednak w przyjaźni. Nie bez znaczenia był fakt, że nie domagałem się wypłaty zaległej pensji. I tak by nam się nie ułożyło. Halinka nigdy nie odcięłaby pępownicy. Ciekawe, czy zwierzyła się mamusi, jaki to nowy dochodowy interes prowadzą razem z bratem?

Dlaczego o tym wszystkim opowiadam? Pomyślałem o Halince, ponieważ skojarzyła mi się z Józefiną. Dziwne skojarzenie? Wcale nie. Obydwie na początku traktowałem jako dar opatrności. Znajomość z Halinką o mały włos nie zakończyła się katastrofą. Jak się zakończy moja znajomość z Józefiną?

Dopiero teraz dotarło do mnie, w co tak naprawdę się wpakowałem, i zacząłem się trząść. Tak, ze strachu, a co sobie myślicie? Siedziałem pod schodami jak złodziej, bo rzeczywiście byłem złodziejem – w moim plecaku tkwił łup wart milion funtów. Jeśli zostanę zdemaskowany, to koniec. Oczywiście sąd pewnie przyjmie jakieś okoliczności łagodzące, ale nie omieszka mi zafundować kilku lat życia na koszt państwa. Nie o takim jednak życiu bez trosk finansowych marzyłem.

Czy pomyślałem o tym, żeby już teraz uciec? Zabrać szpilki i zwiać na Karaiby? Tak. Wstyd się przyznać, ale tak. Przez jedną krótką chwilę. Lecz wtedy od razu przed moimi oczami pojawił się obraz Miśka i zaraz potem Agaty

spodziewającej się dziecka. Nie mogłem im tego zrobić.

Bondek wszedł właśnie na górę i pewnie wyjaśnienie z Lolą kilku rzeczy zajmie im trochę czasu. A ponieważ skrytka pod schodami miała też swoje zalety – choćby komplet szczotek, który w niej znalazłem – wybrałem jedną, najdłuższą, i wyczołgałem się ze schowka. Przełknąłem ślinę, jakby w ten sposób można było opanować strach, i starając się nie robić hałasu, spróbowałem dosięgnąć nią żyrandola. Owszem, udało się, ale kryształki zadzwoniły tak głośno, że w moich uszach zabrzmiało to jak syrena straży pożarnej. Zamarłem, nasłuchując sygnałów z góry.

Jednak nie, odległość była zbyt duża. Chyba mnie nie usłyszeli.

Podniosłem szczotkę ponownie, tym razem precyzyjniej kierując ją w miejsce, w którym wisiała kamerka. Mały zamach, lekkie szarpnięcie, kryształki dudniące jak dzwony i w końcu ciche pac! Skierowałem latarkę na podłogę. Szperające światełko punktowe odnalazło na parkiecie ciemną plamę. Jest! Zdążyłem schować kamerę do plecaka i ukryć się znów pod schodami, kiedy w słuchawce usłyszałem głos Ziuty:

- Jacek, możesz mówić?
- Tak – odpowiedziałem szeptem.
- Gdzie jesteś?
- Dobrze schowany.
- Znikł mi obraz z drugiej kamery. Czy to znaczy...?
- Tak.
- Dzięki Bogu! Jeszcze tylko jedna. Jacek... czy ty tam jesteś bezpieczny? Wiedziałem, do czego zmierza.
- Ziuta – uprzedziłem jej kolejne pytanie. – Realizujemy plan – oświadczyłem stanowczo. – Niezależnie od tego, czy jestem bezpieczny, czy nie.
- *Over.*

Rozdział 52

Hanka Bondek ustawiła swojego fiacika w takim miejscu, że mogła obserwować bezpiecznie wyjazd z garażu, a sama pozostawać praktycznie niezauważoną. Tego wieczoru wyszła do sklepu nie po to, żeby kupić piwo i chipsy, choć oczywiście był to bardzo dobry pretekst, ale żeby wyprowadzić swój samochód z garażu. Dzięki temu ruszy za Jakubem od razu i niepostrzeżenie. Zrobiła tak, chociaż wcześniej zdecydowała, że nie będzie przesadzać z konspiracją. Była przekonana, że jej mężowi do głowy by nie przyszło, że mogłaby go śledzić.

W ogóle całe to śledzenie w zasadzie było niepotrzebne. Mogłaby przecież pojechać prosto pod dom Loli i tam poczekać, ale ciągle nie dowierzała, że człowiek, z którym spędziła tyle lat pod jednym dachem, mógł brać udział w tak perfidnej farsie. A może jednak to wszystko było jakimś snem, a jej mąż rzeczywiście został w trybie nagłym wezwany do pracy? Po prostu chciała mieć pewność.

Kiedy Bondek skręcił w inną małą uliczkę, również odbijającą od Włodarzewskiej, ale spory kawałek od domu Loli, jeszcze mogło to wyglądać, że zmierza do pracy. Hanka nie wjechała za nim, tylko zatrzymała się u wylotu Włodarzewskiej, za furgonetką, która życzliwie zasłoniła jej auto. Wysiadła szybko, po czym wyszarpnęła z bagażnika swoją okazałą torbę. Gdy dobiegła do uliczki, mercedes jej męża właśnie parkował kilkadziesiąt metrów dalej. Kiedy zauważyła, że Jakub wysiada z auta i kieruje się w jej stronę, wpadła w panikę. Ale będzie obciach, jeśli ją zauważy! Na szczęście mąż szedł chodnikiem po drugiej stronie ulicy. Jedyne kryjówką, jaka Hance przyszła do głowy, znajdowała się za parkującym obok samochodem. Zdażyła przykucnąć naprawdę we właściwym momencie, bo Jakub, zanim skręcił w kierunku domu Loli, zaczął uważnie rozglądać się po okolicy.

Od tej chwili Hanka nie miała już żadnych wątpliwości, że wszystko to, co usłyszała od Józefiny, było prawdą i jej mąż właśnie zmierza do Loli w jak najbardziej nieuczciwym celu.

Zupełnie się nie spiesząc, ruszyła za nim. Wiedziała, że willa będzie pod obserwacją Józefiny, dlatego gdy dotarła na miejsce, rozejrzała się uważnie. Liczyła na jakieś dalsze wskazówki, zachęcenie do działania albo tylko słowa otuchy. Ale z wyjątkiem staruszka z pieskiem spacerującego w dalszej części uliczki przylegającej bezpośrednio do parku nie zauważyła nikogo. Nic to. Jak się powiedziało „A”...

Podeszła do furtki, schyliła się i wyjęła klucz ze schowka za kamieniem. Otworzyła furtkę i zgodnie z zaleceniem pozostawiła ją uchyloną, blokując tym

samym kamieniem, który służył za skrytkę, żeby przypadkiem się nie zamknęła.

Drzwi wejściowe były otwarte, więc bez problemów weszła do środka. Kłopoty zaczęły się później. Nie dość, że nie знаła domu i nie wiedziała, dokąd iść, to jeszcze, żeby nie zdradzić swojej obecności, nie mogła przecież zapalić światła. Po chwili jednak rozpoznała dobiegający gdzieś z góry baryton swojego męża. Ruszyła za głosem i po przejściu kilku metrów w ciemności odnalazła schody. Na piętrze w jednym z pokoi paliło się światło, które przesączało się również wąską strużką na schody, więc wejście na górę okazało się łatwiejsze, niż się spodziewała.

Zatrzymała się na półpiętrze. Wyjęła aparat fotograficzny z torby i przerzuciła ją skośnie przez ramię, żeby nie przeszkadzała. Sprawdziła jeszcze raz ustawienia lustrzanki, choć wcześniej zrobiła to już dwa razy. Lampa błyskowa na pewno włączona, czułość w porządku, ostrość ustawiona na tryb automatyczny. W końcu miały to być zdjęcia reporterskie. Ruszyła na palcach w kierunku światła z aparatem gotowym do strzału.

Oczywiście wiele spodziewała się po tej wyprawie, dlatego wzięła ze sobą aparat, ale obraz, który właśnie roztoczył się przed oczyma Hanki, przerósł wszelkie jej oczekiwania.

Nie będzie lepszego zdjęcia rozwodowego. Jej mąż obejmujący roznegliżowaną Lolę Marini! Teraz już niczego się nie wyprze.

Flesz zdążył błysnąć kilka razy, zanim Lola wrzasnęła przeraźliwie, odpychając od siebie Bondka i zakrywając twarz, a oszołomiony Jakub zorientował się, co się dzieje. Jego mina w momencie, gdy odkrył fotografa, zrekompensowała Hance wszelkie poniżenia i zniewagi. Pstryknęła jeszcze kilka fotek, które z jej punktu widzenia nie były już tak użyteczne jak poprzednie, aczkolwiek musiała przyznać, że naga pierś Loli Marini dla wielu stanowiła na pewno większą atrakcję.

– Myszko, co ty tutaj robisz? – wykrztusił wreszcie Bondek.

– To chyba widać. Fotografuję – odpowiedziała Hanka beztrąsko.

– Ale po co?

Hanka roześmiała się i schowała aparat do torby.

– Ile? – wtrąciła się Lola zdumiewająco przytomnie, zważywszy na okoliczności.

– No chyba z dziesięć zrobiłam.

– Ile chcesz za te zdjęcia?

– Ależ drobiazg, odbitki zrobię pani za darmo. – Hanka uśmiechnęła się uprzejmie.

– Ty kurrro! Oddaj mi te zdjęcia! – krzyknęła Lola, jedną ręką chwytając Hankę za włosy, a drugą sięgając po jej torbę.

Hanka – zupełnie trzeźwa – z łatwością uwolniła się od Loli, która ledwo trzymała się na nogach, nie mówiąc już o trzymaniu kogokolwiek.

– Oj, chyba zimno pani w tej koszulce – zatroskała się Hanka, uchylając się

przed prawym sierpowym zdesperowanej diwy.

– Lola, uspokój się! – Bondek chwycił ją za łokcie i usadził na łóżku. – Na pewno się dogadamy.

– Tak już lepiej. – Hanka uśmiechnęła się z aprobatą. – Od dawna czekam, żeby z tobą porozmawiać. Tylko może... niech ta pani coś na siebie włoży. Chętnie pomogę.

Ruszyła bez pytania w kierunku drzwi, za którymi, jak przypuszczała, musiała się mieścić garderoba. Bynajmniej nie kierowała nią troska o Lolę, chciała po prostu zobaczyć na własne oczy, jak wygląda to miejsce bałwochwalczo opisywane na wszystkich portalach modowych.

Pomieszczenie okazało się o wiele większe niż sama sypialnia. Wszystkie ściany od podłogi po sufit obstawione były piętrowymi regałami z drążkami, na których wisiały kilometry ubrań, prawie wszystkie w odcieniach różu. Po obu stronach okna, zasłoniętego szczelnie czarną, nieprzepuszczającą światła roletą, stały dwa gigantyczne stojaki na buty. Rzeczywiście, musiało ich być ze dwieście par. Imelda Marcos, skórkowana.

– Nie waż się niczego tu dotykać! – Warknięcie Loli powstrzymało Hanę przed sięgnięciem po pierwszą z brzegu bluzkę. – Wynocha stąd. Sama potrafię się ubrać.

Hanka nie zamierzała polemizować.

Rozdział 53

Ziuta siedziała na poduszce w bagażniku własnego samochodu i zastanawiała się, co właściwie tutaj robi. Co ją podkusiło, żeby wdepnąć w taką aferę, i to jeszcze na własne życzenie? Oczywiście potrafiła prześledzić motywy swojego postępowania. Powód główny był natury altruistycznej. Należało pomóc młodemu zagubionemu człowiekowi, zwłaszcza że inaczej również inne osoby, bardzo jej bliskie, mogłyby mieć duże kłopoty. A więc ratowała Jacka, Miśka i Agatę. Ale kto to widział, żeby w ten sposób? I tu pojawiał się powód drugi, zupełnie prywatny, a nawet – jeśli by mu się głębiej przyjrzeć – egoistyczny.

Życie Józefiny było spokojne, bez większych przygód. Wszystko w nim zawsze znajdowało się na swoim miejscu, porządnie poukładane. Żadnych wyskoków, żadnych zdrad, wszystko zgodnie z prawem, tak żeby nie ranić innych ludzi. Józefina nie tęskniła za innym życiem, była zadowolona z tego, co ma, ale zawsze siedział w niej jakiś chochlik, który kusił, by choć raz zrobić coś szalonego, coś zupełnie do niej niepodobnego, coś, co sprawi, że zwykłe dni nabiorą barw.

Do tej pory zawsze jakoś dusiła go w sobie, skutecznie pacyfikowała, ale od kiedy Jacek Sparowski opowiedział jej swoją historię, chochlik zaczął wyrywać się z taką siłą, że nie mogła go opanować. To znaczy mogłaby – gdyby chciała. Jednak tym razem zadecydowała, że jej czas nadszedł. Teraz albo nigdy. Opracowała plan, który Jacek uznał za genialny, ale który genialny wcale nie był. Tylko ona знаła jego słabe strony. Wiedziała, że wystarczy drobiazg, żeby coś poszło nie tak, a wtedy konsekwencje mogą być oplakane. Wiedziała, mimo to podjęła tę grę i w dodatku przekonała kilka osób do udziału w tej szalonej akcji, tłumacząc, że ryzyka praktycznie nie ma.

Dopiero kiedy Jacek wszedł do domu Loli, a ona została sama w bagażniku, zaczęła naprawdę się bać. Nie o siebie – o Jacka. Chociaż po prawdzie o siebie też. Tylko dlatego zdecydowała się na tę operację, ponieważ obiecała sobie, że gdyby cokolwiek poszło nie tak, weźmie całą winę na siebie, a wszystkich innych będzie chronić. Mimo to nie mogła pozbyć się wyrzutów sumienia. Jej plan daleki był od doskonałości. To jasne, że każdy plan ma swoje słabe strony, nie wszystko da się przewidzieć. Ona jednak dokładnie wiedziała, gdzie w ich wypadku jest najsłabsze ogniwo, i nie dość, że ukryła ten fakt przed Jackiem, to jeszcze zapewniła go, iż wszystko jest pod kontrolą.

Zgodnie z harmonogramem Jacek miał zabrać szpilki, usunąć kamerki i wyjść, zanim zjawi się Bondek. Ziuta jednak wiedziała, że to niemożliwe. Ostatnia kamera, w sypialni, była praktycznie nie do ruszenia, dopóki Lola znajdowała się w środku. Jacek mógł ją zabrać dopiero, gdy Lola zaśnie. Biorąc pod uwagę ogrom spożytego alkoholu, sen na pewno będzie miała mocny, ale

więzało się to z o wiele dłuższym pobytem w jej domu. Taki scenariusz również brali pod uwagę, lecz Ziuta, aby niepotrzebnie nie straszyć Jacka, przedstawiała ten wariant jako rezerwowy. A teraz wariant rezerwowy właśnie się realizował.

– Jacek, możesz mówić? – odezwała się do mikrofonu.

– Tak – usłyszała.

– Jesteś bezpieczny?

– Tak.

– W tym samym miejscu?

– Tak, pod schodami.

– Pamiętasz, co dalej?

– Punkt piętnasty.

– Jacek... Nie muszę tego robić. Po prostu zdejmiesz kamerę, jak Lola zaśnie, i to wszystko.

– Nie. Idziemy zgodnie z planem. Nie znajdą mnie tu.

– A jak znajdą?

– Nie będą szukać.

– Dobrze. Rozłączam się.

Józefina wyjęła słuchawkę z ucha i zakończyła połączenie z Jackiem. Z kieszeni wydobyła kartkę z przygotowanym wcześniej numerem i zadzwoniła.

– Policja? – zapytała piskliwym głosikiem, chociaż mężczyzna, który odebrał telefon, już na wstępie poinformował, że dodzwoniła się do komisariatu na Ochocie.

– Tak, policja.

– Petronela Lubiążek się nazywam – odezwała się Ziuta cała roztrzęsiona. – Właśnie z pieskiem wyszłam za potrzebą, to znaczy za jego potrzebą, no i widzę, że tu jakiś drab się włamuje... Przez okno wchodzi.

– Do pani domu?

– Nie, obok.

– To skąd pani wie, że się włamuje? Może właściciel zapomniał kluczy? – odparł policjant, niezbyt przychylnie nastawiony do tego typu relacji życzliwych sąsiadów. – Albo pani domu ma romantycznego kochanka?

– Tak? W kominiarce na głowie? – oburzyła się Ziuta w imieniu Petroneli. – Właściciela tu nie ma. Tu tylko jedna kobieta mieszka. Sama! Lola Marini się nazywa. A jak ten milioner do niej przyjeżdża, to też nie taki romantyczny, żeby wchodzić przez okno.

Na hasło „Lola Marini” w głowie policjanta musiał zadzwieć dzwonek, bo natychmiast przestał dyskutować z Petronelą.

– Gdzie to włamanie?

– Kontrabasowa sześć.

– Przyjąłem.

- Tylko proszę zapisać, że to ja dzwoniłam.
- Oczywiście – odpowiedział policjant, odkładając natychmiast słuchawkę i ani myśląc o zanotowaniu nazwiska. Co innego mu było teraz w głowie.

Rozdział 54

Adek Lewicki i Tadek Drozd jeździli wspólnie w patrolu już od pięciu lat i byli praktycznie nierozłączni. Adek miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu, był łyсы i chudy jak szczapa. Tadek był od niego o półtorej głowy niższy i pulchny jak krakowski obwarzanek. Na posterunku wszyscy mówili na nich Flip i Flap. Nikt się nie zastanawiał, który z nich miał być Flipem, a który Flapem, bo przecież oryginalna para bohaterów przedwojennych hollywoodzkich filmów prezentowała się zgoła odmiennie – jeden był mały i chudy, a drugi duży i gruby – ale zdaje się, że nikomu to nie przeszkadzało. Ich ksywa, podobnie jak oni, funkcjonowała tylko w duecie.

Dyspozytor od dyżurów dobrze wiedział, że rozdzielanie tej dwójki nie ma najmniejszego sensu, bo gdy pracowali razem, działali jak najlepszy szwajcarski zegarek, a każdy z osobna albo w konfiguracji z innymi policjantami stawał się równie użyteczny jak trzydziestoletnia łada oddana do naprawy w warsztacie, w którym nie mieli żadnych części zapasowych. W życiu prywatnym również byli parą. Stanowiło to tajemnicę poliszyneła. Wszyscy na komisariacie o tym wiedzieli, ale wszyscy też udawali, że nie mają o tym bladego pojęcia. Działo się tak za sprawą samych zainteresowanych, którzy nie afiszowali się ze swoim uczuciem, nie dawali pretekstów do docinków, nie chodzili na Parady Równości ani nie żądali prawa do adopcji czy prawa przedszkolaków płci męskiej do chodzenia w sukienkach, gdyby miały taką ochotę. Na dobrą sprawę mogli być przecież tylko najlepszymi przyjaciółmi (i przy okazji nimi byli), którzy dzielą mieszkanie i prowadzą wspólne gospodarstwo domowe, bo tak jest taniej i można jednym samochodem dojeżdżać do pracy. Wszystkim było wygodnie pielęgnować taką wersję. Policja to nie miejsce dla wojowników o równouprawnienie – takie było credo komendanta. Adek i Tadek dobrze to rozumieli i dlatego nie mieli z położonym większych kłopotów.

Kłopoty jednak mogły się zacząć już za chwilę. Kiedy otrzymali od komendanta polecenie, żeby z większą starannością patrolować okolice domu Loli Marini, zwyczajnie je zignorowali. Pojechali tam raz dla świętego spokoju wczoraj wieczorem. Cisza, pustki, na furtce tabliczka Bondek Security. Jeśli Lola miała własną ochronę, to po co jej jeszcze policja? Na kilometr pachniało to prywatą, a na dodatek nie lubili baby. Powiedziała kiedyś publicznie, zupełnie poważnie, że nie cierpi dzieci, kotów, psów i kwiatów. O ile Słonimskiemu mogli jeszcze taką deklarację wybaczyć, bo przecież Lola sama tego nie wymyśliła, tylko ściągnęła bezwstydnie od poety, nie podając źródła, o tyle tej rozhisteryzowanej gwiazduli już nie. Sami mieli w domu i psa, i kota i uwielbiali obdarowywać się kwiatami. Dlatego kiedy przed chwilą otrzymali meldunek, że ktoś się włamuje do domu

Loli, zaczęli denerwować się o wiele bardziej niż standardowo. Natychmiast włączyli koguta i w kilka minut dojechali na ulicę Kontrabasową. Koguta wyciszyli kilka przecznic wcześniej, żeby nie spłoszyć włamywacza. Z wyłączonymi światłami mijania podjechali pod dom Loli i zatrzymali radiowóz na podejździe. Od razu zauważyli, że furтка jest uchylona, co już na dzień dobry było podejrzane.

– Ubezpieczaj mnie – rzucił Adek, wychodząc z samochodu i wyciągając z kabury broń.

Tadek wyskoczył tuż za nim, również dosięgając broni i czujnie rozglądając się dookoła.

Wydawało się, że na zewnątrz nikogo nie ma. Skradając się, podeszli do wejścia. Adek nacisnął delikatnie klamkę i drzwi ustąpiły. Pchnął je mocno i wpadł do środka, nadeptując na pęk kluczy i ledwo utrzymując równowagę.

– Policja! Ręce do góry! – krzyknął, wycelowując broń w ciemność korytarza.

Tadek pierwszy zauważył przy drzwiach kontakt i zapalił światło. W zasięgu wzroku nikogo nie było. Podniósł leżące na podłodze klucze i odłożył na komódkę.

– Policja! – powtórzył Adek, ruszając w głąb domu. – Ręce do góry! Jesteśmy uzbrojeni.

Z góry dobiegł kobiecy krzyk. Adek natychmiast ruszył w jego kierunku, spodziewając się najgorszego, czyli artystki terroryzowanej przez włamywacza. Wpadł do jedyne go na górze oświetlonego pomieszczenia z bronią gotową do strzału. W pół sekundy ocenił sytuację i wycelował pistolet w jedyne go mężczyznę w tym pokoju.

– Ręce do góry! – zarządził, a Jakub Bondek posłusznie wykonał polecenie.

– Aaa! – krzyknęła Lola i też podniosła ręce, widząc, że do sypialni wpada drugi policjant z wycelowanym tym razem w nią pistoletem.

Jedynie Hanka zachowała zimną krew. Tylko dla niej widok policjantów nie był zaskoczeniem. Miała przecież zgodnie z poleceniem Józefiny zatrzymać swego męża u Loli dopóty, dopóki nie zjawi się właśnie policja.

– Ja już właściwie wychodziłam – oznajmiła grzecznie, nawet nie zamierzając podnosić rąk. – Państwo pozwolą, że się pożegnám.

Policjanci popatrzyli najpierw na siebie, a potem na zebrane tu towarzystwo. Żadna ze zlustrowanych uważnie osób nie zdawała się stwarzać zagrożenia i nie wyglądała na włamywacza, więc opuścili pistolety. Hanka skinęła w ich kierunku głową na pożegnanie i ruszyła w stronę drzwi.

– Zaraz! – Tadek zastąpił jej drogę. – A co pani tutaj robi?

– Bardzo dobre pytanie – uśmiechnęła się Hanka. – Właśnie przyłapałam męża na zdradzie. Z tą panią. – Wskazała na Lolę. – A pan?

– Ja... – Tadek spojrzał na Adka spłoszony i się zająknął. – Ja... nie, nigdy nie przyłapałam męża na zdradzie.

– Phi... – prychnęła Lola pogardliwie, a Adek w rewanżu popatrzył na nią wzrokiem bazyliuszka.

– Pytałam, co pan tutaj robi. Panowie, znaczy – wyjaśniła Hanka precyzyjniej, ignorując wymianę spojrzeń, która oczywiście nie uszła jej uwagi.

Lola dopiero teraz opuściła trzymane w górze ręce i od razu przejęła inicjatywę:

– No właśnie, co panowie robią w moim domu? – zapytała ostro.

– Mieliliśmy zgłoszenie, że na Kontrabasową sześć ktoś się włamuje. To tutaj, prawda?

Lola jęknęła i spojrzała na Bondka z niedowierzaniem.

– Kto dzwonił?

– Sąsiadka. Wyszła na spacer z psem i widziała mężczyznę w kominiarce wchodzącego przez okno.

Lola znowu jęknęła.

– Czy ja już mogę iść? – wtrąciła się Hanka.

– Kiedy widziała? – drażyła Lola.

– Jakies dziesięć minut temu.

– To on tu wciąż może być! Łapcie go!

– Czyli potwierdza pani włamanie?

– Nie wiem, to sąsiadka zauważyła włamywacza, nie ja. Widzieliście kogoś?

Hanka i Bondek pokręcili głowami.

– A czy w ogóle coś zginęło?

– No właśnie. – Lola popatrzyła na Bondka z przenikliwością wyroczeni delfickiej. – Czy coś zginęło?

– Chyba powinnaś sprawdzić – zasugerował Jakub.

– Liczę, że mi pomożesz.

Lola chwyciła Bondka za rękę i wyprowadziła z sypialni.

– Czy ja już mogę iść? – zapytała Hanka nieśmiało.

– Proszę na razie zostać – powstrzymał ją Tadek. – Jest pani ważnym świadkiem.

– Ale czego?

No właśnie, czego? Tadek rozejrzał się bezradnie.

– Sami jeszcze nie wiemy – odpowiedział szczerze.

Hanka ze zrozumieniem pokiwała głową.

– Ten gość na dole to rzeczywiście pani mąż? – zainteresował się Tadek z wyraźną empatią.

– Niestety. Ale mam nadzieję, że już niedługo.

– I oni rzeczywiście... tu... razem? – Tadek wskazał na łóżko.

Hanka wyjęła z torby aparat fotograficzny i wyszukała najlepsze ujęcie Loli w objęciach Bondka, to z gołym cymem. Adek i Tadek pochylili się nad

wyświetlaczem.

- O kurde – podsumowali zgodnie.
- No – zgodziła się Hanka.
- A skąd pani wiedziała, że on tu jest? – drażył Tadek.
- Śledziłam go. – Hanka spuściła wzrok, dobrze udając zawstydzenie.
- A jak pani tu weszła? – tym razem dociekliwością wykazał się Adek.
- Zaraz – oburzyła się Hanka. – Czy ja jestem przesłuchiwana?
- Tylko jesteśmy ciekawi – wyjaśnił Tadek przekonująco, Adek zaś mu przytaknął energicznym kiwnięciem głowy.

– Weszłam tu, zdaje się, tak samo jak panowie. – Hanka uśmiechnęła się do policjantów.

Adek i Tadek wymienili porozumiewawcze spojrzenia i również się uśmiechnęli. Sprytna babka.

- Nie zdziwiła się pani, że furka i drzwi były otwarte?
- Owszem, ale pomyślałam sobie, że kiedyś trzeba mieć szczęście. A co panowie sobie wtedy pomyśleli?

„Że wdepnęliśmy w niezłe gówno” – chciał powiedzieć Adek, ale się nie odważył.

Rozdział 55

– Gdzie są szpilki? – wycedziła Lola teatralnym szeptem, stojąc w holu przy wyjściu i wskazując palcem pustą wycieraczkę.

– Próbowałem ci powiedzieć, że jak przyszedłem, już ich nie było – usiłował wyjaśnić Bondek.

– To gdzie się podziały?

– To ja się pytam, gdzie się podziały. Miałaś je tu zostawić! Tu! – Tym razem to Bondek wycelował palec w wycieraczkę.

– Bondek, nie irytuj mnie! Tu właśnie zostawiłam szpilki, żebyś stąd je zabrał!

– Jak miałem je zabrać, skoro ich tu nie było?!

– A to co? – Lola zauważyła pęk kluczy na szafce z butami. – Ty durniu, miałeś je położyć na podłodze!

– Zostawiłem je na podłodze! – oburzył się Bondek. – Ci policjanci musieli przełożyć.

– Sranci, nie policjanci. A w ogóle to skąd się tutaj wzięli? Bo w życiu nie uwierzę, że sąsiadka dzwoniła. Więc kto?

– Nie patrz tak na mnie! No przecież nie ja! Przez cały czas byłem z tobą.

– Tylko dlaczego ta pieprzona niby-sąsiadka wezwała policję takim samym tekstem, jaki my ustaliliśmy? Skąd wiedziała? To ty miałeś zadzwonić, że widzisz włamywacza, ale dopiero jak Misiek będzie w środku.

– Może rzeczywiście go widziała?

– Bzdura. Jakby ktoś tu widział, że mi wynoszą telewizor przez okno, to jeszcze by im pomógł dzwigać. A właśnie! – Lola doznała nagłego olśnienia. – Gdzie jest Misiek?

– Jeszcze jego nam tutaj brakowało.

– Dlaczego nie przyszedł?

– Skąd mam wiedzieć? To ty z nim rozmawiałaś.

– Mówiłeś, że przyjdzie, bo zawsze można na nim polegać.

– Bo można.

– Więc dlaczego go nie ma?

W odpowiedzi Bondek mógł tylko wzruszyć ramionami.

– Spieprzyłeś robotę!

– Ja spieprzyłem? A kto miał włączyć alarm i nie włączył? Ja?

– Włączyłam alarm!

– To dlaczego był wyłączony?

– Jak to: wyłączony?

– Lola, od pół godziny usiłuję ci powiedzieć, że jak tu przyszedłem, alarm

był wyłączony i nie było szpilek. Ktoś je musiał wcześniej zwinąć.

– Wiem nawet kto. Ty!

– Lola, naprawdę to nie ja. Nigdy bym cię tak nie wystawił. Za dobrze cię znam.

– I mam ci uwierzyć?! Ty nawet jak mówisz, to robisz błędy ortograficzne!

Policjantom znudziło się widać czekanie na właścicielkę domu w jej sypialni, bo od strony schodów zaczęły dobiegać ich coraz bardziej nasilające się głosy. Kiedy cała grupa znalazła się w holu na dole, ich oczom ukazał się dość niezwykły widok. Lola waliła właśnie Bondka z całej siły otwartą dłonią w twarz, a potem zaczęła okładać jego pierś pięściami.

– Ty bucu, ty! – krzyczała. – Ty podły zdrajco!

Bondek chwycił jej dłonie w nadgarstkach, żeby obronić się przed ciosami, ale determinacja Loli musiała być wielka, bo udało jej się wyrwać ręce z uścisku i teraz łoila już Bondka pięściami po głowie.

– Proszę pani, tak nie można – grzecznie zwrócił jej uwagę Adek, co jednak nie spotkało się z żadną reakcją z jej strony. Nadal grzmociła Bondka pięściami, chociaż ten zdążył już przynajmniej osłonić twarz ramieniem. – Proszę pani! Proszę natychmiast przestać! – Teraz Adek zareagował bardziej stanowczo.

Reakcja była taka jak poprzednio.

Zirytowany Adek, przywykły do tego, że jego polecenia zazwyczaj są respektowane, podszedł do Loli i położył dłoń na jej ramieniu.

Tym razem reakcja była natychmiastowa, ale bynajmniej nie taka, jakiej policjant by się spodziewał. Lola przestała wprawdzie na moment okładać Bondka, lecz prawą ręką wzięła szeroki zamach i walnęła Adka pięścią w nos. Policjant zachwiał się i zaczął osuwać na podłogę.

– Adziu!

Tadek natychmiast rzucił się w jego kierunku. Zdołał podtrzymać partnera za ramiona i usadzić na stojącej w przedpokoju ławeczce.

– Nic ci nie jest?

Adek otrząsnął się z chwilowego zamroczenia i otworzył oczy. Dotknął palcami nosa, sprawdzając, czy jest wciąż na swoim miejscu. Chyba był, chociaż bolało jak diabli. No i krwawił.

Hanka, nie namyślając się, wyjęła ze swojej torby opakowanie chusteczek higienicznych, pochyliła się nad Adkiem i wytarła krwawiący nos. Z drugiej chusteczki zrobiła tampon, przytknęła do broczącego krwią miejsca i pokazała Adkowi, gdzie ma przytrzymać. Pozostałe chusteczki wręczyła Tadekowi, a ten popatrzył na nią z wdzięcznością.

Lola tymczasem nawet na swoją ofiarę nie spojrzała, bo wciąż wyżywała się na Bondku, który przezornie nie atakował, tylko się osłaniał, wychodząc z założenia, że w tej sytuacji uderzenie kobiety, nawet w samoobronie, nie

przyniosłoby mu żadnej chwały.

W Adku natomiast wszystko się zagotowało. Co za wredna baba! Dosyć tego! Nie pozwoli sobie na takie traktowanie. Ktoś wreszcie musi wydać wojnę tym koszmarnym celebrytom, którym wydaje się, że wszystko im wolno.

– Stój! Policja! – krzyknął, odrzucił na podłogę tampon i podniósł się z ławki, zachowując jednak bezpieczny dystans.

Dopiero teraz Lola na chwilę przystopowała. Opuściła ręce i odwróciła się w kierunku Adka. To wystarczyło, żeby ten zręcznym rutynowym ruchem założył jej kajdanki.

– Jest pani zatrzymana za czynną napaść na policjanta w trakcie wykonywania obowiązków służbowych.

– Co?

– Grozi za to kara od roku do dziesięciu lat więzienia.

– Co jest? Jaja sobie robisz? – Lola potrząsnęła łańcuchem.

– Ma pani oczywiście prawo do adwokata, ale o tej porze nie radziłbym do nikogo dzwonić.

– Zdejmij mi te obrączki, i to już.

– Oczywiście. Jak tylko znajdzie się pani w areszcie.

– Adziu, ty znowu krwawisz – zatroskał się Tadek i tym razem sam otarł krew z twarzy partnera.

– Chłopcze, tu zaszła pomyłka – spróbowała innej linii obrony Lola. – To ja tu jestem ofiarą. Zostałam okradziona we własnym domu.

– A więc jednak coś zginęło – zainteresował się Tadek, kiedy Adek zajmował się tamowaniem krwi z nosa.

– Tak, baranie! Moje diamentowe szpilki warte sześć milionów złotych!

Adek i Tadek zamarli na chwilę, a potem zgodnie gwizdnęli.

– Czyli zgłasza pani włamanie. – Adek odrzucił na podłogę kolejny tampon i wrócił do gry.

– Zgłaszam kradzież, nie włamanie – uściśliła Lola. – Ten pan – wskazała na Bondka – nie musiał się włamywać. Miał klucze.

– Co??? – zdziwił się Bondek.

– Czyli oskarża pani tego pana o kradzież? – upewnił się Adek.

– Tak, właśnie! Nikt inny nie mógł tego zrobić. To jego macie aresztować.

– Nie ma problemu.

Tadek wyjął swoje kajdanki i zapiął je na nadgarstkach kompletnie zaskoczonego Bondka.

– To jakiś absurd – ten zaprotestował jednak od razu. – A gdzie dowody? Nie możecie mnie aresztować tylko dlatego, że jakaś... – Długo szukał obraźliwego epitetu na określenie Loli, ale widać żaden nie wydał mu się wystarczająco mocny, bo inaczej dokończył wypowiedź: – Że ktoś mnie oskarża

o coś, czego nie popełniłem.

– Ma pan rację, nie możemy pana aresztować. Ale możemy pana zatrzymać do wyjaśnienia. I właśnie to robimy.

Lola obserwowała całe zajście z nieskrywaną satysfakcją. Wyciągnęła przed siebie ręce skute kajdankami.

– No! To teraz możecie mi to zdjąć – zakomenderowała.

– To niemożliwe, proszę pani. Nie możemy przewozić osób agresywnych bez środków zapobiegawczych.

– Dokąd mnie chcecie przewozić?

– Czy nie wspomniałem już kilka razy, że do aresztu?

– Nie żartujecie, prawda?

– Zupełnie nie.

Dopiero teraz Lola uświadomiła sobie grozę sytuacji. No przecież nie może tak być, żeby ona, słynna Lola Marini, miała spędzić noc na dołku. Jeśli dziennikarze się dowiedzą...

– To niemożliwe. Nie możecie tego zrobić.

– Ma pani immunitet?

– Nie.

– To możemy.

– Za to, że rozkwaśiłam panu nos? No niech pan pokaże. Przecież już się zagoił.

– Nieprawda, jeszcze krwawi. – Tadek podał Adkowi kolejną chusteczkę.

– Zapłacę panu za najlepszego chirurga, tylko niech się już pan nie wygłupia i mnie puści.

– Słyszałeś, Tadziu? Próba przekupstwa. Pani też słyszała? – zwrócił się do Hanki, a ta ochoczo pokiwała głową. – To będzie kolejny paragraf. Przynieść pani szczoteczkę do zębów?

Rozdział 56

Wezwanie policji do domu Loli było bardzo ważnym elementem planu Józefiny. Pretekst z włamywaczem, wymyślony zresztą przez samą Lolę, okazał się doskonały – zareagowali błyskawicznie. O to właśnie chodziło – żeby nie dać Loli i Bondkowi czasu na opracowanie nowych spójnych zeznań, które przecież musiały drastycznie się zmienić ze względu na okoliczności. Na pewno zorientowali się, że szpilek nie ma, ale dopóki na spokojnie nie przeanalizują, co właściwie się wydarzyło, będą przede wszystkim podejrzewać siebie nawzajem. Na razie ich plan zamienił się w wielki chaos, potęgowany jeszcze przybyciem Hanki. Do rana na pewno znaleźliby jakieś sprytne wyjście, obmyślili wspólną wersję, którą można by sprzedać policji i towarzystwu ubezpieczeniowemu. Teraz musieli iść na żywioł i nie ma siły, żeby się w swoich zeznaniach nie pogubili.

Ziuta liczyła na to, że nawet jeśli Lola nie zgłosi od razu policjantom kradzieży, tylko poczeka z tym do czasu, aż opracuje wiarygodną wersję zdarzeń, to i tak zauważą, że tej nocy w tym domu działo się coś osobliwego. Ale mogli też, niestety, zauważyć Jacka.

Ponieważ pobyt policjantów w domu Loli się przedłużał, Ziutę zaczęły ogarniać coraz większe obawy o Jacka. Kusiło ją, żeby do niego zadzwonić, ale nie, przecież nawet cicha jak brzęczenie komara wibracja telefonu mogłaby go zdradzić. Jeśli sam nie dzwoni, to widać nie może.

Siedziała więc, obgryzając paznokcie, w bagażniku multipli i obserwowała dom Loli, używając przemyślnej konstrukcji z lusterek pomysłu Jacka. Drzwi wreszcie się otworzyły. Najpierw wyszła Hanka, a zaraz za nią jeden z policjantów. Potem Lola w różowym futrze i Jakub Bondek, trzymając obie ręce z przodu. Kiedy drugi policjant wyszedł na zewnątrz i podał Loli klucze, ta podniosła dłonie razem do góry i zamknęła po kolei każdy z trzech zamków. Dopiero gdy wszyscy podeszli do radiowozu, Ziuta zorientowała się, że Bondek i Lola mieli ręce skute kajdankami!

Jeden z policjantów otworzył tylne drzwi radiowozu. Lola, wyraźnie obrażona na cały świat, wsiadła pierwsza.

– Może pani zrobi miejsce koledze? – zaproponował policjant.

Lola ani drgnęła. Policjant trzasnął więc drzwiami i obszedł samochód, by otworzyć tylne drzwi z drugiej strony. Jakub Bondek doskonale wykorzystał okazję. Szybko zerknął za plecy. Drugi policjant zajęty był spisywaniem danych Hanki z dowodu, więc Bondek sięgnął do kieszeni spodni, z trudem wy dostał telefon i schylił się nieznacznie, by – nie robiąc hałasu – upuścić go na ziemię. Właśnie przesuwając nogą, by umieścić ją pod kołem auta, kiedy usłyszał głos żony:

– Jakubie, chyba wypadł ci telefon.

Bondek się wyprostował. Drugi policjant podniósł wzrok znad kartki.

– Jaki telefon? – udał niewiniątko Bondek.

– Ten pod samochodem – wyjaśniła Hanka i podeszła do męża. Podniosła telefon z chodnika i podała Jakubowi.

– Ale to nie mój telefon – zarzekł się Bondek.

– Pewnie nie zauważyłeś, jak ci wypadł z kieszeni.

– To nie pana telefon? – zainteresował się policjant, który otwierał drzwi.

– Nie mój, skąd. Ja mam iphone'a – pochwalił się.

– Nie szkodzi, sprawdzimy.

Policjant otworzył bagażnik, włożył rękawiczki i wyjął foliową torebkę, w której umieścił znaleziony aparat. Schował pakunek do bagażnika, trzasnął pokrywą i niespecjalnie grzecznie, wskazując puste siedzenie palcem, zaprosił Bondka, aby wsiadł wreszcie do samochodu. Drugi policjant żegnał się z Hanką, dopisując do danych jej numer telefonu.

– Obawiam się, że zostanie pani wezwana na przesłuchanie.

– Ja nie mam się czego obawiać – uśmiechnęła się Hanka.

Policjant zasalutował jej na koniec, usiadł za kierownicą i po chwili radiowóz odjechał. Hanka pomachała im na pożegnanie.

Rozdział 57

Z mojej skrytki pod schodami słyszałem wszystko, co działo się na dole, zarówno kłótnię Loli z Bondkiem, jak i późniejszą akcję policjantów.

Lola, wychodząc z domu, oczywiście włączyła alarm, słychać było charakterystyczne pikanie. To nie była dobra wiadomość. Miałem tylko minutę trzydzieści, żeby go rozbroić. Tymczasem Loli samo zamykanie drzwi z kajdankami na rękach zajęło jakieś czterdzieści sekund, a przy tym w ogóle jej się do tego aresztu nie spieszyło. Przez kolejne dziesięć sekund słyszałem, jak Bondek znowu oprotestowuje swoje zatrzymanie, aż wreszcie odgłosy zaczęły się oddalać.

Nasłuchiwałem dźwięku zamykanej furtki cały w nerwach. W końcu dotarł do mnie cichy, ale wyraźny metaliczny trzask. Po kolejnych dziesięciu sekundach odważyłem się, żeby uchylić drzwiczki schowka. Alarm pikał nieubłaganie. Wyczołgałem się ze schowka i na kolanach dotarłem do panelu sterowania. Pamiętałem, że przeszklenie wejściowych drzwi zaczyna się mniej więcej od wysokości metra i dlatego nie chciałem się wychylać. Wprawdzie w domu było ciemno, ale zewnętrzna lampa oświetlała nie tylko podwórko, lecz także fragment przedpokoju, więc gdyby ktoś spojrział w kierunku drzwi, mógł zauważyć w środku jakiś ruch. I wtedy w salonie zapaliło się światło. Zamarłem. Ktoś jest w domu? Dopiero po dłuższej chwili przypomniałem sobie, że Lola ma zainstalowany automatyczny system sterowania oświetleniem, kiedy nie ma jej w domu. Trochę mnie to uspokoiło, ale pikanie alarmu doprowadzało mnie już do szaleństwa.

Teraz, gdy byłem już pod samymi drzwiami, słyszałem wyraźnie, że na podjeździe toczy się jakaś rozmowa, chociaż nie mogłem rozpoznać słów. Musiałem jednak zaryzykować i wstać, żeby dosięgnąć przycisków alarmu, chociaż światło z salonu docierało obecnie również do przedpokoju i byłem widoczny jak na dłoni.

Zanim wcisnąłem kod, zauważyłem tylko na panelu komunikat: „Czas na wyjście: 2 sekundy” – i natychmiast przykucnąłem, przygotowując się na wszelki wypadek do awaryjnej ewakuacji. Zza drzwi dobiegł mnie jednak dźwięk zapalania silnika, a chwilę potem usłyszałem odgłos odjeżdżającego samochodu.

Odczekałem jeszcze jakąś minutę i przez ten czas częstotliwość bicia mojego serca przekraczała normę już zaledwie o jakieś pięćdziesiąt procent. Udało mi się przejść do pozycji pionowej chyba tylko dzięki adrenalinie.

Usunięcie ostatniej kamery dzięki wykorzystaniu patentu ze szczotką zajęło mi nie więcej niż dwie minuty. Włączyłem alarm i jak rasowy włamywacz wyszedłem przez okno balkonowe, starając się w miarę możliwości dobrze je docisnąć od zewnątrz. Furtka została zamknięta, więc wreszcie mogłem się wykazać skokiem przez płot.

Gdy dotarliśmy w końcu do mieszkania Józefiny, było już grubo po pierwszej.

Sytuacja nie mogła się dla nas rozegrać pomyślniej. Lola była przekonana, że to Bondek ją okradł. Bondek myślał, że to Lola go wystawiła. Do tego jeszcze oboje zatrzymani! Spokojnie, nie łudziliśmy się, że ten stan będzie trwał długo. Lola wyjdzie z aresztu, gdy tylko dodzwoni się do swojego adwokata, ale nocka na dołku na pewno będzie dla niej dużym przeżyciem. Bondek będzie miał gorzej, bo to Hanka ma notes z zamiarami na adwokatów, a ona raczej nie zechce z mężem współpracować. Może, wściekły na nią, chlapię na policji coś głupiego?

Tak czy inaczej, plan wykonaliśmy z nawiązką. Misiek nie wpadnie w kłopoty, bo nikt go nie będzie wiązał z tą sprawą, Bondek już został ukarany, a Lola straciła swój największy skarb. A do tego ten skarb tkwił w moim plecaku! Czy trzeba więcej?

Rozdział 58

Kiedy za Lolą Marini zamknęły się drzwi celi, marzyła tylko o jednym: jak najszybciej zasnąć.

Nie miała siły, żeby myśleć o czymkolwiek. Adrenalina już dawno opadła, a wypity w nadmiarze alkohol coraz bardziej dawał o sobie znać. Organizm ludzki sam wiedział, co dla niego jest w takich wypadkach najlepsze, i Lola nie zamierzała z tym walczyć, tylko grzecznie się podporządkować.

Chociaż tyle dobrego, że w celi oprócz Loli nie było nikogo. Świadcami jej upokorzenia były tylko trzy puste łóżka. Rzuciła się na pierwszą z brzegu pryczę, skrzywiła na szarawą, mocno wykrochmaloną, śmierdzącą środkami dezynfekcyjnymi pościel. Ściągnęła tylko z nóg botki Bally, które przez skrupulatnych policjantów zostały pozbawione sznurowadeł, i nawet przez chwilę nie myśląc o tym, żeby się przebrać w leżącą na stołku pasiastą piżamę, wyciągnęła się na łóżku i przyłożyła głowę do poduszki. Spać. A potem się zobaczy.

Obudziły ją pierwsze promienie wschodzącego słońca wpadające przez okienko znajdujące się tuż pod sufitem. Wystarczyło krótkie spojrzenie na kraty i Lola przypomniała sobie wszystkie wydarzenia minionej nocy. Odetchnęła z ulgą. Na szczęście nie urwał jej się film. Miała mocną głowę i potrafiła się kontrolować. Taką przygodę, że po balandze nie pamiętała niczego, co robiła poprzedniego dnia, przeżyła raz, może dwa razy. Ale wczorajsza sytuacja była wyjątkowo nieszablonowa. To, że tak dobrze pamiętała, co się działo w nocy, wydawało się zjawiskiem pozytywnym, lecz sam ciąg wydarzeń, który powoli, ale wyraźnie wylaniał się z jej pamięci, niestety nic optymistycznego w sobie nie miał. Trzeba było jednak jakoś z tym żyć.

Lola aż syknęła z bólu, gdy usiadła na łóżku i sięgnęła po leżący na podłodze but. Kac gigant dawał o sobie znać. Normalnie w takim przypadku wspomogłaby się końską dawką paracetamolu, ale w tych warunkach na wsparcie farmakologiczne nie mogła raczej liczyć.

Włożyła buty i weszła do prymitywnej łazienki. Z obrzydzeniem ukucnęła nad blaszanym sedesem, starając się go nie dotknąć, i szybko załatwiła potrzebę. Dopiero wtedy zauważyła, że nie ma papieru toaletowego. Na spluczce stała tylko tekturowa wkładka po wykończonej rolce. Albo się tu komuś nie chce pracować, albo to forma szykan – skonstatowała, po czym nie deliberując dłużej nad brakiem podstawowych środków higieny, umyła się nad blaszaną umywalką. Tym razem również bardzo się starała, by jej ręce w miarę możliwości stykały się tylko z mydłem i wodą. Właściwie to nawet cieszyła się, że w tym przybytku nie było lustra. Widok własnej twarzy po przejściach, bez makijażu, mógł ją tylko rozwścieczyć. Oplukała dokładnie ręce z mydła, zrobiła z dłoni koszycek,

podstawiła je pod strumień wody i zaczęła łapczywie pić. Woda smakowała okropnie, ale dobrze, że przynajmniej była.

Gdy ugasiła pragnienie, strzepnęła z dłoni drobinki wody i osuszyła ręce gwałtownymi ruchami. Nawet przez myśl jej nie przeszło, żeby skorzystać z leżącego na umywalce mikroskopijnego ręcznika. Kiedy wreszcie ablucje uznała za zakończone, wróciła do celi, usiadła na łóżku i mimo rozrywającego głowę bólu zaczęła rozmyślać.

Co z tego, że pamiętała dokładnie wczorajszy rozwój wypadków, kiedy tak naprawdę nie wiedziała, co właściwie w jej domu się wydarzyło? Pewne było tylko jedno: szpilki zginęły, a jej przemyślny plan kompletnie nie wypalił. Ale dlaczego? Co takiego się stało?

Wczoraj Lola była absolutnie przekonana, że to sprawka Bondka. Tylko on wiedział o wszystkim. Czy ktoś jeszcze mógł wiedzieć, że drzwi do jej domu będą otwarte, a szpilki mają leżeć na wycieraczce? Niemożliwe. Przypadkowy przechodzień? Wykluczone. A więc tylko Bondek mógł ukraść szpilki albo przekazać informację jakiemuś współnikowi. Tylko po co? Oczywiście lepiej mieć sześć milionów niż milion, ale Lola знаła Bondka na tyle dobrze, by wiedzieć, że owszem, jest zachłanny, ale jest też tchórzem. No i nie myśli zbyt szybko. Chyba nie odważyłby się jej oszukać. Na wymyślenie własnego planu był za głupi. Więc co tam, do diabła, się stało?!

Lola była wściekła, głównie na siebie. Chyba pierwszy raz w życiu miała poczucie, że kompletnie straciła kontrolę nad sytuacją, i bardzo jej się to nie podobało. Nie znaczyło to jednak wcale, że zamierzała się poddać. Należało po prostu dostosować plan do nowych okoliczności. Niestety, popełniła błąd i nie przygotowała wcześniej planu B. Teraz musi się szczególnie wykazać i może mieć pretensje tylko do siebie.

Po pierwsze – szpilki zniknęły. Nie wiadomo, kto i jakim cudem je ukradł, ale raczej się nie odnajdą. Przepadły i, nie ma wyjścia, należy się z tym pogodzić. Gdy tylko tak pomyślała, znowu załała ją fala żółci. Nie, nigdy się z tym nie pogodzi, ale przyjmuje ten fakt do wiadomości. Tyle wystarczy.

Po drugie – szpilki zginęły, ale są dobrze ubezpieczone. Tylko jeżeli oskarży Bondka o kradzież, to on zaraz wygada, jaki był jej plan, i nie dość, że z ubezpieczenia nic nie dostanie, to jeszcze wybuchnie skandal. Natychmiast trzeba będzie wycofać oskarżenie, przeprosić Bondka.

Szpilki mógł ukraść każdy. Okazja czyni złodzieja. Cała Polska wiedziała, że będzie je miała dziś w domu. Sąsiadka podobno widziała włamywacza. Niech się policja wykaże i go złapie. I to jest najlepsze wyjście. Żeby tylko Bondek nie zaczął sypać.

Lola tak się ucieszyła z tego, co właśnie wymyśliła, że od razu przestała ją boleć głowa. Na krótką chwilę jednak. Zaraz potem przypomniała sobie, dlaczego

właściwie tu siedzi. Nie ma rady, trzeba będzie zadzwonić do tego zdiercy, adwokata.

Rozdział 59

Lola Marini wiedziała, jak robić dobre wrażenie nawet bez makijażu i po nocy spędzonej w areszcie. Kiedy już o ósmej rano została zaproszona do gabinetu komisarza Kazimierza Rurki – który najpierw grzecznie się przedstawił, informując, że od dawna jest jej fanem, i nisko się schylając, ucałował podaną dłoń, a potem zapytał, czy wolałaby napić się kawy czy herbaty – wiedziała, że jej sprawy mogą iść tylko w dobrym kierunku.

Komisarz Kazimierz Rurka był przystojnym szpakowatym mężczyzną koło pięćdziesiątki, o wypielęgnowanych dłoniach i równiutko przyciętej bródce. Był nienagannie ubrany w tweedową marynarkę w ciemnozieloną jodełkę, czarny golf z cieniutkiej wełny szetlandzkiej i pachniał Euphorią Calvina Kleina. Poprosił Lolę, by zechciała spocząć na jednym z dwóch foteli mieszczących się w głębi gabinetu, z dala od biurka. Na stoliku między fotelami stał półmisek z drożdżówkami, których zapach wskazywał, że całkiem niedawno zostały wyjęte z pieca, obok zaś leżały talerzyk śniadaniowy, widelczyk i serwetki. Miła odmiana po celi więziennej.

– Panie inspektorze... – zaczęła Lola, zanim jeszcze dobrze usiadła w fotelu.

– Komisarzu – uściślił Rurka.

– Panie komisarzu, ja strasznie przepraszam – dziś Lola postanowiła grać rolę uległej i skruszonej od samego rana. – Naprawdę, tak mi przykro, że uderzyłam tamtego policjanta. Ale to było zupełnie niechcący.

– Ależ oczywiście, szanowna pani – natychmiast zgodził się komisarz. – Jestem przekonany, że to było jakieś nieporozumienie.

– Naprawdę? – Lola zdziwiła się, że poszło tak łatwo.

– Właściwie to nie pani, ale ten policjant powinien zostać ukarany za przekroczenie swoich uprawnień.

– Ależ nie! – zaprotestowała Lola wspaniałomyślnie. – Nie chciałabym, żeby tamten pan miał jakieś kłopoty. Wykonywał tylko swoje obowiązki.

– Ale pani w ogóle nie powinno tu być! Gdybyśmy wszystkich chcieli wsadzać do aresztu za to, że w nieodpowiednim czasie machnęli w nieodpowiednim kierunku ręką...!

– Jak to dobrze, że pan to rozumie. – Lola przyłożyła rękę do piersi, w głębi duszy oddychając z ulgą i dziękując niebiosom, że postawiły na jej drodze właśnie Kazimierza Rurkę.

– Ja to rozumiem i pani to rozumie, ale... – Komisarz zawiesił głos.

– Zawsze musi być jakieś ale – westchnęła Lola. – Jakie tym razem?

– Aspirant Lewicki już złożył skargę.

– Może ja mogłabym go przeprosić? – zadeklarowała się Lola natychmiast.

– Tak, to zdecydowanie nie zaszkodzi. Ale myślę, że bardziej pomoże prośba przełożonego – uśmiechnął się Rurka, wstał z fotela i podszedł do stojącego na biurku telefonu. – Ale może skosztuje pani świeżej bułeczki? Dobrze mamy z tą piekarnią na dole.

Lola porządnie już zgłodniała, więc chętnie sięgnęła po drożdżówkę i od razu wbiła w nią zęby. Rurka wybrał numer wewnętrzny.

– Pani Marzenko, pani mi ściągnie tutaj aspiranta Lewickiego. Niech poczeka w pokoju sto dwa. I może niech ten drugi też przyjdzie. Tak, Drozd. – Komisarz odłożył słuchawkę i powrócił na fotel obok Loli. – Spróbuję go przekonać do wycofania skargi – wyjaśnił.

– Jest pan aniołem – rozpromieniła się Lola.

– Robię tylko to, co uważam za słuszne.

– Ale, ale... – Lola przełknęła kolejny kęs drożdżówki. – Zdaje się, że dzisiaj mamy dzień wycofywania skarg.

– Tak? – zaciekawiał się Rurka.

– Bo, wie pan, ja wczoraj zrobiłam jeszcze jedno straszne głupstwo... Ale czy ja mogę panu zaufać? – zapytała drżącym głosem.

– Oczywiście.

– Muszę pana prosić o wielką dyskrecję. To sprawa osobista. Nie chciałabym, aby coś, o czym panu opowiem, przedostało się na zewnątrz.

– Może pani na mnie polegać jak na Zawiszy.

– Otóż oskarżyłam wczoraj mojego... przyjaciela o kradzież.

– Chodzi o te słynne szpilki?

Lola, wzdychając, skinęła głową.

– To była taka moja głupia zemsta – wyjaśniła. – Pokłóciliśmy się. Ale to nie on. On tego nie mógł zrobić.

– Nie mógł czy nie zrobił?

– Nie zrobił... – Lola się zawahała. – Nie mógł. Sama nie wiem. Nie, to na pewno nie on. Wie pan, my kiedyś... mieliśmy romans. Potem zerwaliśmy, to znaczy ja zerwałam, bo poznałam kogoś innego, a jemu trudno się było z tym pogodzić. Ale wydawało się, że czas zaleczył rany. Zostaliśmy przyjaciółmi. Teraz, kiedy zmieniałam w domu system alarmowy i firmę ochroniarską, bo w poprzedniej pracowały same pataluchy, postanowiłam zwrócić się z tym do zaufanej osoby. Bondek od lat zawodowo zajmuje się ochroną, więc wybór wydawał się prosty. Tymczasem Jakub odebrał to jako chęć odnowienia znajomości. Zgodziłam się, by przyszedł do mnie tej nocy, aby mu wyjaśnić, że jestem związana z kimś innym i nie interesują mnie romanse na boku... Kiedy to właśnie usiłowałam mu powiedzieć, zjawiła się jego żona i zaczęła robić zdjęcia. Byłam wściekła i rzuciłam na niego to głupie oskarżenie. Ale chciałabym je wycofać. Nie przypuszczałam, że zostanie aresztowany. Nie mogę krzywdzić

niewinnego człowieka... – Lola przełknęła ostatni kęs drożdżówki, a w jej oczach jak na zawołanie pojawiły się łzy.

– Proszę się nie denerwować... – Komisarz podał Loli serwetkę ze stolika. – W każdej chwili może pani wycofać skargę.

– Czyli Jakub będzie wolny?

– Gdy tylko przejdziemy przez wszystkie niezbędne procedury.

– Czyli?

– Najpierw potrzebny będzie pani papier i długopis.

Komisarz wstał, aby przynieść z biurka niezbędne akcesoria, kiedy zadzwonił telefon.

– Panie komisarzu, właśnie przyszli – poinformowała pani Marzenka.

– Już idę – rzucił Rurka do słuchawki, zgarniając ze stołu kartkę papieru i długopis. – Proszę napisać, że odwołuje pani oskarżenie i wycofuje skargę. A ja postaram się, żeby to samo zrobił aspirant Lewicki. Rozumiem, że zgłoszenie kradzieży szpilek jest aktualne?

– Oczywiście! Tak.

– To musi pani wypełnić jeszcze coś takiego.

Komisarz podał Loli odpowiedni formularz.

Rozdział 60

Do dziś pamiętam to fantastyczne uczucie, tę chwilę triumfu, kiedy w środku nocy po powrocie z udanej akcji wyjmowałem z plecaka diamentowe szpilki i stawiałem je na stole w kuchni Józefiny. Błyszczały w świetle żarówki jak lampki na choince.

Emocje powoli opadały. Ziuta wyjęła z szafki butelkę wiśniówki i naląła nam po kieliszku.

– Chyba trzeba to oblać.

– Koniecznie.

Sączyliśmy wiśniówkę małymi łyčzkami i zachwycaliśmy się naszą zdobyczą w milczeniu.

– Myślisz, że uda im się z tego wyłgać? – spytałem w końcu.

– Na pewno. – Ziuta smętnie pokiwała głową. – Pierwszy lepszy adwokat natychmiast wyciągnie Lolę z aresztu i zaraz oskarży policję o nadużycie władzy.

– Nie o to pytam.

– Z Bondkiem też się dogadają. Ustalą wspólną wersję. Swój swego zawsze będzie kryć.

– I pewnie jeszcze Lola wyszarpie pieniądze z ubezpieczenia.

– No tak. Szpilki przecież zaginęły, a w końcu od tego były ubezpieczone.

– Więc i tak zgarnie parę milionów i wyjdzie na swoje.

– Jacuniu, nie bądź taki zachłanny – zażartowała Ziuta. – My za to mamy szpilki. Też są trochę warte.

– Nic nie powinna dostać! – Uderzyłem pięścią w stół. – To ją powinni oskarżyć o kradzież. To ona chciała je ukraść i do tego zrobić Miśka. I zrobiłaby to, gdybyśmy jej nie przeszkodzili.

– A skąd niby policja ma o tym wiedzieć?

– Skąd?

Aż podskoczyłem na krześle, doznawszy nagłego olśnienia. Wyszarpnąłem z plecaka laptop i otworzyłem go. Bębniąc palcami w stół, czekałem, aż system się załaduje.

– Jacek... – Józefina pokręciła głową zrezygnowana, dobrze się domyślając, o co mi chodzi. – Te nagrania nie mają żadnej wartości. Są nielegalne, nie możemy się do nich przyznać i żaden sąd nie uwzględni tego jako dowodu.

– Nie szkodzi.

Otworzyłem plik z nagraniem z pierwszej kamery w przedpokoju. Lola jak w telewizji. Dzwoni z szarej noki, nie odzywa się. Zdejmuje szpilki i kładzie na wycieracze. Nie zamyka drzwi, odchodzi. Teraz kamera z sypialni. Lola dzwoni do Miśka, potem do Bondka, rozkłada nokię na części i wyrzuca przez okno. Upija

się. I tyle wystarczy.

– To musi trafić na komendę, zanim wypuszczą Lolę – zarządziłem. – Sprytny śledczy będzie wiedział, jak to wykorzystać.

– Ciekawe, w jakiej firmie się ubezpieczyła – zainteresowała się Ziuta. – Oni chyba jeszcze chętniej by to sobie obejrzeni.

Wpisałem w Google: „Lola Marini szpilki ubezpieczenie”. Od razu wyskoczyła mi strona United Insurances. Oczywiście, że się pochwalili taką umową.

– Tylko... – zmartwiłem się. – Jak my im to dostarczymy, żeby nie było na nas?

– Już ty się o to, synku, nie martw. – Ziuta uśmiechnęła się tajemniczo.

Przyniosła swój laptop i go uruchomiła.

– Randkowałam kiedyś z oficerem BOR-u – oznajmiła. – No co? Samotna jestem – wyjaśniła, widząc moją głupią minę. – Przez internet, na Sympatii. Od razu się pochwalił, gdzie pracuje, podał kilka szczegółów, a ja go sprawdziłam. Mam trochę znajomości tu i tam. Rzeczywiście był borowikiem. Ja trochę zaszalałam, podałam, że mam trzydzieści pięć lat, i wysłałam zdjęcie amerykańskiej modelki. No, bo tak w ogóle fajnie mi się z nim czatowało, a przecież ze starą babą by nie gadał – usprawiedliwiła się. – No i wtedy założyłam sobie konto e-mailowe na Karaibach.

– I co?

– Nic – westchnęła Ziuta. – No przecież nie mogłam się z nim umówić na prawdziwą randkę. Kieliszeczek wiśniówki to chyba nie będzie jeszcze stan wskazujący na spożycie? – zmieniła nagle temat.

Popatrzyłem na nią zaskoczony.

– No przecież nie możemy tego maila wysłać z domu. Zaraz nas namierzą.

– To skąd wyślemy?

– Najlepiej spod domu Loli. Użyjemy telefonu na kartę jako routera. Tylko wcześniej musimy założyć na tych Karaibach nowe konto.

– Dlaczego na Karaibach?

– Bo tam ciepło. No dobrze, może być w Vanuatu. To co, potrafisz to zmontować czy mam to zrobić sama?

– Się robi...

Zasiadłem wygodnie przed laptopem i zacząłem montaż.

– Ale wiesz, że po takiej akcji twój komputer w zasadzie będzie się nadawał tylko do utylizacji...?

– Co? – Oderwałem wzrok od ekranu.

– To będzie dowód rzeczowy. Musimy się go pozbyć.

– Nie mogę.

– Masz tam coś cennego oprócz tych nagrań?

– Całe życie.
– To zapisz je na pendrive'a, a kompa do Wisły.
– Dlaczego do Wisły? Nie zgadzam się.
– No dobrze, do Jeziorka Szczęśliwickiego. Może jeszcze w tym roku nie wyschnie.

– A gdyby tak gdzieś go schować tymczasem? W jakiejś skrytce na dworcu na przykład? – zaproponowałem, bo jakoś tak żal mi się zrobiło zredukować swoje życie do rozmiarów pendrive'a.

– Też można. Dobry pomysł. A teraz nie gadaj tyle, pracuj.

Wziąłem się do montażu, ale nie zdążyłem nawet zrobić dwóch sklejek, gdy Ziuta znowu odwróciła moją uwagę od ekranu:

– Mam jeszcze jeden pomysł – oznajmiła i klasnęła w ręce, a potem aż zatarła je z zadowolenia. – Musimy tylko gdzieś zadzwonić. Ale też nie stąd. No, już ci nie przeszkadzam – dodała, widząc wyrzut w moich oczach. – Pogadamy po drodze. Na razie zrobię kawy. Musimy jakoś rozcieńczyć tę wiśniówkę.

Rozdział 61

Komisarz Kazimierz Rurka wcale nie musiał prosić aspiranta Lewickiego, żeby wycofał skargę na Lolę. Adek zrobił to sam, gdy tylko napisał raport z całego zajścia. Poczł wyrzuty sumienia; chyba jednak trochę przegiał z tym zatrzymaniem. Ale wtedy, w domu Loli, nie potrafił się oprzeć. Zaraz też, mimo późnej pory, zadzwonił do komisarza i wyjaśnił, co się wydarzyło, usprawiedliwiając motywy swojego postępowania.

Rurka pojawił się w pracy jak zwykle dużo wcześniej niż cała reszta załogi i pierwsze, co zrobił, to przeczytał raport Lewickiego. Adek uprzedził go, że ta sprawa ze szpilkami śmierdzi jak dwutygodniowy dorsz w koszu na śmieci, i niestety miał rację. Teraz, gdy Rurka usłyszał relację Loli, która brzmiała całkiem wiarygodnie, sytuacja mogłaby zacząć klarować się na jej korzyść. Mogłaby, gdyby Rurka nie był pedantem i nie wysłuchał w swojej karierze tak wielu wiarygodnych zeznań, które potem okazywały się wysane z palca. I gdyby nie pewien zadziwiający incydent.

Dziś nad ranem na ogólnodostępny adres komisariatu przyszedł dziwny mail zatytułowany „Lola Marini”, wysłany gdzieś z serwera na końcu świata. Sugestie w nim zawarte i załączone filmy stawiały Lolę w zupełnie innym świetle, niżby chciała, i w ogóle dawały dużo do myślenia, nie tylko na temat Loli. Skrupulatny umysł komisarza odnotował od razu, że przesłane materiały świadczą dobitnie o nieczystych knowaniach Loli, ale było też oczywiste, że nie mają żadnej wartości dowodowej. Dlatego komisarza zainteresowało coś zupełnie innego – kto i po co przesłał im te informacje. Po co? To proste. Ktoś bardzo Loli nie lubił. A kto? To też oczywiste – prawdziwy złodziej. Ale dlaczego tak się odkrywał? Przyznawał się w ten sposób, że miał dostęp do domu Loli? To było z tego wszystkiego najciekawsze.

Adek i Tadek, tym razem na żywo, zdawali komisarzowi relację z wydarzeń minionej nocy.

– To wcale nie wyglądało na sprzeczkę kochanków, szefie – zaczął Adek. – Ona waliła go tak, jakby rzeczywiście ukradł jej te szpilki.

– No i potem zresztą go oskarżyła – dodał Tadek.

– Właśnie wycofała oskarżenie – poinformował Rurka.

– To co, mamy go wypuścić?

– Nie tak szybko. Musimy sprawdzić jeszcze kilka rzeczy. Adek, zajmij się jego telefonem, tym, który chciał wyrzucić. Niech zdejmą odciski, sprawdzą połączenia. I załatw nakaz rewizji jego samochodu.

– Się robi. – Adek zsalutował i odmaszerował.

– Tadek, sprowadź mi tego Bondka do sto sześć, tam gdzie są te szklane

drzwi. Niech tam trochę podejrzewa. I zaraz potem wyciągnij z depozytu wszystkie rzeczy Loli. Tylko sam mi ich nie przynoś. Lepiej na razie nie drażnić gwiazdy. Poproś Marzenkę. Tylko o pokwitowaniu nie zapomnij.

Kiedy komisarz wrócił do Loli Marini, kończyła właśnie wypełniać zostawione jej formularze.

– Wszystko załatwione – oznajmił Rurka. – Jest pani wolna.

– Cudownie – ucieszyła się gwiazda.

– Jeszcze tylko to zgłoszenie kradzieży.

– Czy tak może być? – spytała Lola, podając komisarzowi kartkę.

– Bardzo dobrze – pochwalił Rurka, rzucając okiem na dokumenty. – Będę jeszcze miał do pani kilka pytań.

– Tak? – zaniepokoiła się Lola. – Ale nie potrzebuję adwokata? – spytała zalotnie.

– Skądże znowu. Chodzi o to, czy w ciągu ostatnich kilku dni ktoś nieznajomy panią odwiedzał.

– Nieznajomy? Nie. Tylko Henryk Mika, mój narzeczonny.

– Żadnego gazownika, hydraulika, świadków Jehowy?

– Nie, nie wpuszczam obcych ludzi do domu. Tylko z polecenia. Dlatego też zwróciłam się w sprawie alarmu do Bondka. Alarm zakładał w piątek osobiście jego wspólnik. I jakiś drugi gość, nie znam nazwiska. O, Boże! – przeraziła się nagle. – Ależ tak! Ja mu nawet zostawiłam klucze! Myśli pan, że to mogli być oni?!

– Wszystko sprawdzimy, szanowna pani. Każdy trop jest cenny.

– Znajdzie pan włamywacza?

– Będę się bardzo starał.

Rozległo się pukanie do drzwi i po zachęcającym „proszę” do gabinetu weszła pani Marzenka, niosąc różowe futro, torebkę w tym samym kolorze i drobiazgi Loli w niewielkiej kuwecie.

– Proszę łaskawie sprawdzić, czy wszystko się zgadza – poprosił komisarz.

– Mam do pana całkowite zaufanie – oświadczyła Lola i przerzuciła do torebki portfel, nawet go nie otwierając, oraz telefon, puderniczkę, szminkę, okulary i co tam jeszcze było. – Mam nadzieję, że nie zeskanowaliście kodów moich kart – dodała z przekąsem, pozwalając sobie wreszcie na swą codzienną złośliwość.

– Jeszcze raz przepraszam za przykrości, jakie panią spotkały. – Komisarz zdawał się nie zauważać zmiany tonu. – Z mojej strony mogę zaproponować w ramach przeprosin odwiezienie pani do domu.

– Radiowozem? Nie, dziękuję.

– Nieoznakowanym pojazdem operacyjnym.

– Chyba jednak wolę zamówić taksówkę.

– Jak pani sobie życzy. Ale i tak muszę wysłać do pani funkcjonariuszy, żeby zabezpieczyli ślady. Więc może jednak razem będzie wygodniej?

– Zgoda – westchnęła Lola.

– Pani Marzenko – komisarz zwrócił się do stojącej wciąż w gabinecie sekretarki, która nie mogła nie skorzystać z okazji, by pooglądać sobie gwiazdę na żywo. – Proszę o przyjście aspirantów Lewickiego i Drozda.

– Co? – oburzyła się Lola. Chciała jeszcze zapytać zgryźliwie, czy nie ma innych policjantów na tym posterunku, ale w porę ugryzła się w język. – Co za niespodzianka – dodała z uśmiechem zabarwionym nutą sarkazmu.

– To bardzo sumienni funkcjonariusze – wyjaśnił Rurka, prawidłowo odczytując intencje Loli – chociaż może odrobinę zbyt... emocjonalni. Ale już znają teren i wiedzą, o co chodzi. Zależy nam przecież na odnalezieniu pani cennej zguby, prawda?

– Oczywiście – odparła Lola, nawet nie siląc się na uśmiech.

– Zatem pozwoli pani, że teraz ją opuszczę. Obowiązki wzywają.

Komisarz Rurka całował właśnie na pożegnanie podaną mu dłoń, gdy w gabinecie pojawili się Flip i Flap.

– Zaopiekujcie się panią – rzucił Rurka, wychodząc z gabinetu, i ruszył prosto do pokoju sto sześć, gdzie polecił umieścić Bondka.

Rozdział 62

Jakub Bondek nie miał tyle szczęścia co Lola. Siedział w jednej celi z cuchnącym, przyłapanym na kradzieży wódki w monopolowym pijaczkim, który przez pół nocy rozpaczał, że tak głupio wpadł, i z jakimś wytatuowanym łysym typem, który na szczęście się nie odzywał, ale za to porozumiewał się przy pomocy pięści. Przesunął pijaczka prawym sierpowym, kiedy ten nieopatrznie przysiadł na jego pryczy. Bondek postanowił pod żadnym pozorem nie wchodzić mu w drogę.

Miał znacznie trudniejsze warunki do przemyśleń, ale udało mu się ustalić kilka pewników.

Po pierwsze – wściekłość Loli nie mogła być udawana. To znaczy, że rzeczywiście zostawiła szpilki na wycieraczce, tak jak się umawiali. Ale szpilki zniknęły... Wynikał z tego wniosek drugi: ktoś je musiał ukraść przed Bondkiem. Próba odpowiedzi na pytania, kto, jak i dlaczego? – przekraczała jego możliwości intelektualne. Wniosek trzeci okazał się zatrważający: i Lola, i on zostali przez kogoś perfidnie oszukani. Czy było jakieś światełko w tunelu? Lola na pewno dojdzie do takich samych wniosków i coś wymyśli, żeby ich ratować. Owszem, była furiatką, czego dała dowód wczoraj wieczorem, ale jak sobie wszystko poukłada i się uspokoi, nie będzie przecież trwać przy oskarżaniu Bondka, bo wtedy on może w każdej chwili wyciągnąć asa z rękawa i opowiedzieć, jak to naprawdę było.

Ale do tego nie dojdzie – to jasne, że muszą siebie nawzajem kryć. To, że Hanka ich przyłapała, co oczywiście na pewno będzie miało przykre dla niego konsekwencje, było w tej pokręconej sytuacji zjawiskiem pozytywnym. Romans to dobry pretekst do wizyty u Loli tej nocy. Lepiej się przyznać do kochanki niż do oszustwa i kradzieży. A w ogóle najlepiej się do niczego nie przyznawać. We wszystkich filmach widział przecież, że oskarżony nie musi na nic odpowiadać bez obecności adwokata. Inna sprawa, że to były głównie amerykańskie filmy. Ale co tam, będzie milczał i tyle.

Siedział już ponad pół godziny w pokoju przesłuchań, a przynajmniej tak mu się wydawało, że to takie miejsce, bo w pomieszczeniu stały tylko biurko i dwa krzesła, nic więcej, kiedy drzwi się wreszcie otworzyły i do środka wszedł wyelegantowany mężczyzna w średnim wieku.

– Dzień dobry. Jestem komisarz Kazimierz Rurka – przedstawił się od razu.

Bondek z rezerwą uściśnął podaną mu dłoń.

– Bondek. Jakub Bondek – odpowiedział niechętnie.

– Przepraszam, że musiał pan tak długo czekać.

– Nic nie powiem bez obecności adwokata – wyrecytował Bondek znaną z filmów formułkę.

– Oj, ale po co panu adwokat? – skrzywił się Rurka. – Przecież pan nie jest ani oskarżony, ani podejrzany.

– To co ja tu niby robię? I dlaczego zostałem aresztowany?

– Nie aresztowany, tylko zatrzymany do wyjaśnienia. Taki środek zapobiegawczy, zapewne w pana przypadku zastosowany trochę na wyrost. O, proszę zobaczyć – komisarz wskazał ręką na szklane drzwi – pani Lola Marini złożyła wyjaśnienia i właśnie wychodzi na wolność.

Bondek odprowadził Lolę wzrokiem. Mimo asysty dwóch policjantów, tych samych, którzy ich wczoraj zatrzymali, tym razem wyglądała na bardzo zadowoloną.

– Nasi aspiranci zaraz podrzucają ją do domu. Odpowie pan na kilka pytań i też będzie pan wolny.

– Jakich pytań? – zaryzykował Bondek.

– Na przykład po co pan pojechał wczoraj w nocy do Loli Marini?

– To jest oficjalne przesłuchanie?

– Ależ skąd. Widzi pan, nic nie notuję, nie ma tu żadnych kamer, nie spisuję pana danych osobowych. Po prostu pytam. Więc po co tam pan pojechał?

– A po co się jedzie do kobiety w środku nocy? Mieliśmy romans.

– A coś bliższego?

– Ciupcianie. Bara-bara. Chciałby pan wiedzieć, czy od przodu, czy od tyłu?

– A dlaczego Lola Marini rzuciła się na pana z pięściami?

– Nie wiem. Jej czasem tak odbija. Jak za dużo wypije, to wpada w furję.

– A czy czasem nie myślała, że ukradł jej pan szpilki? O to przecież właśnie pana oskarżyła.

– To cała Lola, cała ona. Po pijaku gada różne bzdury, a później nic nie pamięta.

– Dziś rano była już zupełnie trzeźwa. – Komisarz zamilkł.

– I? – zainteresował się w końcu Bondek.

– I podtrzymuje oskarżenie.

Bondek przypatrzył się komisarzowi Rurce uważnie. Elegancik. Krawacik. Spodnie w kancik. Dobry glina. To też widział kilka razy na filmach. Taki miłutki, grzeczny, a wpuszcza w maliny, jakby się z tym urodził. Nie ma głupich, Lola nigdy by mu tego nie zrobiła. Nie jest idiotką.

– Bzdura – rzucił krótko.

– A jeśli jednak nie? – Komisarz znów zamilkł na długo.

No właśnie – Bondek zaczął intensywnie główkować – a jeśli to prawda i Lola go jednak wrobiła? Nie, to niemożliwe. Odrzucił tę myśl tak szybko, jak się pojawiła. Ten gość na pewno go podpuszcza.

– Jeżeli Lola oskarża mnie o kradzież szpilek – odparł w końcu Bondek po długim namyśle – to pan to będzie musiał udowodnić. Ponieważ ja tego nie

zrobiłem. Mogę pana zapewnić, że dowodów mojej winy również nie ma. Jeżeli pan chce, proszę szukać, ale łatwiej byłoby znaleźć igłę w stogu siana, bo ta igła przynajmniej tam jest.

– Dobrze, skoro to nie pan, więc jak pan myśli, kto mógł to zrobić?

– Nie mam bladego pojęcia – odparł Bondek i zabrzmiało to zdumiewająco szczerze.

– A pana wspólnik na przykład? Ten, który wymieniał alarm? A właściwie, jak on się nazywa?

– Michał Horubała.

– Podobno miał klucze.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– A ten drugi pracownik?

– To kolega Michała. Nie znam go, pracuje dopiero od piątku.

– Bardzo ciekawe.

– No myślę. Wszyscy tu są ciekawsi ode mnie. To co, mogę już stąd iść?

Głodny jestem.

– Mamy pyszne drożdżówki – odparł komisarz, wstając. – Pani Marzenka zaraz je panu przyniesie.

Rozdział 63

Lola Marini była bardzo zadowolona z przebiegu rozmowy z komisarzem Rurką. Wyglądało na to, że kupił jej wyjaśnienia, a jeśli nawet miał wątpliwości, to raczej nie będzie jej szkodził. Najważniejsze, że tak szybko ją wypuścili. Każda dodatkowa chwila spędzona w tej obskurnej celi byłaby dla niej katorgą. No i wydaje się, że nie będzie miała w papierach epizodu napaści na policjanta na służbie.

Jej dobre samopoczucie trochę zakłócał jednak fakt, że odwozili ją do domu ci sami policjanci, przez których wczoraj została narażona na te feralne perturbacje. Ale cóż – trzeba czasem ponosić konsekwencje swoich zachowań.

Na razie sytuacja rozwijała się bezkonfliktowo. Po prostu przez cały czas od momentu wyjścia z komisariatu nie odezwali się do siebie ani słowem. Wszystkim to, zdaje się, odpowiadało. Dopiero kiedy nieoznakowany opel astra przejechał koło kiosku, Lola gwałtownie zareagowała.

– Proszę się zatrzymać. Na chwilę.

Samochód stanął. Lola włożyła wyjęte z torebki ciemne okulary, chociaż wcale nie było słońca, wysiadła z auta i podeszła do budki. Na standzie reklamowym wystawionym na zewnątrz umieszczono dzisiejsze wydanie „Super Expressu”. Na pierwszej kolumnie było wielkie zdjęcie Loli.

Lola kupiła cały zestaw porannych gazet, nie pomijając nawet „Gazety Polskiej”, choć prawdopodobieństwo, że napiszą w niej coś na jej temat, było raczej zerowe, wróciła do samochodu i wsiadła, trzaskając drzwiami. Uznała, że to będzie wystarczająco czytelny sygnał do kontynuowania podróży, i miała rację. Samochód ruszył.

Lola przejrzała pobieżnie „Wyborczą” i „Rzeczpospolitą”. Znalazła tam lakoniczne informacje na temat zwycięzców wczorajszego plebiscytu. Nudziarze. Nie można na nich liczyć. Za to „Super Express” i „Fakt” absolutnie spełniły jej oczekiwania. I w jednej, i w drugiej gazecie jej zdjęcia znalazły się na okładkach. „Lola Marini osobowością telewizyjną roku”, „Lola Marini odbiera nagrodę w szpilkach za sześć milionów złotych” – głosiły nagłówki. Lola Marini poczuła ukłucie w sercu. Taka niewyobrażalna strata. Czy uda jej się je odzyskać?

Aspirant Adek Lewicki zaparkował auto tak jak ostatnio – na podjeździe. Gdzie indziej nie było miejsca. Lola otworzyła furtkę kluczem i weszła na posesję, nie troszcząc się o swoją asystę. Tadek ledwo zdążył przytrzymać domykające się drzwi.

– Wczoraj był tu kamień, pamiętasz? – zapytał zbliżającego się Adka.

– Był. Ale mogła go zostawić ta babka, co śledziła męża. Trzeba będzie zapytać.

Adek pochylił się nad zamkiem.

– Tak na oko nie widać, żeby tu ktoś majstrował.

– Ja też myślę, że zamek jest czysty. Jeśli złodziej wszedł tędy, to musiał mieć klucz.

– Mógł też przeskoczyć przez ogrodzenie. Po tych różyczkach to się można wspiąć jak po drabinie.

– Można, ale po co, kiedy drzwi otwarte.

– Prawda.

Adek i Tadek podeszli do drzwi wejściowych i zaczęli oglądać dokładnie wszystkie zamki.

– Drzwi pancerne.

– Szyby pewnie kuloodporne.

– Trzy zamki, każdy najwyższej jakości, z atestem.

– I też nawet najmniejszych śladów włamania.

– Tylko głupiec by wchodził przez te drzwi. Albo jakiś super-Kwinto. Żeby otworzyć te zamki, trzeba by tu majstrować przez pół godziny.

– Albo mieć klucze.

– Chyba że drzwi, tak jak furtka, nie były zamknięte.

– Zobaczmy, którądy jeszcze można by tu wejść.

Adek i Tadek zaczęli powoli okrążyć dom, oglądając wszystkie okna, którymi potencjalnie można się było dostać do środka.

– Okna też muszą być antywłamaniowe, skoro nie ma krat – ocenił Adek.

– I wszystkie mają wewnętrzne zamki. – Tadek wskazał na malutki zameczek tkwiący w klamce od wewnętrznej strony.

– Czyli nie można przewiercić futryny i podważyć klamki haczykiem.

– I jeszcze miała alarm z monitoringiem. Ochrona ma centralę dwie ulice dalej. Patrol przyjechałby w trzy minuty. Próbowalbyś się tu włamać?

– Skąd. Ten dom to forteca – podsumował Tadek.

– Czyli?

– Czyli szef miał dobre przeczucia.

Adek i Tadek obeszli cały dom dookoła i zatrzymali się znów przed drzwiami wejściowymi.

– Nigdzie ani śladu włamania.

– No.

– Dobra, obejrzyjmy to wszystko jeszcze raz i spadamy.

Policjanci rozpoczęli kolejną rundkę wokół domu, tym razem skupiając się na oknach na piętrze.

– Nie da rady wejść przez górne piętro bez długiej drabiny.

– Drabina odpada. Za dużo kłopotu. Przytaskać, wejść, wynieść. Górne okna nie są już osłonięte żywopłotem, wszystko by było widać jak na dłoni. Zbyt

ryzykowne.

Tadek zatrzymał się nagle.

– Patrz! – Wskazał ręką na framugę okna balkonowego wychodzącego na taras.

– Co?

– Klamka inaczej ustawiona.

Tadek lekko pchnął ramieniem szybę i drzwi balkonowe natychmiast ustąpiły.

– Otwarte – ucieszył się Tadek.

– Otwarte od wewnątrz – uściślił Adek. – Czyli...

– Ktoś go tędy wpuścił. Proszę pani! – zawołał Tadek w głąb domu, wchodząc do środka.

Lola zmaterializowała się prawie natychmiast.

– A jak panowie tu weszli? – Jej zdziwienie zabrzmiało całkiem szczerze.

– Przez okno, było otwarte.

– Otwarte? Czyli... tędy się włamał?

– Nie nazwałbym tego włamaniem. Jeśli złodziej tędy wszedł, to ktoś mu musiał otworzyć od środka.

– Co? Kto?

– Myślałem, że pani nam na to odpowie.

– Ja?

– Czyli to nie pani otworzyła to okno?

– Absolutnie. Nie zostawiam na dole otwartych okien, kiedy idę spać. Ktoś mógłby tędy wejść. A poza tym alarm jest tak czuły, że nawet powiew wiatru mógłby go włączyć.

– Więc kto?

Kto? Dobre pytanie. Lola też była tego bardzo ciekawa. I znów jedynym podejrzanym wydał jej się Bondek. Albo... Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślała?! Dlaczego żona Bondka pojawiła się akurat w takim momencie? A jeśli wiedziała o wszystkim? A jeśli są współnikami? Bondek zwinął szpilki, a ona zrobiła całą awanturę dla kamuflażu. Niechżeż wreszcie tego Bondka wypuszczą, to ona już go wymagluje i przewierci na wylot.

– Nie mam pojęcia kto – odpowiedziała tylko.

– Aha – odparł Adek. – To my już nie mamy więcej pytań.

Rozdział 64

Przedłożona przez aspirantów telefonicznie ekspertyza z oględzin domu Loli była dokładnie taka, jakiej komisarz Rurka się spodziewał, i tylko potwierdziła jego przypuszczenia. Oczywiście żadnych śladów włamania, a do tego nowość – otwarte okno. Komisarz przekazał Flipowi i Flapowi kolejne polecenie. Prokurator właśnie wydał zgodę, mogą zrobić rewizję w samochodzie Bondka.

Rurka postanowił sprawdzić jeszcze dwa wątki tej sprawy. Wprawdzie teorię na temat tego, co tak naprawdę się wydarzyło w domu Loli, miał już mocno ugruntowaną, ale wrodzona pedanteria nie pozwoliła mu pozostawić pewnych tropów bez sprawdzenia.

Biuro Bondek Security nie zrobiło na nim większego wrażenia. Ot, standardy państwowe, nieodbiegające od tego, do czego przyzwyczaiła go własna firma. Widocznie albo im się w interesie nie przelewało, albo ktoś, kto kierował finansami tej spółki, nie lubił niepotrzebnie wydawać pieniędzy. Firma cieszyła się jednak na Ochocie dużą renomą, doświadczenie komisarza podpowiadało więc, że chodzi prawdopodobnie o wariant drugi.

Ale zasadnicza różnica w biurowych standardach objawiła się właśnie tuż przed jego nosem. Za przeciętnym biurkiem siedziała dziewczyna o tak nieprzeciętnej urodzie, że mogłaby z powodzeniem startować w konkursie Miss Świata. Komisarz już sobie zaczął wyobrażać, jakie spustoszenie w męskich sercach jego współpracowników (wyłączając oczywiście Flipa i Flapa) by wywołała, gdyby zajęła miejsce niezwykle miłej, ale jednak atrakcyjnej inaczej pani Marzenki.

– Dzień dobry, w czym mogę panu pomóc? – zagaiła uprzejmie Violetta Grzdyl, zanim komisarz zdołał się przywitać. To też daleko odbiegało od manier pani Marzenki.

– Dzień dobry, czy zastałem pana Michała Horubałę?

– Oj, szefa jeszcze nie ma, bardzo mi przykro.

– A kiedy będzie?

– Już powinien być – strapiła się Viola. – Bardzo się martwię, bo to do niego zupełnie niepodobne.

– Drugiego szefa, zdaje się, też nie ma?

– A skąd pan wie? – zdziwiła się Viola.

– Gabinet pusty. – Komisarz wskazał dłonią na otwarte drzwi.

– A, rzeczywiście.

– On też już powinien być?

– Też – potwierdziła Viola bez entuzjazmu.

– A o niego się pani nie martwi? – spytał komisarz podstępnie.

– Nie – odpowiedziała Viola szczerze. – Bo do niego to akurat bardzo podobne.

Komisarz stłumił śmiech.

– A może przynajmniej jest ten pan, który zaczął tu pracować w piątek, kolega pana Horubały?

– A może ja mogłabym panu pomóc? – Viola zreflektowała się, że mężczyzna wciąż tylko wypytuje, a nawet się nie przedstawił, więc spojrzała na niego podejrzliwie.

– Bardzo bym chciał, ale raczej nie – odparł komisarz i pokazał sekretarce swoją legitymację. – Komisarz Kazimierz Rurka z komendy na Ochocie – przedstawił się.

– Ojej! – przeraziła się Viola. – Czy panu Michałowi coś się stało?

– A dlaczego by mu się miało coś stać?

– Bo jak policja przychodzi, to zawsze się dzieje coś niedobrego. Nie wiedział pan? A ja do niego dzwonię od pół godziny i nie odbiera telefonu.

Violetta nerwowo sięgnęła po słuchawkę i wybrała numer z pamięci. Odczekała chwilę i podała słuchawkę komisarzowi.

– Widzi pan, nie odbiera.

Komisarz pokiwał głową i odłożył słuchawkę na widełki.

– Dzień dobry, pani Violu! – Do sekretariatu wpadł jak burza mocno zdyszany Jacek Sparowski. – Misiek już jest? Zaraz mi jaja urwie, że się spóźniłem. O, przepraszam. – Dopiero teraz zwrócił uwagę na stojącego w sekretariacie mężczyznę.

– Nie urwie – pocieszyła go Viola – bo go nie ma.

– Miśka jeszcze nie ma? – zdziwił się Jacek.

– I nie odbiera telefonu.

– Niemożliwe!

– No sam pan widzi – zwróciła się Violetta do komisarza. – Musiało coś się stać.

– Spokojnie – zakomenderował Jacek. – A dzwoniła pani do Agaty?

– Nie mam jej prywatnego numeru.

Jacek wyciągnął swoją komórkę i wybrał numer. Odczekał kilka długich chwil, aż w końcu wsunął telefon do kieszeni.

– Też nie odbiera – poinformował zrezygnowany.

– A czy pan jest może tym kolegą Michała Horubały, który tu zaczął pracować w piątek?

– Tak – potwierdził Jacek zdziwiony tak postawionym pytaniem.

– A więc zakładał pan alarm w domu Loli Marini?

– A kto pyta?

– Ten pan jest z policji – poinformowała Jacka Viola, zanim komisarz zdążył

się przedstawić.

– Zgadza się.

Rurka pokazał Jackowi legitymację, nie wyjmując jej z ręki, a ten zaczął się przyglądać dokumentowi z przesadnie dużym zainteresowaniem.

– Już pan wie wszystko? – komisarz zaczął się niecierpliwić.

– Przepraszam – usprawiedliwił się Jacek. – Nigdy jeszcze takiej nie widziałem. Tak, zakładaliśmy z Michałem alarm u tej pani. Zaczęliśmy w piątek, w weekend mieliśmy wolne i skończyliśmy w poniedziałek.

– Czy Lola Marini zostawiła panom klucze od domu?

– A mogę wiedzieć, dlaczego pan pyta?

– Nie może pan.

– To dlaczego mam panu odpowiadać na to pytanie?

– Dla dobra śledztwa.

– Jakiego? No dobra, żartowałem – wycofał się Jacek, spiorunowany wzrokiem komisarza. – Nie mam nic do ukrycia. Pani Marini zostawiła Michałowi klucze w piątek, bo musiała wyjść z domu. Zdziwiłem się nawet, że zostawia nas samych na cały dzień, ale Michał mówi, że czasami tak się zdarza. Klienci mają do niego zaufanie. Lola Marini do tego dobrze знаła się z Jakubem Bondkiem, współnikiem Michała. O czwartej wróciła i Michał oddał jej klucze.

– Czy gdy pani Marini wyszła, Michał Horubała również wychodził z domu?

– Pracował na zewnątrz, przy furtce.

– A pan w środku?

– Tak.

– Czyli mógł oddalić się od domu, a pan by o tym nie wiedział?

– O co pan pyta? – zaniepokoił się Jacek.

– No właśnie? – włączyła się do rozmowy Viola.

– Nieistotne. A kiedy pan pracował w domu, czy nie zauważył pan jakiegoś... wewnętrznego systemu monitoringu?

– To znaczy?

– Kamer przemysłowych. Takich, jakie zakłada się na zewnątrz, ale w środku.

– Kamer? Nie zakładaliśmy tam kamer. Ani na zewnątrz, ani w środku.

– Nie pytam, czy zakładaliście, tylko czy pan nie zauważył, żeby jakieś były.

– Nie zauważyłem – odparł Jacek bez mrugnienia okiem. – Co nie znaczy, że ich tam nie było – dodał przebiegle. – Wie pan, teraz kamery mogą być wielkości główki od szpilki.

Komisarz pokiwał głową.

– Jeszcze ostatnie pytanie. Co pan robił wczoraj wieczorem?

– No teraz to już pan przesadził – oburzył się Jacek. – Czy jestem o coś podejrzany?

- Podobno nie ma pan nic do ukrycia.
- Bo nie mam.
- Więc gdzie pan był?
- O której? – westchnął Jacek.
- Około dziesiątej.
- O tej porze to już dawno byłem w domu.
- Ktoś to może potwierdzić?
- Moja *landlady*, to znaczy właścicielka mieszkania, w którym wynajmuję pokój. Zjedliśmy wspólnie kolację, a potem oglądaliśmy razem telewizję. Akurat na jedyne nadawali *Vabank*.
- Adres?
- Uniwersytecka dwanaście przez pięć.
- Nazwisko tej pani?
- Józefina Żbik.
- Józefina Żbik???

Rozdział 65

– I jak drożdżówki, smakowały? – zagaił komisarz Rurka, widząc pusty talerz przed Jakubem Bondkiem.

– Jak długo jeszcze będę tu siedział? – zignorował pytanie Bondek.

– Od pana zatrzymania minęło dopiero dziesięć godzin, to znaczy, że zostało nam jeszcze trzydzieści osiem.

– Proszę mnie stąd wypuścić!

– Woli pan wrócić do celi? Nie sądzę, żeby tam było wygodniej, ale mogę to panu załatwić bez trudu.

– Pan sobie ze mnie kpi!

– Bynajmniej.

– Żądam natychmiastowego kontaktu z adwokatem.

– Proszę uprzejmie, na pewno się panu przyda – uśmiechnął się Rurka, wyjmując z kieszeni swój telefon komórkowy i przesuwając go po biurku w kierunku rozmówcy.

Bondek szybko wyciągnął rękę, aby sięgnąć po komórkę, po chwili jednak jego dłoń zawisła nad biurkiem i popatrzył na komisarza ze złością.

– Chyba nie sądzi pan, że znam na pamięć numery telefonów do prawników? Komisarz wzruszył ramionami.

– Czyli rezygnuje pan z prawa do wykonania telefonu?

Bondek natychmiast sięgnął po aparat i wybrał jedyny numer, który znał na pamięć tylko dlatego, że był naprawdę łatwy. Zdecydowanie nie miał głowy do liczb.

– Myszko, to ja, Kuba – zakomunikował, gdy po kilku sygnałach w słuchawce usłyszał głos żony. – Ja ci wszystko wyjaśnię, to jakieś straszne nieporozumienie, ale...

Połączenie zostało przerwane. Bondek siedział jeszcze przez chwilę ze słuchawką przy uchu, jakby niedowierzając, że coś takiego mogło mu się przytrafić, aż w końcu zrezygnowany odłożył telefon na biurko.

– Czy zawsze nosi pan w domu skórzane rękawiczki? To jakiś fetysz? – komisarz skorzystał z chwili załamania swego rozmówcy i szybko zmienił temat.

– O co panu chodzi? – Bondek wciąż nie mógł wyjść z szoku, że tak cynicznie został przez żonę splawiony, choć oczywiście wiedział, iż na taką reakcję powinien być przygotowany.

– Policjanci, którzy w poszukiwaniu włamywacza wtargnęli do sypialni pana... „kochanki” – to ostatnie słowo komisarz wypowiedział na tyle ironicznie, aby Bondek nie miał wątpliwości, że używa tego określenia w cudzysłowie – twierdzą, że miał pan wtedy założone rękawiczki. To jakiś nowy rytuał miłosny?

– Zapomniałem zdjąć – wycedził Bondek.

– Zapominalski. – Komisarz znów pozwolił sobie na ironię i pogroził Bondkowi palcem.

Ten skrzywił się, odsunął od biurka i demonstracyjnie zacisnął szczęki.

– Nic więcej panu nie powiem.

– To dobrze, bo teraz ja mam panu trochę do opowiedzenia. Zacznijmy od telefonu, tego, który wypadł z pana kieszeni.

– To nie mój telefon.

– Zaraz się przekonamy. Za chwilę przyjdą tu technicy, którzy zdejną pana odciski palców.

Bondek uśmiechnął się pobłaźliwie. W końcu nie bez kozery przez pół dnia chodził w tych rękawiczkach.

– Na telefonie nie ma żadnych odcisków, co samo w sobie jest wprawdzie podejrzane, ale przecież nie zabronione – ciągnął komisarz z uśmiechem – natomiast mamy wyraźne ślady na baterii i karcie SIM.

Przez twarz Bondka przebiegł bolesny skurcz. Kurwa, kurwa, kurwa! Rzeczywiście. Pamiętał, żeby wyczyścić telefon na zewnątrz, ale zupełnie zapomniał o środku. Jeszcze raz kurwa!

– Zapominalski. – Znowu pogroził mu komisarz. – Na telefonie widnieją tylko dwa odebrane połączenia, z tego samego numeru. I niech pan zgadnie, gdzie logował się telefon, z którego dzwono na ten nie pański numer? Nietrudna zagadka, prawda? Okolice Kontrabasowej sześć. To chyba tam mieszka pani Lola? Nie sądzi pan, że to bardzo ciekawe? Ale mam jeszcze ciekawsze historie. Widzi pan, rzeczywiście, jak się poszuka dobrze igły w stogu siana, to się ją naprawdę znajdzie.

Komisarz sięgnął do kieszeni i wyjął z niej małą foliową torebkę.

– A to, jak pan myśli, co to jest? To też łatwa zagadka.

Rurka uniósł torebkę na wysokość oczu Bondka. W promieniach zachodzącego słońca rozblęsnął znajdujący się w środku brylant.

– To wygląda zupełnie jak kamień ze szpilek pani Loli, nieprawdaż?

Bondek rzucił okiem na szkiełko i tylko wzruszył ramionami.

– Nigdy ich nie widziałem – odpowiedział.

– Hmm... To jak pan wyjaśni obecność tego czegoś w bagażniku pana samochodu?

– Co? – Bondek otworzył szeroko oczy.

– Przeszukaliśmy pana samochód, o, tu ma pan nakaz. – Komisarz otworzył leżącą na biurku papierową teczkę i podał stosowny dokument. – A tu, proszę, protokół z przeszukania. Jest krótki, niewiele pan wozi w samochodzie. Proszę zerknąć na punkt piąty.

Bondek zerknął i jęknął.

– To dopiero ciekawe, prawda? Ma pan jakieś pomysły, sugestie, skąd się to wzięło?

Bondek w kompletnym osłupieniu tylko pokręcił głową.

– No to ja tu pana teraz zostawię, żeby pan to sobie wszystko ładnie przemyślał. Może panu coś wpadnie do głowy. Drożdżówki już się skończyły, niestety.

Rozdział 66

Komisarz Kazimierz Rurka doskonale zdawał sobie sprawę, że diament w bagażniku Bondka to była podpucha. W tajemniczym mailu, który przyszedł do komendy nad ranem, zawarta była również wiadomość, że przeszukanie bagażnika mercedesa prezesa Bondek Security może przynieść ciekawe rezultaty. I rzeczywiście przyniosło. Miało to wyglądać tak, jakby diament oderwał się od buta, a Bondek, zabierając stamtąd szpilki, tego nie zauważył. Dla komisarza jednak było jasne, że ktoś tam ten diament musiał podrzucić, żeby skierować na Bondka podejrzenia. Bo po co i kiedy Bondek miałby włożyć diamenty do bagażnika swojego samochodu, który stał dwie przecznice dalej, a potem wracać do Loli? Dlaczego tak daleko zaparkował? I gdzie ukrył szpilki w tak krótkim czasie? Chyba że miał współnika.

Kto jeszcze oprócz Loli mógł znać plany Bondka? Najprawdopodobniej złodziej, ale czy to złodziej jest jego współnikiem, który teraz próbuje go wrobić? Nie, to by było zbyt proste. Złodziej nie mógł być aż tak naiwny, aby przypuszczać, że policja da się nabrać na tak grubymi nićmi szyty numer. Nie podrzucałby tropów wskazujących na siebie. Na razie zbyt wiele w tym było niewiadomych, więc komisarz odłożył rozwiązanie tej zagadki na później.

Mimo wszystko postanowił pójść wskazanym przez tajemniczego „życzliwego” tropem. Uważnie obserwował reakcje Bondka na ujawniane mu rewelacje. Pytanie o rękawiczki wprawiło go w zakłopotanie, wiadomość o odciskach palców na karcie SIM spowodowała przerażenie, kiedy jednak twierdził, że szpilek nie widział na oczy, wydawał się szczerzy. Natomiast informacja o diamencie znalezionym w bagażniku wywołała w nim prawdziwą wściekłość. Starał się ze wszystkich sił powstrzymać emocje, ale słabo mu to wychodziło. Komisarz bardzo był ciekaw tego, co Bondek będzie miał mu do powiedzenia, kiedy wróci, bo że wkrótce zacznie mówić, to wydawało się pewne.

Prześliczna sekretarka z Bondek Security zadzwoniła do Rurki cała w skowronkach.

– Panie komisarzu, prezes Horubała się znalazł! Jeśli chce pan z nim porozmawiać, to mogę zaraz połączyć.

– Wolę osobiście. Zaraz będę – odparł Rurka, tym razem kierowany nie tylko poczuciem obowiązku, lecz także względami estetycznymi. Przyjemność podziwiania krągłych kształtów pani Violi mogła mu się już więcej nie trafić.

Niestety, Michał Horubała przyjął go w swoim zamkniętym gabinecie, a pani Viola zajrzała tylko, żeby zaproponować kawy, na co oczywiście komisarz przystał ochoczo.

Michał Horubała wyglądał tak, jakby poprzednią noc spędził

w średniowiecznych kamieniołomach, w których z powodów oczywistych nie było łazienki.

– Pani Viola wspominała, że pytał pan o klucze, które Lola Marini zostawiła mi, gdy wyszła z domu – zaczął Michał po wymianie uprzejmości i uścisków dłoni. – Czy coś się stało?

– Zagięły jej szpilki.

– Szpilki? W sensie...? – Pierwsze, co Miśkowi przyszło na myśl, to szpilki do namiotu, ale przezornie się z tym nie zdradził.

– W sensie: damskie buty.

– Aha. W piątek, kiedy myśmy tam byli?

– Nie, wczoraj.

– Wczoraj też tam byliśmy.

– Do której?

– Skończyliśmy koło pierwszej po południu.

– Szpilki zginęły wieczorem.

– I z powodu jakichś butów ta pani robi takie halo?

Komisarz popatrzył na Michała podejrzliwie. Kpi czy o drogę pyta?

– To były szpilki wysadzane diamentami. Warte sześć milionów złotych.

– O Boże! – Michał chwycił się za serce i zaczął szybko oddychać. – Jak ja mogłem zapomnieć?! To moja wina! – Tym razem walnął się otwartą dłonią w czoło.

– Co pan robił wczoraj wieczorem? – zapytał komisarz, nieprzyzwyczajony do tak szybkiego wyznania winy.

– Niech pan raczej zapyta, czego nie zrobiłem.

– Więc czego pan nie zrobił?

– Nie pojechałem do niej, żeby naprawić ten cholerny alarm!

– Może po kolei.

– Koło wpół do jedenastej zadzwoniła do mnie, że zepsuł się alarm i że mam natychmiast przyjechać, by go naprawić. No to zacząłem się ubierać, bo już byłem w piżamie, ale właśnie wtedy moja żona zaczęła rodzić. Zapomniałem kompletnie o tym wezwaniu. Wie pan, w takiej chwili nie miałem głowy do niczego.

– Domyślam się. Zawiózł pan żonę do szpitala?

– No tak, na Karową. Chciałem po drodze zadzwonić do Bondka, żeby wysłał tam kogoś, bo to mógł być jakiś drobiazg, pewnie nie potrafiła sobie poradzić z nowym urządzeniem, no i wtedy uświadomiłem sobie, że zapomniałem zabrać telefon. A potem moja żona zaczęła krzyczeć i już kompletnie o wszystkim zapomniałem. Jeśli ktoś tam wtedy wszedł, bo alarm nie działał... – Michał spuścił głowę, szczerze zmartwiony.

– I siedział pan w szpitalu przez całą noc?

– No tak. A co, nie widać?

Komisarz litościwie przemilczał ten wątek.

– Z tego, co wiem, to alarm działał bez zarzutu – wyjaśnił Michałowi.

– To dlaczego do mnie zadzwoniła? – zdziwił się Michał.

– To właśnie chciałbym ustalić.

Mina Michała Horubały mówiła wyraźnie, że on też by tego chciał.

– To chyba wszystko, co powinienem wiedzieć – podsumował komisarz. –

A co tam u żony?

– Mam córeczkę – rozpromienił się Michał. – Pięćdziesiąt pięć centymetrów, trzy i pół kilo!

– Moje gratulacje. Proszę pozdrowić żonę.

– Dziękuję – uśmiechnął się Michał, ale chwilę potem jego mina zrzędła. –

Czy Lola, to znaczy pani Marini... ma do mnie pretensje, że nie przyjechałem?

– A wie pan, że ona nawet o tym nie wspomniała.

– Dziwne.

– Bardzo dziwne – zgodził się komisarz.

Sprawdzenie alibi Jacka Sparowskiego było już tylko formalnością. Po wyjściu z Bondek Security Kazimierz Rurka wyjął swój telefon i wybrał numer.

– Kaziu! Nie może być! To ty? – ucieszył się w słuchawce kobiecy głos. –

Już się zastanawiałam, czy cię nie wyrzucić z listy kontaktów.

– Ziuta, wiesz, jak jest, robota... – spieszył się komisarz.

– Tak, teraz też pewnie dzwonisz, bo masz jakiś interes.

– Ziuta, jak to się skończy, zapraszam cię na piwo.

– Czekaj tatka latka.

– Właściwie to może już w ten weekend będą luzy.

– Taa, a jutro się okaże, że coś nowego ci wrzucą. Nie obiecuj bez pokrycia.

– Obiecuję.

– No dobrze – roześmiała się Ziuta. – To czego ci potrzeba?

– Co robiłaś wczoraj wieczorem?

W słuchawce zapadła długa cisza.

– No, ładnie się zaczyna – odezwała się w końcu Józefina. – To o co jestem oskarżona?

– Poważnie pytam.

– Siedziałam w domu. Mój lokator może potwierdzić – dodała obrażona. –

Oglądaliśmy razem *Vabank*. Jacek Sparowski się nazywa. Po czwartej powinien wrócić z pracy.

– Dzięki ci, Ziuta. Kocham cię!

– A ja ciebie nie! – odgryzła się Józefina i się roześmiała. – Powiesz, o co chodzi?

– Na piwie w sobotę. Obiecuję!

Rozdział 67

Jakub Bondek miał już tego wszystkiego serdecznie dość. A to suka! Tak jej ufał, a ona go podeszła w taki perfidny sposób. To przecież oczywiste, że to ona go wrobiła. No bo kto? Misiek? Bondek aż się roześmiał w duchu na taką myśl. Dopóki komisarz nie powiedział mu o znalezionym diamencie, jeszcze wszystko wydawało się pod kontrolą. Nawet ten telefon, którego chciał się pozbyć, o niczym nie świadczył. Przecież mógł służyć tylko do umówienia schadzki kochanków. Ale brylant podrzucony do bagażnika? To mogła zrobić tylko ona. A była do tego zdolna.

I do tego wypuścili ją od razu, a jego tu trzymają tyle czasu. Bóg raczy wiedzieć, co ona im tam nawygadywała. Mogła powiedzieć wszystko i teraz tłumacz się, człowieku, z niewinności.

Bondek okrążył już biurko ze sto pięćdziesiąt razy. Zdażył przygotować sobie wersję wydarzeń, którą zamierzał sprzedać policji, w drobnych tylko szczegółach, dotyczących jego osoby, różniącą się od prawdziwej. Już dwa razy zgłaszał chęć złożenia zeznań, drożdżówki z jego żołądka dawno zdażyły przedostać się do krwiobiegu, a komisarza ciągle nie było. Dostarczono mu wprawdzie kawę, o którą poprosił, ale była to sypana lura – śmieciowa, której nie dało się pić. Wysączył ją jednak w końcu małymi łydkami, bardziej z nudów niż pragnienia. Za chwilę z nudów zaczniesz chyba oglądać gwiazdy, bo zrobiło się już ciemno.

Kiedy wreszcie komisarz Rurka zjawił się w pokoju, Bondek był gotów zrobić wszystko, no, prawie wszystko, żeby tylko stąd wyjść.

– Przekazano mi wiadomość, że chce pan złożyć zeznania. To prawda?

– Tak.

– To możemy zaczynać.

– Nikt nie będzie protokołował? – zdziwił się Bondek.

Komisarz położył na biurku dyktafon.

– Spiszemy je potem i jeśli wszystko się będzie zgadzało, pan tylko złoży swój autograf. Proszę się przedstawić, imię, nazwisko, data urodzenia, imiona rodziców, adres.

Bondek wyrecytował swoje dane do dyktafonu, a komisarz dopowiedział datę i godzinę rozmowy.

– Więc w jakim celu przybył pan wczoraj wieczorem do Loli Marini?

– Chciałem ją ostrzec przed popełnieniem strasznego głupstwa.

– Chyba będzie pan musiał to bliżej wyjaśnić.

– Lola Marini – Bondek zaczerpnął głęboko powietrza – chciała ukraść te szpilki.

– Chyba nie musiała ich kraść, skoro były jej własnością?

– Nie do końca. Henryk Mika wprawdzie je Loli podarował, ale przez cały czas miały leżeć w sejfie bankowym. Z wyjątkiem specjalnych okazji, jak to wręczenie nagród wczoraj. Tylko że z takimi butami to jak z sukienką. Drugi raz w takiej samej, na publicznej imprezie, ktoś taki jak Lola nie może się pokazać. Henryk zażyczył sobie, żeby szpilki wróciły do skarbcza i tam zostały. Czyli Lola miała szpilki, ale właściwie ich nie miała, więc postanowiła... naprawdę je mieć. Mogła oczywiście nie oddawać ich do sejfu, tylko sprzedać, ale nie chciała psuć sobie dobrych relacji z Henrykiem. Ciągle miała nadzieję, że się z nią ożeni – dodał z przekąsem. – Dlatego wymyśliła kradzież. Poza tym zamierzała jeszcze wyszarpać pieniądze z ubezpieczenia. Podwójny zysk. Skok stulecia, normalnie.

– I pan jej miał w tym pomóc.

– Tak ona to sobie wyobrażała. Miała zostawić szpilki na wycieraczce i nie zamykać drzwi...

– Dlaczego? Nie miał pan kluczy?

– Miałem, ale nie zdążyłem się nauczyć otwierania tych zamków – przyznał niechętnie. – To jakieś japońskie wynalazki.

– Otwarte drzwi? To było ryzykowne.

– Nie bardzo. Drzwi miały być otwarte raptem przez kilka minut, a poza tym miał być włączony alarm przeciwnapadowy, który zaczyna wyc trzysieki od uruchomienia czujki. Nikt, kto nie zna kodu do rozbrojenia alarmu, nie wszedłby niezauważony. Więc miałem wejść, w trzy sekundy rozbroić alarm, zabrać szpilki, rzucić na wycieraczkę klucze i wyjść, nie włączając alarmu i zostawiając uchylone drzwi. I jeszcze furtkę miałem zostawić otwartą.

– A klucze na wycieraczce dlaczego?

– Bo chwilę potem miał się tam zjawić Misiiek, to znaczy mój współnik, Michał Horubała. Lola miała do niego zadzwonić w sprawie pilnej naprawy alarmu. Ale widać tego nie zrobiła, bo Michał nie przyjechał. On nigdy nie lekceważy takich wezwań, a tu jeszcze klient był szczególnie wymagający.

Komisarz nie zamierzał wyprowadzać Bondka z błędu.

– Do czego Loli Marini był potrzebny Michał Horubała?

– Miał wejść do domu, zaintrygowany, że zarówno furtka, jak i dom są otwarte, potknąć się o klucze i beztrósko odłożyć je na komodę, zostawiając przy okazji swoje odciski palców. Potem zacząłby szukać Loli. Znalazłby ją kompletnie ubzdryngoloną po imprezie, więc zanimby ją docucił, żeby się czegoś dowiedzieć, zdążyłaby przyjechać policja, wezwana przeze mnie, jako uczynnego sąsiada, który widzi włamywacza. I tak Michał zostałby idealnym kozłem ofiarnym. Miał przecież wcześniej dostęp do kluczy i był jedyną osobą oprócz Loli, która znała kod alarmu.

– Mógł przecież zdradzić ten kod komukolwiek, na przykład temu swojemu

koledze.

– Misiek? Wykluczone. On jest tak uczciwy, że nawet pan sobie tego nie potrafi wyobrazić.

– Więc przyjechał pan tam wczoraj, żeby ukraść szpilki...

– Nie! – oburzył się Bondek. – Przyjechałem, żeby wybić jej z głowy ten pomysł! Przemyślałem sobie to wszystko i wyrzuty sumienia nie pozwoliły mi uczestniczyć w tak nieczym procederze. Chciałem jej powiedzieć, że nigdy w życiu czegoś takiego nie zrobię.

– Aha – przytaknął komisarz, udając, że nic a nic go taka obywatelska postawa nie dziwi. – Ale sytuacja trochę się wymknęła spod kontroli. Co poszło nie tak?

– Jak wszedłem do domu, szpilek nie było w umówionym miejscu. Do tego alarm okazał się wyłączony. Pomyślałem, że na szczęście Lola sama zrezygnowała z realizacji swojego planu, i pobiegłem do jej sypialni na górę. A potem to już sam pan wie, co się działo.

– Taa... – potwierdził komisarz. – Skąd zatem diament w pana samochodzie?

– To oczywiste: to ona musiała mi go podrzucić.

– Ale dlaczego?

„To też jasne – pomyślał Bondek – żeby nie musiała się ze mną dzielić”, ale w porę ugryzł się w język przed udzieleniem takiego wyjaśnienia. Wtedy musiałby się przyznać do planowanego podziału łupów, a przecież chciał grać rolę wzorowego obywatela, dla którego liczą się tylko prawo i sprawiedliwość.

– To ją powinien pan o to zapytać – odpowiedział, w swoim przekonaniu niezwykle sprytnie.

– Zapytam, zapytam.

– Czy teraz wreszcie mnie pan stąd wypuści?

– Oczywiście – odparł komisarz, wyłączając dyktafon. – Zaraz spiszemy pana zeznania i będzie pan wolny.

Rozdział 68

Lola Marini jeszcze chyba nigdy w życiu nie była tak wściekła jak tego dnia. Od kilku godzin nie mogła się dodzwonić do Jakuba Bondka. Już dawno go powinni wypuścić, a tymczasem jego telefon ciągle milczał. Sekretarka w firmie udzieliła jej tylko lakonicznej informacji, że prezesa jeszcze nie ma i nie potrafi powiedzieć, kiedy będzie. Nawet wspólnik Bondka nie odbierał telefonu. Kompletna cisza w eterze.

Ale najbardziej wkurzało ją to, że nie wiedziała, co tak naprawdę zdarzyło się wczoraj w jej domu. Pewne było jedynie to, że szpilki zniknęły. Lola wciąż miała nadzieję, że to jednak Bondek wpadł na idiotyczny pomysł, aby ją oszukać, że zaproponuje mu po prostu większy udział i dojdą do porozumienia. Ale nie było jak się z nim skontaktować.

A jeśli jednak Bondek nie miał z kradzieżą nic wspólnego, to kto, do diabła, ośmielił się zrobić jej taki numer?! Może policja znajdzie chociaż jakiś trop? Po tych dwóch, co tu byli i oglądali zamki, nie spodziewała się niczego dobrego, zwłaszcza że w końcu nie przeprosiła tego większego za rozkwaszony nos. Ten elegancki komisarz sprawiał jednak wrażenie o wiele sprytniejszego. Ale czy w dzisiejszych czasach policja zawraca sobie głowę ściganiem złodziei? Jak sam im jakiś nie wpadnie w ręce, to komu by się chciało szukać? Szybko umarzają postępowanie z powodu niewykrycia sprawcy i mają kłopot z głowy. Niech ubezpieczyciel się martwi.

No właśnie. Jeśli szpilek nie zwinął Bondek, tylko ktoś inny, to Lola nie miała większych nadziei na ich odnalezienie. Pozostawało tylko odszkodowanie.

Zadzwoiła do firmy ubezpieczeniowej zaraz po powrocie z policji. Nie zdziwiła się specjalnie, że z infolinii przełączyli ją bezpośrednio do samego prezesa. Była w końcu Lolą Marini, a kwota ubezpieczenia zdecydowanie odbiegała od standardów. Zaskoczył ją jednak chłodny ton prezesa: „Tak, oczywiście, przyjmujemy zgłoszenie, ale musimy czekać na oficjalny wynik śledztwa”. I w ogóle życzył jej, żeby buty się znalazły. Dobrze. Też by sobie tego życzyła. Choć pewnie prezes bardziej.

Nie ma co tak siedzieć i się zadręczać. Dalszą część dnia Lola postanowiła przeznaczyć na wypoczynek. Po przejściach w celi aresztu należała jej się przede wszystkim gorąca kąpiel. Nalała wody do wanny z hydromasażem, wrzuciła kilka kulek z różanym olejkiem zapachowym i moczyła się w pianie przez godzinę, regularnie wymieniając wodę na ciepłą i masując na zmianę kręgosłup oraz stopy. Przez jakiś czas udało jej się nawet nie myśleć o tym, co się wydarzyło.

Po wyjściu z wanny włożyła miękki puszysty szlafrok z grubego frotté i zasiadła przed komputerem. Najpierw sprawdziła pocztę. Henryk Mika pisał, że

jutro wraca, i przesyłał całusy. Lola wolałaby nie widzieć jego reakcji na wiadomość, że szpilki zostały skradzione. Postanowiła więc na razie to przemilczeć. Potem rozpoczęła swoje zwykłe surfowanie po portalach plotkarskich, których adresy miała zapamiętane w zakładkach. Była pewna, że wszyscy piszą o niej i o wczorajszej imprezie. Nie myliła się. Na Pudelku, na głównej stronie, najważniejszy banner zawierał jej nazwisko, wypisane wielkimi literami. Zaraz poniżej znajdowało się zdjęcie. Nie było to jednak zdjęcie z wręczenia nagrody dla osobowości telewizyjnej roku. Na fotografii widniała Lola Marini w objęciach Bondka. Nagi sutek został wypikselowany. „Jak zabawia się Lola Marini, gdy jej narzeczony pracowicie spędza czas w Chinach” – głosił nagłówek. A na dole jeszcze zdjęcie Henryka Miki w otoczeniu gromadki Chińczyków. Lola zamknęła szybko stronę i kliknęła na Plotka. To samo zdjęcie, tylko podpis inny: „Ciekawe, co na to Henryk Mika?”.

Nie sprawdzała dalej, tylko trzasnęła pokrywą laptopa. Kurwa mać! Kurwa, kurwa mać!

Rozdział 69

Szklana kopuła dworca kolejowego w Antwerpii, mieszczącego się przy Pelikaanstraat, zwanej również ulicą Diamentów, lśniła w słońcu po wiosennej burzy. W kałużach odbijała się bogato zdobiona czerwona, stalowa fasada budowli, a tęcza, która rozpięła się między dwoma krańcami ulicy, dodawała jej jeszcze większego uroku.

Z jednej z kamienic naprzeciwko dworca wyszła niepewnie starsza pani z niewielką skórzaną walizką w dłoni. Rozejrzała się ostrożnie po ulicy i chyba nic jej nie zaniepokoiło, bo energicznie ruszyła w kierunku dworca, nie zwracając uwagi na to, że rozdeptuje odbicie tak pięknego budynku w kałuży. Po chwili dołączył do niej młody mężczyzna. Usłużnie ujął kobietę pod rękę i przejął dość ciężki neseser, co spotkało się z jej aprobatą.

Walizka wypełniona była po brzegi równo poukładanymi, spiętymi banderolami w pliki banknotami euro. Kobieta i mężczyzna weszli do hali dworca, zmieszali się z tłumem pasażerów i zniknęli. Razem z nimi znikła również z ulicy tęcza.

Chcielibyście, żeby tą kobietą była Ziuta, a tym mężczyzną ja? Też bym chciał. Niestety, sny snami, a rzeczywistość okazała się zupełnie inna.

W sobotni wieczór Józefina spotkała się na piwie ze swoim starym przyjacielem z pracy, komisarzem Kazikiem Rurką, więc wiadomości o postępach w śledztwie mieliśmy z pierwszej ręki. Z tym że śledztwa właściwie nie było. Okazało się, że Lola Marini, kiedy wreszcie udało jej się spotkać z Jakubem Bondkiem, natychmiast wycofała zgłoszenie kradzieży. Poinformowała policję, że szpilki w cudowny sposób się odnalazły. Po prostu schowała je w innym miejscu i zupełnie o tym zapomniała. Nawet, o dziwo, przeprosiła za kłopot. Musiała być bardzo zdesperowana. Dla organów ścigania sprawa została więc zamknięta.

Kazik zwierzył się Ziucie, że trochę tego żałował, bo była to jedna z najbardziej interesujących i tajemniczych spraw w jego karierze i bardzo by chciał się dowiedzieć, jak się będzie rozwijała. Ale cóż, jego ciekawość w tym względzie nigdy nie miała zostać zaspokojona. Podobnie jak nasza ciekawość, w jaki sposób Lola Marini sprzedała wiadomość o utracie szpilek Henrykowi Mice. Policji Lola mogła wcisnąć kit, że buty się znalazły, ale Henryk na pewno chciałby je zobaczyć na własne oczy. Milioner w każdym razie zareagował dokładnie tak, jak przewidzieliśmy. Od tygodnia wszystkie brukowce, kolorowe pisma i portale plotkarskie piszą wyłącznie o rozstaniu milionera i najstynniejszej polskiej celebrytki. Ktoś, chyba z policji, dał również przeciek do prasy o zaginionych szpilkach. Lola wszystkiemu konsekwentnie zaprzeczała, ale plotka rozniosła się szeroko. Na pewno gwoździem do trumny Loli okazał się brylant znaleziony

w bagażniku Bondka, który Hanka, mając zapasowe kluczyki do mercedesa, bez trudu tam podrzuciła.

Hanka natychmiast wniosła sprawę o rozwód. Spakowała rzeczy męża w trzy walizy i wyrzuciła go z mieszkania. Bondek musiał być bardzo zaskoczony, kiedy nawet Violetta Grzdyl nie otworzyła przed nim drzwi. Zdaje się, że się zatrzymał u mamusi. Hanka jako współwłaściciel firmy zwolniła go też dyscyplinarnie z funkcji prezesa. Upłynie na pewno wiele czasu, zanim uda mu się z tego wszystkiego otrząsnąć i rozpocząć nowe życie.

Na pewno chcielibyście się wreszcie dowiedzieć, co zrobiliśmy ze szpilkami. Decyzję postanowiliśmy podjąć wspólnie. Na niedzielny obiad u Józefiny zaprosiliśmy Hankę Bondek i Miśka z Agatą. No i jeszcze maleńką Amelkę, która smacznie spała w pomarańczowym wózku na kółkach terenowych z napisem „Jeep”. Czego to ludzie nie wymyślą...

Józefina dała mi wolną rękę w kuchni. Na pierwsze danie zaserwowałem sałatkę horiatiki, zwaną u nas grecką, jakby innych sałatek w tym kraju nie mieli, ale przyrządziłem ją tak, jak nauczył mnie Grek z wyspy Amorgos, z którym pracowałem w londyńskiej pizzerii. Kawałki pomidorów, ogórka i papryki pokrojone na duże części oraz grube plastry cebuli i czarne oliwki ułożyłem na talerzach w okręgu, na to półtoracentymetrowej grubości plaster sera feta (broń Boże pokrojony w kostkę – zjeździłem pół Warszawy, żeby dostać oryginalną grecką fetę, przechowywaną w solance i sprzedawaną na wagę), a wszystko obficie posypane oregano. Sól, pieprz, oliwa i ocet winny podane osobno, żeby każdy mógł sobie dobrać proporcje wedle uznania. Goście się zajadali, mimo że hiszpańskie pomidory i holenderskie ogórki o tej porze roku tylko przypominały w smaku te dojrzewające w prawdziwym słońcu. Na szczęście oryginalna feta i dobra oliwa nadały tej potrawie właściwy smak. Na drugie przyrządziłem musakę z bakłażanem i mieloną jagnięciną w sosie pomidorowym, zapieczoną pod żółtym serem, również według przepisu greckiego kolegi. Na deser Ziuta przygotowała swojskiego polskiego murzynka.

Wszyscy tak byli przejęci kontemplowaniem moich kulinarnych wyczynów i podziwianiem maleńkiej Amelki, że jakoś nikt nie podnosił do tej pory tematu, który stał się pretekstem naszego spotkania. Dopiero kiedy już przed wszystkimi pojawiły się filiżanki z mocną aromatyczną kawą, przyniosłem plecak, wyjąłem z niego szpilki i postawiłem je na stole.

Hanka i Agata widziały je pierwszy raz. Obie jak na komendę sięgnęły po buty i zaczęły nabożnie je oglądać ze wszystkich stron.

– Nie mój rozmiar – westchnęła w końcu Hanka i odłożyła but na stół.

– Mój też nie – roześmiała się Agata. – Niestety nie skorzystam.

Tylko Misiiek obserwował całą sytuację w bezbrzeżnym zdumieniu.

– Co to jest? – wydusił z siebie w końcu.

- Buty – odpowiedziałem lakonicznie.
- Czy to są te... – Misiek popatrzył na mnie, bojąc się dokończyć.
Pokiwałem głową.
- Te same.
- Skąd je macie?
- Kochanie, chyba będziemy musieli ci coś wyjaśnić – wyręczyła mnie

Agata.

- Ukradliście je?
- Misiek, oficjalnie nic nie zginęło – włączyła się Józefina. – Lola oświadczyła, że szpilki się znalazły. Policja zamknęła dochodzenie.
- Ale to są te same szpilki? – dociekał Misiek.
- No tak.
- Jakim cudem znalazły się u was?

Na szczęście to Agata wzięła na siebie wyjaśnienie Miśkowi, co właściwie się stało i jaką hollywoodzką rolę kozła ofiarnego miał on w tym wszystkim odegrać, bo gdybym ja miał to zrobić, seria spojrzeń bazyliuszka na pewno by mnie wcześniej zabiła. W stosunku do matki swojego dziecka trochę się jednak powstrzymywał. W chwili, gdy Agata dotarła w swej opowieści do momentu, w którym Lola zadzwoniła do Miśka z wezwaniem do naprawy alarmu, Ziuta przerwała jej wywody i przejęła opowiadanie:

- No i wtedy, na szczęście, Agata zaczęła rodzić.

Misiek naprawdę nie musiał wiedzieć, że na tym polegała rola Agaty – miała odciągnąć go jak najdalej od Loli, a najlepszym pretekstem do tego było symulowanie porodu. To Agata zadbała też o to, żeby Misiek „zapomniał” o zabraniu komórki, wyjmując mu ją po prostu z kieszeni kurtki. Termin porodu wyznaczony był dopiero za trzy dni, ale – zdaje się – nadmiar adrenaliny spowodował, że Agata naprawdę zaczęła mieć skurcze jeszcze tej samej nocy. Amelka urodziła się o jedenastej rano, a wiedza o tym, że stało się to prawdopodobnie z powodu stresów przeżywanych przez jej mamę, była Miśkowi zupełnie zbędna.

– I wy wszyscy o tym wiedzieliście? – Misiek powiódł po nas wzrokiem, nie mogąc wyjść ze zdumienia.

Popatrzyliśmy po sobie i niepewnie kiwnęliśmy głowami.

- Nie wierzę, że mogliście to zrobić. Przecież gdyby się wydało...

Taki wariant reakcji też przewidywaliśmy. Wskazałem tylko palcem leżące na stole szpilki.

- Kto nie ryzykuje, ten nie ma. Zaryzykowaliśmy.
- Co chcecie z tym zrobić? – Misiek głęboko westchnął, zanim zapytał.
- Właśnie w tym celu się tu spotkaliśmy – wyjaśniłem. – Możliwości jest kilka. Możemy sprzedać te szpilki w całości, najlepiej za granicą, bo w Polsce

chyba nie znajdzie się nikt, kto będzie miał tyle pieniędzy, żeby za nie zapłacić...

– Gdzie za granicą? – dopytywał się Misiek.

– No w jakimś sklepie jubilerskim. Słyszałem, że w Antwerpii jest wiele takich.

– Tak, pójdziecie do sklepu, pokażecie sygnowane przez Harrodsa szpilki, których na świecie powstały może dwa, trzy egzemplarze, i nikt się nie zainteresuje, skąd je macie? Zaręczam wam, że Henryk Mika rozpuścił wici po całym świecie. Jeśli tylko szpilki pojawią się gdzieś oficjalnie, w ciągu minuty będzie o tym wiedział, a dostawca zostanie aresztowany.

– No to sprzedajmy je nieoficjalnie – zaproponowałem.

– Tak? A znacie jakiegoś pasera?

Wszyscy pokręciliśmy głowami.

– Ale możemy poszukać – odezwała się Hanka.

– Jak? Przez internet?

– Ja miałam pewne kontakty, niekoniecznie legalne... – przyznała się Ziuta. – Kilku kieszonkowców, których wyprowadziłam na ludzi, i kilku, których nie do końca udało się zresocjalizować.

– I teraz ich ciocia chce dla odmiany demoralizować? – oburzył się Misiek.

– No, może to nie był najlepszy pomysł – wycofała się zaraz Ziuta.

– No to może wyjmijmy te brylanty z butów i sprzedajmy osobno – włączyła się Agata.

– I oczywiście nikt się nie zainteresuje tak dużą liczbą brylantów o identycznych parametrach i szlifie, która pojawi się na rynku – odparł Misiek z przekąsem.

– Możemy sprzedawać po jednym co jakiś czas – podzuciła pomysł Ziuta. – Będzie taki miły dodatek do emerytury.

– Ale frajda już nie ta – zaproponowałem.

– Możemy po jednym, ale w różnych miejscach albo na Allegro – zaproponowała Hanka.

– A jeśli te diamenty są znaczone? – nie dawał nam spokoju Misiek. – Jakiś drobny znak, który widać tylko pod wielkim mikroskopem? Tak wam się spieszy do więzienia?

– Zaraz do więzienia – obruszyłem się. – Przecież oficjalnie kradzieży nie było.

– Czy myślicie, że Henryk Mika wierzy w krasnoludki?

– On to akurat na pewno jest przekonany, że to Lola zwinęła te szpilki.

– A jak się okaże, że to nie ona? Myślicie, że wam odpuści?

– Oj, Misiek, ty zawsze szukasz dziury w całym – odpowiedziałem tylko, nie znajdując argumentów. – To może ty byś coś zaproponował, skoro jesteś taki mądry.

– Moim zdaniem jest tylko jedna możliwość, żeby wyjść z honorem z tej sytuacji.

Rozdział 70

Naprawdę, mogliśmy poszukać jakiegoś sposobu, żeby sprzedać te szpilki, a potem zrobić z pieniędzmi tyle pożytecznych rzeczy! Na jakieś hospicjum oddać albo na dom dziecka, albo Fundację imienia Jurka Kilera, żeby polskie filmy były lepsze i dały się oglądać. Ale nie. Misiiek się uparł. Ma być ucziwie i już!

Więc co wymyślił ten mój najlepszy przyjaciel, którego porządność i niewzruszone zasady moralne zaczęły mi już wychodzić uszami? Otóż postanowił, że należy szpilki zwrócić właścicielowi. Nie, nie Loli, spokojnie. Henrykowi Mice! No sami widzicie, że już głupiej nie można. Oddawać diamenty facetowi, który nawet nie odczuł ich straty! Kiedy kupował je Loli lekką ręką, już wtedy wiedział przecież, że nie będą jego. Ale weź i gadaj z Miśkiem. Chcieliśmy go przegłosować, lecz zagroził, że pójdzie i opowie o wszystkim policji. No wariat po prostu.

Drogę do rezydencji Henryka Miki w Zalesiu znałem już dobrze. Tym razem nie musiałem się maskować. Zaparkowałem multiple niedaleko wejścia, podszedłem do furtki i wcisnąłem dzwonek domofonu.

- Kto tam? – usłyszałem niezyczliwy męski głos.
- Jacek Sparowski do Henryka Miki.
- W jakiej sprawie?
- Chciałem mu oddać szpilki.
- Co?
- Szpilki. Takie damskie buty...

Po drugiej stronie usłyszałem odgłos oddalających się kroków, a potem zapadła długa cisza. No tak, tylko Miśkowi mogło przyjść do głowy, że taki facet jak Henryk Mika w ogóle będzie chciał ze mną gadać. Już miałem odejść, kiedy z głośnika w domofonie odezwał się ten sam głos:

- O jakie szpilki chodzi?
- Te, które pan Mika podarował kiedyś Loli Marini.

Znowu zapadła cisza, ale tym razem po chwili drzwi do domu otworzyły się i stanął w nich młody, potężnie zbudowany mężczyzna. Z pistoletem w dłoni podszedł do furtki. Kiedy zbliżył się na odległość kilku metrów, rozpoznałem go. To był ten sam ochroniarz, który pokazał mi drzewo gwarantujące dobre ujęcia Loli Marini. Mężczyzna też mnie sobie przypomniał.

- Ej, ja już tu pana chyba kiedyś widziałem.
- Zgadza się.
- Pan jest tym dziennikarzem, co przyszedł z pizzą?
- Z pizzą tak, ale nie dziennikarzem.
- To znaczy tym... frilancem?

– Nie, w zasadzie to zupełnie nie.

– To o co panu chodzi?

Zdjąłem z ramion plecak i przez pręty w ogrodzeniu pokazałem mu, co tam mam. Ochroniarz zajrzał nieufnie do środka i szybko odskoczył o krok, jakbym zaprezentował mu właśnie bombę własnej roboty.

– Mam to do przekazania panu Henrykowi Mice. Osobiście.

Ochroniarz wyjął telefon i nie wypuszczając z drugiej dłoni pistoletu, wybrał numer.

– Tak, szefie, to chyba to – powiedział do słuchawki.

Schował telefon i pilotem uchylił bramę na pół metra.

– Niech pan wchodzi. Ale bez żadnych numerów.

Tylko wzruszyłem ramionami. Ochroniarz zamknął bramę i machnął w moją stronę pistoletem. Trafnie odczytałem ten gest jako polecenie oddania mu plecaka i rozłożenia ramion. Najpierw sprawnie mnie obszukał i oczywiście nie znalazł żadnej broni, więc zajrzał do plecaka, w którym oprócz szpilek również niczego groźnego nie było. Oddał mi plecak i kolejnym machnięciem pistoletu wskazał drogę do wejścia. Ruszyłem pierwszy.

– Mógłby pan schować tę pukawkę? – zapytałem, oglądając się do tyłu. – Trochę głupio się czuję prowadzony na muszce.

Ochroniarz nie odezwał się, ale opuścił broń. Otworzył drzwi, przed którymi się zatrzymałem, i tym razem bez machania pistoletem, ale zwykłym ruchem ręki zaprosił mnie do środka.

– Proszę iść do końca tym korytarzem i potem skrócić w prawo – poinstruował, chyba na wypadek gdybym miał się zgubić, bo dom był rzeczywiście ogromny.

Myślałem, że to oznacza, iż dalej pójdę sam, więc ruszyłem energicznie, ale ochroniarz nie odstępował mnie ani na krok. No tak, względy bezpieczeństwa. Facet, który oddaje ukradzione szpilki, może być tylko szaleńcem.

Wyobrażałem sobie, że Henryk Mika przyjmie mnie w wypełnionym książkami gabinecie urządzonej w angielskim stylu, ubrany w garnitur szyty na miarę u londyńskiego krawca, tego samego, który obszywa rodzinę królowej, będzie grał w bilard, pykając kubańskie cygara, a na rozgrzewkę zaproponuje mi szklaneczkę przynajmniej osiemnastoletniej whisky. Oczywiście jak zwykle się pomyliłem. Po przejściu jakichś pięćdziesięciu metrów korytarza, po którym spokojnie można by jeździć rowerem, i wykonaniu skrętu w wyznaczonym miejscu znalazłem się w wielkiej kuchni. Henryk Mika, w dresie z Decathlonu, właśnie wyjmował z cienkich reklamówek na kuchenny blat plastikowe przezroczyste pojemniki, wypełnione substancjami w nieokreślonym kolorze.

Chrząknąłem, anonsując w ten sposób moje przybycie.

– A, jest pan. – Mika odwrócił się od blatu i przyjrzał mi się uważnie. –

Właśnie zaczynaliśmy kolację. Jeśli ma pan ochotę, może pan zjeść z nami.

– Nie, dziękuję – odpowiedziałem od razu.

– My i tak będziemy jeść, więc jeśli nie chce pan siedzieć i głupio patrzeć, jak to robimy, może się pan jednak też poczęstuje.

– W tej sytuacji może rzeczywiście... – Byłem głodny, więc bez oporów się poddałem.

– Tolciu, wyciągnij dla pana talerz – poprosił Mika ochroniarza. – Nie ja gotowałem, więc jest duża szansa, że będzie dawało się zjeść. Po powrocie z Chin ciągle za mną chodzi chińskie żarcie. Mamy tu taką budkę niedaleko, Chińczyk naprawdę nieźle gotuje, lepiej niż ci w Pekinie. Przynajmniej nie dorzuca do wszystkiego wodorostów.

No i wyjaśniła się tajemnicza zawartość plastikowych pojemników.

– Mikrofalówką pan nie gardzi, mam nadzieję?

– W żadnym razie.

– Tolciu, podgrzejesz nam to wszystko? – zwrócił się Mika do ochroniarza. –

A pan nam pokaże, z czym przyszedł.

Tolcio zajął się przygotowaniem kolacji, łypiąc wciąż na mnie podejrzliwym okiem, a ja wyjąłem z plecaka szpilki i podałem je Mice.

– Proszę, są pana.

Obejrzał je bardzo uważnie, przez cały czas kręcąc głową.

– Rzeczywiście, te same, nie ma wątpliwości. Dlaczego nie zwrócił ich pan Loli?

– Bo nie ona za nie płaciła. Widziałem te zdjęcia w gazetach. Bardzo współczuję. Byłem kiedyś w podobnej sytuacji.

Mika pokiwał głową.

– I co pan chce w zamian?

– No, przynajmniej jakieś ustawowe znaleźne byłoby mile widziane.

– Zgoda, jeśli mi pan powie, skąd pan je ma.

– Znalazłem w parku Szczęśliwickim – odpowiedziałem bez zająknięcia.

– No dobrze... – roześmiał się Mika. – Myślę jednak, że znaleźnym będzie pan mocno rozczarowany.

– Dlaczego? Nie jestem zachłanny.

– To dziesięć procent, prawda?

– Tak, chyba.

– No to będzie jakieś... – Mika przeliczył w pamięci – ...dwa tysiące złotych.

– Ile???

– Te buciki są warte jakieś trzy tysiące funtów, czyli niecałe dwadzieścia tysięcy złotych, no to dziesięć procent tak wychodzi.

– Ile???

– powtórzyłem.

– To nie brylanty, tylko kryształy. Oprawione nie w białym złocie, ale w srebrze. Niemniej to robota jubilerska pierwszej klasy, dlatego takie drogie.

– Drogie? – powtórzyłem za nim.

– Proszę. – Mika wcisnął mi buty do ręki. – Może pan je zabrać i sprawdzić u dowolnego jubilera. Albo w ogóle może je pan sobie zostawić, na pamiątkę.

Mikrofalówka zapikala pięcioma krótkimi sygnałami.

– Żarcie gotowe – ucieszył się Henryk Mika. – Jedzmy, bo wystygnie.

Rozdział 71

Zzerała mnie ciekawość.

To nie mógł być blef. Nie oddałby mi przecież tak łatwo tych szpilek. Jeżeli rzeczywiście były bez wartości, bo marne dwadzieścia tysięcy to przecież nic w porównaniu z sześcioma milionami, to jak to możliwe, że cała Polska uległa sugestii, iż to najdroższe buty w tym kraju?

Obserwowałem Henryka Mikę, przeżuując kurczaka w pięciu smakach, i miałem wrażenie, że jego zżera podobna ciekawość. Tylko że on raczej chciałby wiedzieć, jak mnie się udało wejść w posiadanie tych szpilek. Obaj jednak milczeliśmy.

Wyczyściliśmy nasze talerze do ostatniego ziarenka ryżu. Miejscowy Chińczyk naprawdę nieźle gotował. Właśnie miałem wstać i grzecznie podziękować za gościnę, kiedy Henryk Mika wreszcie się odezwał:

- Nie miałby pan ochoty na szklaneczkę whisky?
- Miałbym, ale niestety przyjechałem samochodem i nie mam immunitetu.
- Żaden problem.
- Załatwi mi pan immunitet?
- Nie, ktoś pana odwiezie.
- A jak potem wróci? – zatroskałem się.
- Zostały chyba jakieś taksówki w tym mieście?

No tak, zapomniałem, że dla niektórych pieniądze nie są problemem, szczególnie gdy chcieliby się czegoś dowiedzieć.

- W takiej sytuacji chętnie...

No i miałem w końcu okazję się przekonać, jak wygląda gabinet milionera. Muszę się pochwalić, że bardzo odpowiadał moim wyobrażeniom, pomyliłem się tylko co do wielkości. Pokój był przynajmniej dwa razy większy, niż się spodziewałem. Henryk Mika dorzucił drewna do kominka i wskazał mi fotel – uszak obity materiałem w szkocką kratę, stojący przy barku wypełnionym trunkami, jakich nigdy nie widziałem na oczy.

- Czego się pan napije?
- Proszę wybrać coś, co pan lubi – odpowiedziałem, nie chcąc się przyznać, że nie znam się na wykwinnych alkoholach i sam nie potrafiłbym dokonać wyboru.

Mika uśmiechnął się i nalał koniaku. Nazwa na butelce nic mi nie powiedziała, nie wiedziałem też, co znaczą tajemnicze litery na naklejce, ale trunek smakował znakomicie.

- Dobrze – pochwaliłem.
- No myślę. Czterdziestoletni Tiffon. Kupiłem na aukcji w Paryżu.

O mało się nie zachłysnąłem. Nie znałem się na koniakach, ale potrafiłem sobie wyobrazić, że wypijam właśnie równowartość mojej miesięcznej pensji.

– No dobrze – przeszedł do rzeczy Mika. – Mam propozycję. Urządźmy sobie dzisiaj wieczór: szczerłość za szczerłość. Ja panu coś powiem, a pan mnie.

– A co chciałby pan wiedzieć? – zacząłem ostrożnie.

– Opowie mi pan, skąd naprawdę ma te szpilki.

Zastanowiłem się, ile tak rzeczywiście mogę ujawnić Henrykowi Mice, i wyszło mi na to, że prawie wszystko. Właściwie niczym nie ryzykowałem. Jednak nie uległem tak łatwo.

– Dobrze, ale pod jednym warunkiem. Pan mi za to opowie, dlaczego te brylanty są fałszywe.

– Zgoda – roześmiał się Mika. – Pan pierwszy.

No to zacząłem. Opowiedziałem o moim małżeństwie z Lolą i streściłem w zarysach, jak mnie oszukała. Dotarłem w mojej historii do spotkania w Bondek Security i o wywołanej tym spotkaniem chęci zemsty. Uznałem, że teraz kolej na zwierzenia Miki.

– Kazał pan zrobić kopię tych szpilek, tak? I to kopia była w sejfie?

Mika roześmiał się głośno.

– To od początku była kopia. Jeszcze na głowę nie upadłem, żeby robić prezenty za milion funtów.

– Ale przecież kupił je pan u Harrodsa. Sam widziałem zdjęcia. To był fotomontaż?

– Nie, zdjęcia są prawdziwe.

– Jak to możliwe?

– Jeden z właścicieli Harrodsa wisił mi przysługę. Poprosiłem, żeby umieścił kopię w sklepie i mi ją sprzedał, a rachunek wystawił jak za oryginał. Oczywiście nigdy go nie zapłaciłem.

– Ale dlaczego?

– Dlaczego nie zapłaciłem?

– Nie. Po co to panu było?

– Efekt propagandowy. Miało to wyglądać, że szastam pieniędzmi, co znaczy, że je mam, a konkretnie, że mam wolne środki w gotówce, a nie tylko kredyty. No i ważne było, że szastam nimi dla Loli.

– To pierwsze rozumiem, ale dlaczego dla Loli?

– Teraz pana kolej – zbył mnie Mika. – To jaka miała być ta zemsta?

Opowiedziałem o zamontowaniu kamerek i o tym, czego się dowiedziałem z podsłuchu. Uwypukliłem wątek ratowania Miśka jako motywację naszego działania. W końcu nie chodziło tylko o to, żeby się zemścić i łatwo wzbogacić. Opowieść o aresztowaniu Loli, o czym nie wiedział, bo oczywiście mu się nie przyznała, wzbudziła w nim prawdziwą wesołość. Kiedy już wyśmiał się, ocierając

łzy, zadałem wreszcie dręczące mnie pytanie:

– Rozumiem, że nie chciał pan wydawać na Lolę fortuny. Ale dlaczego chciał pan, żeby tak to wyglądało? Pojmuję motywacje finansowo-propagandowe, ale dlaczego właśnie Lola?

– To wszystko przez moje interesy w Chinach. Czy wie pan, jak bardzo Lola Marini jest tam popularna?

Pokręciłem głową.

– Oni ją tam po prostu ubóstwiają!

Skrzywiłem się.

– Tak, też w to nie mogłem uwierzyć. Gdyby dostawała tantiemy od sprzedanych płyt i piosenek, puszcanych tam na okrągło we wszystkich stacjach, byłaby bogatsza ode mnie. Ale oczywiście grosza jej nie zapłacą. Bardzo jednak mi się opłacało robić za narzeczonego tak wielkiej gwiazdy.

– Więc ten cały wasz opisywany wszędzie romans to było tylko przedstawienie dla Chińczyków?

– Niezupełnie. Na początku nawet mi się podobała.

– Dopóki pan jej nie rozgryzł?

– Mniej więcej. Ale dzięki temu udało mi się podpisać kontrakt, na którym zarobię kilka miliardów. To znaczy nie tylko dzięki temu, ale dlaczego mamy sobie nie ułatwiać życia, prawda?

– Pomyśleć, że ktoś jeszcze przechytrzył Lolę Marini i pokonał ją jej własną bronią...

– A kto był tym pierwszym?

– No ja – odpowiedziałem z dumą. – Wprawdzie potrzebowałem na to trochę więcej czasu niż pan, ale liczy się efekt, prawda?

– To co, jeszcze po kieliszeczku? – zaproponował Mika.

– Nie, dziękuję – odmówiłem z żalem. – Po tej ilości alkoholu, którą do tej pory wypilem, mogę spokojnie usiąść za kierownicą. Nie chcę narażać pana ludzi na niepotrzebne wycieczki.

– Nie namawiam. Mam do pana jeszcze jedną sprawę, którą chyba lepiej omówić na trzeźwo.

Popatrzyłem na niego zaintrygowany.

Rozdział 72

Leżałem na hamaku rozwieszonym pomiędzy masztem jachtu a uchwytem na kokpicie. Nad głową słyszałem krzyki mew. Słońce grzało mocno, ale rozpięty żagiel dawał miły cień, a bryza przyjemnie chłodziła powietrze.

No dobrze, wiem, co chcecie powiedzieć. Że kolejny raz nie nabierzecie się na ten numer. A kuku! Tym razem to nie sen, to rzeczywistość.

Za kołem sternika stała Hanka Bondek, która miała wszelkie patenty niezbędne do wypożyczenia żaglówki. Mnie na obozie harcerskim udało się zdobyć tylko patent sternika. Nasza łajba dobijała właśnie do wyspy Amorgos. Jorgos, kolega z londyńskiej pizzerii, zawsze powtarzał, że jeżeli uda mi się kiedyś dotrzeć na tę wyspę, to poczuję się, jakbym trafił do raj. I takie właśnie miałem odczucia.

Hanka od początku mi się spodobała. Wspólna akcja ze szpilkami bardzo nas do siebie zbliżyła. Zaczęliśmy się spotykać, znaleźliśmy wiele wspólnych zainteresowań, między innymi zamiłowanie do rejsów po ciepłych morzach, i wyszło na to, że chyba dobrze się uzupełniamy. Ja gotuję i naprawiam domowe urządzenia, ona sprząta. Żartuję, sprzątaniem zajmuje się gospoia. Hanka zarządza. Zupełnie mi to nie przeszkadza. Ziuta miała rację, że potrzebuję kobiety, która będzie potrafiła poukładać mi życie.

Zastanawiacie się, skąd miałem pieniądze na taki rejs? Nie, to nie Hanka była moim sponsorem. Za swój udział zapłaciłem sam, i to wcale nie z londyńskich oszczędności. Żeby to wyjaśnić, trzeba cofnąć się na chwilę do tego etapu mojej rozmowy z Henrykiem Miką, który musiał odbyć się na trzeźwo.

– Pan mi wygląda na bardzo uczciwego człowieka – oświadczył, a ja nie uznałem za wskazane zaprotestować i wyjaśnić, że uczciwy to jest, ale mój kumpel Misiek. – Mam więc dla pana uczciwą propozycję. Zmieniłem zdanie co do tych szpilek. Chętnie je zatrzymam. I zapłacę panu znaleźne takie, jakby brylanty były prawdziwe. Nawet jeszcze wyższe. A pan zapomni o wszystkim, co tu panu powiedziałem.

No w tym momencie to już kompletnie zbił mnie z pantałyku. O co mu, do diabła, chodzi?

– Przeleję na pana konto, oficjalnie, pewną wysoką kwotę. Jestem w końcu bardzo zadowolony z odzyskania brylantów. A potem pan połowę tej kwoty wypłaci w gotówce i umieści w skrytce bankowej, którą panu wskażę. Umowa stoi?

Popatrzyłem na niego nieufnie. Czy ja się znowu nie pakuję w jakąś aferę?

– No... nie rozumiem...

– I lepiej, żeby tak zostało.

– Połowa? – upewniłem się.

– Tak jest. *Fifty-fifty*.

– No... zgoda.

– Bardzo się cieszę. Lubię ludzi, którzy szybko podejmują decyzje. Tylko proszę to zachować w największej tajemnicy. Nikomu ani słowa. Mogę na pana liczyć?

– Oczywiście.

I tak na moim koncie po odliczeniu kosztów, czyli połowy, pozostało pół miliona złotych. Pół miliona!

Nie powiedziałem o tej dodatkowej operacji Miškowi, Agacie ani Hance. Są przekonani, że na moje konto wpłynęło zwykłe znaleźne. Ale nie mogłem nie podzielić się tą rewelacją z Ziutą. Może ona przynajmniej będzie potrafiła wyjaśnić, o co tu chodzi.

– To proste – orzekła Józefina, gdy wysłuchała do końca mojej opowieści. – On po prostu wyprał w ten sposób pół miliona złotych. Albo zaoszczędził na urzędzie skarbowym.

– On? Wyprał? Taki wielki milioner? Z listy najbogatszych?

– A co? Myślisz, że wszyscy są tacy uczciwi jak Misiek?

Nie zadawałem więcej pytań.

Chciałem te pół miliona podzielić równo na pięć części, ale Misiek nawet nie chciał o niczym słyszeć, Agacie w związku z tym też nie wypadało, Hanka Bondek stwierdziła, że w tej sytuacji mogę zaprosić ją na kawę, i też nic nie chciała. Ziuta uznała, że to są tylko moje pieniądze, w ramach rekompensaty za to, co kiedyś ukradła mi Lola, i ona kategorycznie odmawia przyjęcia swojego udziału. No to zainwestowałem w Bondek Security. Teraz jestem współnikiem Hanki i Miśka. Rozwijamy się. Zamierzamy podbić Warszawę.

W podziękowaniu za wszystko, co dla mnie zrobiła, zaprosiłem Ziutę na ten rejs. Nie wiem, czy będzie mi za to wdzięczna. Hanka dobijała właśnie do kei i lada moment miała wyskoczyć na pirs.

– Rzucisz cumę?! – zawołała do mnie.

– Tak, kapitanie! – odkrzyknąłem, wydostając się z hamaka.

Na te słowa spod pokładu wynurzyła się zielona na twarzy Józefina.

– O Jezuu, za jakie grzechy?! Bogu dzięki! Nareszcie jakiś ład.

Rzuciłem Hance cumę i pomogłem ślaniającej się lekko Ziucie wydostać się na brzeg.

– Całe szczęście, że to przechodzi zaraz, jak tylko przestaje bujać. Inaczej bym cię, Jacuniu, chyba udusiła.

Stanęliśmy na pirsie i popatrzyliśmy w gwiazdziste niebo.

Witaj, Amorgos!

Jacek Sparowski tego samego dnia traci pracę, dziewczynę i dach nad głową. Kiedy wynajmuje pokój u ciotki przyjaciela i zostaje zatrudniony w nowej firmie, wydaje się, że pech wreszcie przestanie go prześladować. **Ale prawdziwe kłopoty dopiero się zaczynają.** Lola Marini – polująca na bogatego męża celebrytka, prywatnie była żona Sparowskiego – planuje szalony przekręt mający jej przynieść fortunę. Na dodatek zabójczo atrakcyjna i wyrachowana Lola chce zrobić w tę aferę przyjaciela Jacka.

Jak przechytrzyć oszustkę, kiedy największym przeciwnikiem jest własna uczciwość? W tym niełatwym zadaniu pomaga bohaterowi jego gospodyni – emerytowana policjantka, dla której przejście na ciemną stronę mocy również staje się życiowym wyzwaniem. Dość szybko okazuje się, że w tym wyrafinowanym przekręcie bierze udział ktoś jeszcze, a główną rolę w komedii pomyłek odgrywają... **drogocenne szpilki.**

”

Mistrzowska intryga bez trupów i niepotrzebnego rozlewu krwi, trzymająca w napięciu do ostatniej strony. To najbardziej zakręcona książka 2018 roku!

Paula Sieczko
www.nuderecenzuje.pl

Uciekałam od problemów, odpoczęłam, pouśmiewałam się do książkowych bohaterów i spędziłam fantastycznie czas. Jeżeli lubicie książki przyprawione szczyptą absurdu, odrobiną refleksji i pełnymi garściami humoru, na pewno się nie zawiedziecie.

Anna Karowicz
kto-czyta-nie-pyta.blogspot.com

KSIAZKA DOSTEPNA
TEZ JAKO E-BOOK



PAŃSTWO MEDIALNE

Claudia DOBRE RADY

któ czyta
nie pyta

LITERACKI
ŚWIATCZYRYSI

KOBIETA.pl

Szkolnym
w książkach

Redakcja

Humor

WIEDZA W POKOJU



www.burdaKsiazki.pl
facebook.com/burdaKsiazki

Zeskanuj kod
i pobierz
darmową
próbę książki



